http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Wacław Berent

Fachowiec

powieść współczesna w puszczy krajobrazy

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WACŁAW BERENT

FACHOWIEC

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

W PUSZCZY

KRAJOBRAZY.

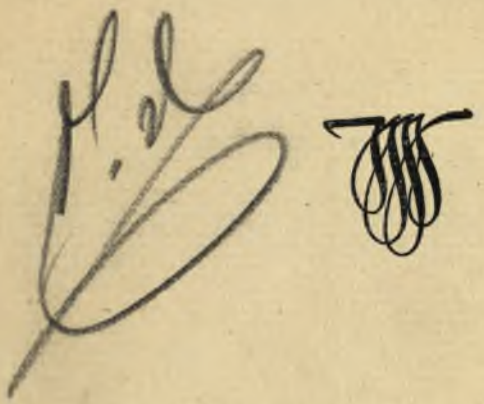

WARSZAWA. MCMXII. KRAKÓW.
NAKŁAD JAKÓBA MORTKOWICZA.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
00-330 Warszawa
http://rcin.org.pl

CZCIONKAMI DRUKARNI NAUKOWEJ, WARSZAWA, MAZOWIECKA 8.

145

http://rcin.org.pl

FACHOWIEC

WYDANIE TRZECIE.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

CZĘŚĆ PIERWSZA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I

Podług kalendarza niezbyt odległe to czasy, gdy jednak pamięć moją za świadka wezmę, to jakby mgła przeszłości je pokrywała. Skończyłem wtedy szkoły i całymi dniami rozmyślałem nad wytknięciem sobie celu w życiu. W spuściźnie po rodzicach zostało mi około trzystu rubli, noża więc na gardle nie miałem i mogłem z kilka tygodni podumać, zanim bym wziął się do pracy. Wolne chwile spędzałem w cukierni, gorliwie studyując gazety. Znajdowałem tam potwierdzenie mglistych i niewyraźnych planów, a właściwie gotową nauczkę, którą należało tylko na czyn przetłumaczyć.

A jednak wciąż jeszcze nie byłem zdecydowany, jakiej mianowicie gałęzi przemysłu mam się poświęcić. Bo, że na drogę przemysłową pójdę, o tem wątpliwości być nawet nie mogło.

Słusznie powiada X. Y. w „Postępie":

„Ileż to sił, ile tęgich, dzielnych ludzi zabie-

http://rcin.org.pl

rają nam wyrafinowane dążenia, drobne fałszywe ambicye, płaczliwe, niedołężne marzycielstwo".

Słowa te utwierdzają mnie tylko w raz powziętem postanowieniu. Wielkich zdolności może i nie mam, ale czem mogę i jak potrafię, chciałbym dla dobra ogólnego pracować. Dosyć marzyłem w szkołach, dosyć pięknych słówek i haseł nasłuchałem się tam. Teraz przyszła kolej na czyn.

„Pesymista" w „Proroku" mówi, że przyszłość przed sobą mają tylko produkcyjne społeczeństwa, i temi słowami najwyraźniej sformułował myśl moją.

Tak oto rozmyślałem, czytając chciwie artykuły, które w jakikolwielkbądź sposób poruszały obchodzącą mnie sprawę. A pisano o tem dużo. Dość było wziąć pierwszą lepszą gazetę do ręki, by znaleźć filipiki, kazania i rady, tyczące się przemysłu. Takem się powoli zżył z tem, że świątobliwe i sentymentalne strzały, rzucane z przeciwnego obozu, wprowadzały mnie prawie w rozdrażnienie.

Boć czyż tamci nie mają racyi? — myślałem nieraz. Gdy tak naokół się obejrzę, wszędzie widzę braki, wszędzie niedomagania; widzę niezaradność, niedołęstwo, słyszę czułe piosenki, sentymentalne romanse, smutne użalania się nad zacofaniem kraju; ale nigdzie nie widzę czynu, nigdzie nawet próby.

http://rcin.org.pl

Wreszcie, co tu dużo mówić! Zastanawiałem się nad tem dlatego tylko, że jedną znałem drogę i jeden obowiązek: widzisz złe, — staraj się mu zaradzić.

„Ja bo zapewne wiele nie znaczę, ale“... I tu mi znów na myśl przychodziła piękna winietka „Postępu“, przedstawiająca wspaniały wieniec z kominów fabrycznych, młotów, pił, oskardów, maszyn parowych, słupów telegraficznych i t. d. Wieniec zamykał u spodu skrzydlaty Merkury, trzymający wstęgę, na której znany wypisano wierszyk:

„Czyń każdy w swem kółku, co każe duch Boży,
A całość sama się złoży“.

Teorye dziennikarskie pozostawiały jednak po sobie słaby cień wątpliwości. Potrzeba było żywego słowa, by i tę niepewność rozprószyć.

Dokonał tego ojciec mego ucznia, pan Kwaśniewski.

Człowiek ten imponował mi niezmiernie i nakazywał dla siebie szacunek. Energiczny jako przemysłowiec, ruchliwy jako kupiec, na świat patrzący trzeźwo i biorący życie z realnej jego strony, — był wcieleniem tego, co z taką zażartością propagowały gazety. Sądzę, że gdyby rozmarzony młodzieniec spotkał się na Krakowskiem-Przedmieściu oko w oko z Longinusem lub Wo-

http://rcin.org.pl

łodyjowskim, nie byłby nimi bardziej uszczęśliwiony, niźli ja panem Kwaśniewskim.

Był to rycerz naszych legend.

W rozmowach ze mną wyrażał on nieraz swoją radość z tego, że między młodzieżą zdrowy duch teraz panuje.

— Bo to niegdyś każdy z nas pisywał obowiązkowo wiersze, — opowiadał w dalszym ciągu rozmowy. — A gdy który rymu złożyć nie potrafił, dziwiliśmy się wszyscy jego prozaicznej duszy. Oho, panie kochany, głupie to były czasy, bardzo głupie! A szkoda chłopców. Pomarnowało to się, pozatracało w życiu razem ze swymi wierszami.

Jeden pracuje naprzykład w mojem biurze. Urwanie głowy z tym człowiekiem! Co list w interesie napisze — poezya, sonet, co pan chcesz wreszcie, tylko nie interes. Ciemięga to, zlituj się Panie Boże nad nim. Mówię mu nieraz: „rzuć pan do licha ten interes i księdzem bodaj zostań, bo już dalibóg nie wiem czem, to jedyny interes, gdzie poezya jeszcze popłaca". Siedzi to jednakże u mnie i trzyma się rękoma i nogami. Bo co, pytam, będzie robił? A kto winien? Szkoła winna, poezya dziecięca, — to, żeśmy na życie patrzyli, jak na operę Mozarta, i to patrzyli, jak z paradyzu. A stamtąd, jak pan wiesz, wszystko najefektowniej wygląda, gdyż połowę się tylko widzi. Co? Nie?

Na ów temat rozprawialiśmy z nim prawie

http://rcin.org.pl

codziennie. Rozmowy te sprawiły, że pan Kwaśniewski poczuł do mnie zaufanie i wyrażał się bardzo pochlebnie o mojej osobie.

— O, to sprytny chłopak — mówił. — Co to za obrotny człowiek będzie.

Któregoś dnia zatrzymał mnie nawet na kolacyę, dodając, że chce mnie zapoznać bliżej z panną Heleną, również nauczycielką Kazia.

Zaprowadził mnie do salonu, poczęstował cygarem i pytał:

— Cóż, pan ciągle jeszcze w niezdecydowaniu? Masz pan racyę. Co nagle, to po dyable... Ale słyszałem, że któryś z pańskich kolegów na aktora się kieruje?

Podobno czuje powołanie — odparłem.

— Masz tobie!

— Ten bo miał zawsze przewrócone we łbie. A tacy najmniej pytają, jakich społeczeństwo pracowników potrzebuje.

— Otóż to! Jakich nam potrzeba pracowników? O, że nie aktorów, to pewno. Potrzeba raczej tych, co u podwalin pracują, bogactwo krajowe... Ale pan to przecie rozumiesz?

Rozmowa urwała się. Przychodzi mi na myśl, że nie mógłbym lepiej trafić z prośbą o radę, niż zwracając się do pana Kwaśniewskiego. Nie czekając tedy długo, zacząłem:

— Kiedy mnie los z panem zetknął, to możeby mi pan nie odmówił rady i wskazówki.

http://rcin.org.pl

— Ależ, czem tylko mogę — odpowiedział, kładąc rękę na sercu.

— Bo gdy tak zastanowię się nad sobą, dochodzę do przekonania, czy nie byłoby uczciwiej... to jest chciałem powiedzieć — rozsądniej, porzucić marzenia o politechnice, uniwersytecie i wziąć się teraz do ślusarstwa.

Pan Kwaśniewski aż podskoczył na krześle. Poklepał mnie po kolanie i zawołał z ożywieniem:

— Bardzo ładna myśl, bardzo szlachetna!

Począłem mu dokładniej rozwijać swe plany, co też on przyjmował z niezmiernem zadowoleniem.

— Takich nam ludzi potrzeba — mówił. — Uczonych i poetów mamy, chwała Bogu, aż za dużo, ale fachowców, panie, fachowców!... Dasz pan wiarę, że majstrów muszę sprowadzać z Anglii? Jak Boga kocham, z Anglii! Niechże mi który z tych, co tak u nas pięknie gadać potrafią, chociażby śrubkę zrobi. Głupstwo, — prawda? Ale niema, — no, niema u nas człowieka, coby śrubkę potrafił uczciwie zrobić. I nie wstydże nam? „Niemcy“,— wołamy, — „żydzi“! Pięknie — i ja Niemców nie lubię. Ale pytam się: czemu się nasi do tego nie biorą?... My będziemy jednak filozofowali, rozprawy pisali, wiersze układali, a Niemcy tymczasem pocichutku, spokojnie i systematycznie swoje zrobią. Ja panu powiadam, że jeśli my się naprzód nie ruszymy, i to gwał-

http://rcin.org.pl

townie, jeśli nie puścimy w ruch wszystkich naszych kapitałów, to nas Niemcy zaleją w krótkim czasie. Co ja mówię zaleją? Połkną jak pigułkę.

— A co pan myślisz? — zakończył wyzywająco. — Połkną, mimo naszych filozofów i literatów.

— Nietylko idzie tu o kapitały, — odważyłem się wtrącić, — ile o zużytkowanie wszystkich sił.

— Tee!... — bąknął od niechcenia pan Kwaśniewski i wnet się zmitygował.

— No, sił także... Bez wątpienia. Młodych sił... Tak, tak!...

Potem, rozstawiając ręce, mówił, jakby ze smutkiem.

— Młodzież garnie się teraz do inżynieryi, chemii i podobnych rzeczy. Ale i to będą półuczeni. I ci nie według mego gustu.

Wskazał szereg kominów, sterczących z poza odległych budynków, i zawołał:

— Oto szkoła dla młodzieży! Oto najlepsza politechnika, najszczytniejszy uniwersytet.

Drzwi się roztworzyły i weszła pani Kwaśniewska, prowadząc ze sobą pannę Helenę.

— A! — krzyknął pan Kwaśniewski, porywając się z miejsca. — Jużem się obawiał, że pani o nas zapomni. Pozwoli pani przedstawić mego młodego przyjaciela, pana Zaliwskiego... Zresztą państwo pewnie się już znacie?

http://rcin.org.pl

— Z widzenia, — odparła panna Helena, podając mi przyjaźnie rękę.

Zaledwie że zdążyliśmy usiąść, a pan Kwaśniewski podjął znowu ulubiony temat:

— W pannie Helenie znajdziesz pan zwolenniczkę naszych zasad.

— O jakież tu idzie zasady? — zapytała.

Gościnny gospodarz nie szczędził mi pochwał, wtajemniczając pannę Helenę w moje zamiary. Ona słucha go uważnie, a gdy skończył, zwraca się do mnie:

— Mimo że widzę pana właściwie poraz pierwszy, muszę mu powiedzieć, że zaimponował mi pan tem od razu.

— Czyż tem można imponować? — pytam.

— Oj, można, i to bardzo. To imponuje tak, jak przykład po długiej, żmudnej i niezrozumiałej regule z gramatyki łacińskiej.

Gospodarz powstał z miejsca i ruchem ręki zaprosił nas do stołowego pokoju. Przy kolacyi kulała trochę rozmowa, póki jej gospodarz nie wprowadził na tory doktryn postępowych. Dowodził on między innemi, że egoizm jest największą cnotą ludzi.

— Przykre są nieraz prawdy — mówił. — Ale fakt faktem pozostanie, że najlepsze rzeczy zawdzięczamy egoizmowi. Już tak się życie dziwnie splotło, że to, co nam zysk przynosi, oddziaływa z kolei na korzyść społeczeństwa.

http://rcin.org.pl

Panna Helena zaprotestowała przeciw temu energicznie, a ja bezwiednie jej zawtórowałem. Pod naszym naciskiem zmiękł pan Kwaśniewski.

— No tak, — bąknął — bez wątpienia... Co tu zresztą długo rozprawiać! Niema wątpliwości, że poczucie obowiązku to ważny bodziec. Rozumie się, rozumie się!...

Wnet jednak odzyskał pewność siebie i, ująwszy się pod boki, rzekł z miną uczonego:

— Na jedno się wszakże zgodzimy. Wziąwszy rzecz teoretycznie, ów instynkt, który ja nazywam egoizmem, a co państwo chrzcicie mianem walki o byt, instynkt ten, mówię, zawsze ludzkimi czynami kieruje. Teoretycznie jednak...

— Lub może państwo przypuszczacie wpływ Opatrzności? — dodał z uśmiechem.

— No tak — odpowiedziałem. — Teoretycznie, to stanowczo.

Panna Helena na wspomnienie Opatrzności odpowiedziała również uśmiechem.

— Teoretycznie, stanowczo! — powtórzyłem po raz drugi, uspokojony już w zupełności.

Byłem jeszcze szkolniakiem i na wyżynach teoryi czułem się bardziej u siebie w domu. Mars zadumy był mi więcej do twarzy, niźli lekka wesołość. Swoboda panny Heleny pokonała jednak szybko moją szkolną niezaradność i stanęliśmy po godzinie rozmowy na stopie dobrych znajomych.

http://rcin.org.pl

Późno w nocy pożegnaliśmy gospodarzy. Pan Kwaśniewski upewniał nas jeszcze w przedpokoju, że teraz śmiało w przyszłość spogląda, gdyż „młodzież jest obecnie na znakomitej drodze".

— Ale, ale — wołał wnet — może państwo parasol wezmą? Bo zdaje się, że deszcz pada.

Panna Helena ujęła mnie pod rękę i szliśmy tak, milcząc, obok siebie. Widząc, że ja nie potrafię nawiązać rozmowy, zapytała, jak mi się podoba pan Kwaśniewski.

— Bardzo — odpowiedziałem.

— Nieprawdaż? Człowiek w tym wieku i z tak młodzieńczemi przekonaniami. — Ja bo pytam dlatego, że przyszło mi do głowy pewne porównanie. Mój ojciec jest cokolwiek podobny do pana Kwaśniewskiego. Ojciec mój jest mianowicie rzemieślnikiem (nie wiem, czy panu wiadomo, że jestem córką ludu), jednakże jest on bardziej może zacofany, a przedewszystkiem taki zamknięty w swej specyalności. Pan Kwaśniewski wszakże... Czem on jest właściwie?

— Wie pani, że ja nie jestem pewny. Zdaje się, że ma fabrykę wyrobów miedzianych.

— Bodaj że jest również akcyonaryuszem kolei.

— Coś podobnego. Słyszałem nawet o cukrowni.

— Musi pan przyznać, że to wszechstronny człowiek.

http://rcin.org.pl

— Zapewne.

Rozmowa urywa się i po chwili przechodzi na moją osobę. Panna Helena zapytuje, co mnie skłoniło do obrania sobie praktycznego zawodu.

— Jestem może zbyt poufałą? — dodała.

Ja odpowiadam ze sztywną powagą:

— Trzeźwy rozsądek, łaskawa pani.

— „Teoretycznie", jak to pan powiedział panu Kwaśniewskiemu... a praktycznie?

Zapytaniu temu towarzyszy cudowny uśmiech, trochę ironiczny, lecz zarazem zachęcający do szczerości.

— Chcę być pożytecznym — odpowiedziałem prawie szeptem i powstydziłem się wnet tego.

Może to było złudzenie, a jednak zdaje mi się, że ręka jej drgnęła z lekka pod mem ramieniem.

Po chwili zapytuje mnie znów:

— Czy pan zna lud?

— Mało.

— Ale słyszał pan zapewne o jego sławnych przywarach: o pijaństwie, brudzie, lenistwie... Czy pan wierzy w przykład?... To jest, chciałam zapytać, czy i to odegrywało rolę w pańskiem postanowieniu?

— Zdaję sobie i z tego sprawę i uważam to

http://rcin.org.pl

za swój obowiązek — odpowiadam z namaszczeniem.

— To znów „teoretycznie".

— Niedobra pani jest! Ja pragnąłbym tego z całej duszy.

Po krótkiem milczeniu mówi jakby do siebie:

— Jestem bardzo ciekawa.

— Czego?

— Ot, przyszłości! Ale, otóż i mój dom. Nasza znajomość poszła łatwiej, niżem się tego spodziewała.

W bramie odwróciła się raz jeszcze ku mnie.

— Ale my będziemy rozmawiali ze sobą... tylko teoretycznie. Dobrze?

— Dobrze. O ile wogóle będziemy rozmawiali.

— Jak to? Wszak dajemy lekcye w jednym domu.

— Pani o której przychodzi?

— O piątej. W pół godziny po panu. A zatem...

— Do widzenia.

— Do widzenia.

— Z temi słowy znikła w bramie. Wracałem do domu w znakomitym humorze. Wstąpiła we mnie szczera, niezachwiana wiara w przyszłość. Zdaje się, że gdyby z za rogu ulicy wysunęła się straszna hydra, ta nieznana, olbrzymia,

http://rcin.org.pl

potężna, co szczęściu człowieka zawadza, oddałbym jej szyję bez wahania. Być może jednak, iż wprzódy, nimby mnie pożarła, dowiódłbym jej, że zdrowy rozsądek i egoizm zmusza mnie do wsunięcia się w jej paszczę.

http://rcin.org.pl

II

Przy pierwszej sposobności poprosiłem panią Kwaśniewską, czy nie mogę przełożyć lekcyi o pół godziny. Zgodziła się na to od razu, nie omijając wszakże wiecznego pytania:

— Czy Kazio dostanie promocyę?

Odpowiedziałem. iż mam nadzieję. Z nierównie większą słusznością mógłbym wszakże powiedzieć, iż jej nie dostanie, gdyż Kazio był według mnie wyjątkowym osłem (panna Helena utrzymuje wprawdzie, iż jest on tylko nieuważnym chłopczykiem). — Niemało nas ten chłopak nagniewał. Wszystkie nasze usiłowania odbijały się, jak groch o ścianę, o twardą mózgownicę Kazia. Zdaje mi się, że cielę nauczyłbym już mnożenia po tylu trudach. I dziwna rzecz: włazły w tę głowinę dwa działania arytmetyczne i tyle zajęły tam miejsca, że trzeciego wcisnąć ani sposób.

— Syn takiego ojca! — dziwiłem się nieraz.

http://rcin.org.pl

— Kto wie — odpowiedziała kiedyś panna Helena. — Może to okaz przyszłych ludzi.

— Jak to pani rozumie? — zapytałem zdziwiony.

— Sama nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Miałam na myśli ludzi tejże pozycyi społecznej, co pan Kwaśniewski. On będzie tylko dalej prowadził to, co ojciec rozpoczął, a wszak do tego mniej sprytu potrzeba.

W każdym razie Kazio jest wyjątkowym osłem. To pewnik niezbity. Byłbym może dziś jeszcze porzucił takiego pupila, gdyby mi te korepetycye nie dawały sposobności widywania się z panną Heleną.

Lekcyę przeciągałem umyślnie dopóty, dopóki ona nie przyszła. Wtedy zadawałem Kaziowi umyślnie jakie zadanie i w ten sposób zyskiwałem kilka minut. Stawałem we drzwiach, jak gdyby każdej chwili gotów do wyjścia, i rozpoczynałem rozmowę o wypadku dnia, o przeczytanej książce, lub o czemś podobnem. Nieraz wpadaliśmy na temat najnowszych doktryn naukowych i, łatając wzajemnie urywkowe wiadomości, rozprawialiśmy z takim zapałem, żeśmy mogli zapomnieć o Kaziu, gdyby nie to, że chłopak ten co chwila przypominał nam swoją osobę.

— Sześć razy siedem? — wołał piskliwym głosem. — Proszę pana! — krzyczał w obawie, by mu te dwie cyfry nie wyfrunęły z głowy.

http://rcin.org.pl

Panna Helena milkła wtedy i spoglądała wyczekująco na mnie, dając mi do zrozumienia, iż rzecz wchodzi w zakres mojej specyalności. Odpowiadałem Kaziowi opryskliwie, by w tejże chwili podjąć wątek rozmowy.

— Z pana nieświetny pedagog—mówiła nieraz.

— Ach, ten chłopak stanął mi już kością w gardle.

— Więc czemu pan lekcyi nie porzuci?

— Jeszcze tylko kilka tygodni. A wreszcie powiem pani szczerze... Wreszcie, po co to mówić?

— O, nieładnie. Zacząć i nie skończyć...

— Ja... dla mnie... Rozmowa z panią sprawia mi wielką przyjemność. Wszak mi pani tego za złe nie bierze?

— Odpowiedziałabym panu podobnież, gdyby... Gdyby nie to, że pora wziąć się do roboty — zakończyła z uśmiechem.

Z przedpokoju zawróciłem się pod słabym zresztą pretekstem.

— Chciałem panią zapytać, czy mam przynieść książkę, o której mówiliśmy?

— Proszę bardzo.

— Bo... tego...

— Co pan mówi?

— Przyniosę. O, napewno przyniosę.

Uściśnieniem ręki pożegnaliśmy się po raz drugi tego dnia.

http://rcin.org.pl

Pan Kwaśniewski sprawy mojej nie zasypiał: w kilka dni po naszej rozmowie wręczył mi list rekomendacyjny do fabryki „Borwicz, Szwineiger, Lafère i S-ka".

— Zarządzającym—mówił—jest tam Walicki, ojciec panny Heleny. Człowiek bardzo zdolny w swoim fachu, trochę może przeszłością pachnie, a wreszcie sam pan zobaczysz. Nie jest on może w moim guście, ale trudno. W naszych czasach wybrednym być nie można. Lafère za to — ministeryalna głowa, powiadam panu.

Wiadomość, iż mam zostać uczniem jej ojca, wywarła na mnie silne wrażenie. Nie omieszkałem, rozumie się, podzielić się z nią tą nowiną.

Aż w ręce klasnęła i, jak gdyby zawstydziwszy się tego, dodała spokojnie:

— To będzie dobre... dla pana.

— I ja tak sądzę. O pani ojcu mówią wszędzie pochlebnie.

Nie mogła się wszakże przezwyciężyć i dodała:

— Będziemy mogli nieraz dłużej i spokojniej porozmawiać. Bo, przyznam się panu, że te rozmowy we framudze drzwi nie są najponętniejszą formą prowadzenia dysput.

— A przytem—wtrąciłem—nasz mały Herodek skrzeczy niemiłosiernie.

Roześmiała się serdecznie i pocałowała Kazia w czoło, czego zresztą nigdy nie czyniła.

http://rcin.org.pl

— Bo też pan uprzedził się do niego.

W fabryce odebrał ode mnie list jakiś poważny jegomość. Podczas gdy czytał, rozmyślałem, który to ze spólników być może. Okazało się, że żaden z nich.

— Dyrektorów niema na razie. Przyjdź pan o... o piątej, powiedzmy.

O piątej dowiedziałem się, że to nie jest „godzina interesowa“ i że należy się zgłosić w południe. W południe pytano mnie zgryźliwie, czy nie zwykłem obiadów jadać. Dość, że dopiero na trzeci dzień udało mi się zastać dyrektora. Sądząc z jego tuszy i szerokiej twarzy bez zarostu, musiał to być pan Szwineiger.

— Czem jest pański ojciec? — zapytał, przeczytawszy mój list.

— Rodzice moi nie żyją.

— Rodzeństwo jest?

— Mam brata młodszego.

— Tee... widzi pan: gimnazyum filologiczne. Czemuś pan szkoły technicznej nie kończył?

Nic na to nie odpowiedziałem; zresztą i on nie czekał mojej odpowiedzi. Pochylił się nad tubą, umieszczoną przy biurku i krzyknął:

— Pana Walickiego do kantoru!

Poczem zwrócił się do szwajcara i wskazał na mnie ręką.

— Mechaniczne—na piętro.

Już miałem wyjść za szwajcarem, gdy w tejże

http://rcin.org.pl

chwili wpadł jakiś dziarski ruchliwy jegomość. Mruknął „dzień dobry“ Szwineigerowi, a spostrzegłszy mnie, zapytał szybko:

— A co to?

— Rekomendacya—odpowiedział leniwie Szwineiger, wyciągając ku niemu list.

Pan Borwicz (domyślam się przynajmniej, że on to był) przeczytał kartkę i zwrócił się do mnie:

— Więc pan z gimnazyum?

— Tak jest, proszę pana.

— A to wspaniałe! Ciekawy kawał... I pan do nas?

— Chciałbym się rzemiosła nauczyć.

Ten przyjął mnie owacyjnie. Wyraził swój zachwyt nad szczęśliwą myślą, która mnie „na tory najuczciwszej, bo najprodukcyjniejszej“ pracy popchnęła, i zakończył nadzieją, iż stanę się niezadługo dzielnym jego współpracownikiem.

— Ciekawy kawał!—wołał jeszcze, gdym odchodził ze szwajcarem.

Tego dnia było widocznie zbiegowisko dyrektorów, gdyż w sieni spotkaliśmy bardzo modnie ubranego jegomościa z krzywym grymasem na ustach. Rzucił on szwajcarowi palto i zatrzymał mnie zapytaniem, czego sobie życzę. Szwajcar wyręczył mnie w odpowiedzi. Jegomość spojrzał na mnie badawczo i pociągnął z lekka nosem, potem machnął ręką, dając nam do zrozumienia, byś-

http://rcin.org.pl

my poszli swoją drogą, sam zaś wszedł do biura z cylindrem w ręku.

Minęliśmy podwórze, przez wązką furtkę dostaliśmy się na olbrzymi czworobok, zamknięty z trzech stron olbrzymiemi zabudowaniami.

— Tu, na pierwsze piętro — rzekł szwajcar, wskazując mi drogę.

Otworzyłem drzwi i, ogłuszony łoskotem, jaki się z wewnątrz dobywał, cofnąłem się na razie. Wydało mi się, iż ten łoskot pochodzi głównie z góry, gdzie u pułapu wirowała nieskończona ilość mniejszych i większych kół, osadzonych na osi tak długiej, jak pokój. Wnet jednak dochodzi przygłuszający huk, powtarza się miarowo, na czas jakiś milknie i wtedy rozlega się syk, rozdzierający uszy; we wtór wpada mu metaliczny dźwięk i echem rozbija się po sali. Na chwilę wszystko milknie, tylko koła u sufitu, obracając się wartko, mruczą zda się jakąś monotonną nutę. Lecz oto z końca sali słychać ciężkie, przytłumione westchnienie; dwa potężne ramiona wyciągają się powoli do góry: tam olbrzym jakiś ze snu się obudził i przeciąga się leniwie. Ramię podnosi zwolna coraz to wyżej, już sufitu sięga i, zda się, że lada chwila w górę je wyrzuci; gdy wtem opuszcza je na dół z błyskawiczną szybkością, jak gdyby rzucał się na upatrzoną ofiarę. Rozlega się trzask walącego się drzewa, kilka głuchych przeciągłych uderzeń, jak echo dalekiego gromu; tuż przede

http://rcin.org.pl

mną świsnęło coś przeraźliwie, przebiegło echem salę, by wpaść tam w ogólny chór, w ten piekielny zamęt dźwięków, i wśród wycia, szumu i łoskotu zatrząść całym budynkiem.

W głowie mi się zakręciło; już dźwięków nie odróżniam. Machinalnie wyciągam ręce przed siebie i natrafiam na zimny metal. Przestraszony, cofam je natychmiast i zdaje mi się, że słyszę śmiech wrzaskliwy za sobą. Oglądam się: to znów maszyna.

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego tak gazety piszą, dlaczego tyle się o tem mówi, tyle stąd spodziewa: — tu potęga leży.

Powoli ucho się przyzwyczaiło do zgiełku i mogę rozejrzeć się naokoło. Maszyny ustawione były w trzech długich rzędach. Tuż pod ścianą coś w kształcie karykaturalnego, długiego łóżka— to heblarnia; tuż obok coś, co przypomina tłustą babę, która jakby brodą uderzała o płyty żelazne, pozostawiając po każdem uderzeniu okrągłą dziurę—to bormaszyna; dalej potwór jakiś upadł, zda się, na kolana, wyprężonemi rękami oparł się o ziemię i, łeb w tył przechyliwszy, rzyga gwoździami; w kącie potężne ramiona— to dwa młoty parowe, gruchoczące zajadle czerwone żelazo, następnie cały szereg maszyn o jak najdziwaczniejszych formach, których znaczenia nie mogę się nawet domyślić.

Ludzi było tu sporo, spostrzegłem ich jednak

http://rcin.org.pl

dopiero pod koniec. Człowiek tu małał i nikł zupełnie. Można go było przeoczyć, jak się nie dostrzegało setek nitów i śrub na maszynach.

Dziwnie uderzyła mnie ponura powaga, nawet pewne skupienie, jakie malowało się na każdej prawie twarzy. Ludzi tych widywałem dawniej jedynie na Saskiej Kępie i Ujazdowie; stąd też wyniosłem przekonanie, że ludek nasz jest głupi, zdrów, a przedewszystkiem wesół. Tutaj byli to zupełnie inni ludzie.

— A, to pan?—zawołał ktoś rubasznie.

Przede mną stał wysoki, barczysty mężczyzna, o sumiastych wąsach i energicznej twarzy.

— Pan Walicki? — zapytałem.

— Aha. Chodź pan za mną.

Musiałem dobrze lawirować, by przejść między dwoma szeregami maszyn. Co chwila potykałem się o coś, lub też byłem potrącany przez którego z robotników. Gdyśmy przechodzili, niejeden podniósł oczy, spojrzał obojętnie i wnet wracał do roboty.

Znalazłem się w małym pokoiku, zawieszonym wszelkiego rodzaju próbami i narzędziami. Pod ścianą stała niewielka tokarnia, stół ze śrubsztakiem, koło do szlifowania i kilka przyrządów podręcznego warsztatu. Pod oknem olbrzymi stół, zarzucony rysunkami.

— Jak się pan nazywasz?—zaczął pan Walicki, siadając na krześle.

http://rcin.org.pl

— Zaliwski.

— Proszę usiąść—mruknął, wskazując drugi stołek.—Co pan umiesz?

— Skończyłem gimnazyum.

— To niewiele.

Zmieszałem się trochę. Pan Walicki spostrzegł to widocznie, gdyż dodał wnet:

— Dla mnie może i za dużo, ale dla fabryki...

Kiwnął głową, wstał i poprowadził mnie do tokarni.

— Weź pan to — rzekł, podając mi sztamajzę. — Schwyć pan, jakbyś pan chciał toczyć.

Domyślałem się zaledwie, jak taki instrument ująć należy, schwyciłem go zatem dosyć niezręcznie.

— Tee!... Dajno pan. Tak trzyma się sztamajzę.

Wyrwał mi ją z ręki, chwycił energicznie obu rękami, nogę naprzód wysunął i stanął w tej pozycyi.

— O! — krzyknął, patrząc na mnie nie bez wyrzutu.

— Wreszcie na toś pan tu przyszedł, by się czegoś nauczyć—wtrącił na pocieszenie.

I, powróciwszy do stołu, począł mi wykładać porządki fabryczne.

— U nas, panie, jak w zegarze. O szóstej na miejscu, o siódmej precz! I ja tak muszę. Jeść, palić fajki lub papierosów nie można, gadać du-

Ze zbiorów

http://rcin.org.pl

żo — również. Stać i swoje robić. Taki u nas porządek. I to wszystko!

Podjął łokciowy ołówek i zaczął nim bazgrać po stole.

— Są podobno jakieś reguły fabryczne? — odważyłem się zapytać.

— Reguły... Te może, w kantorze? Pluń pan na to. Nigdy w życiu ich nie czytałem. Dziesięcioro przykazań pan znasz, słyszałeś, com mówił? Więcej nie potrzeba!

Ta obcesowość, z jaką przemawiał, ostudziła mnie cokolwiek. Chcąc zmienić ton, wtrąciłem po długiem milczeniu:

— Mam przyjemność znać pańską córkę.

— Helę?—zapytał, nie przestając rysować.

— Tak jest, pannę Helenę.

— Na obiad masz pan półtorej godziny pauzy—rzekł po chwili.

Zapytał jeszcze, ile mam lat i czy od jutra chcę rozpocząć; mówił, iż z początku nic płacić mi nie będą. Następnie wstał i spojrzał na zegarek:

— Toć już południe.

Jakby w odpowiedzi, rozległa się wrzaskliwie świstawka fabryczna.

— Pan gdzie mieszkasz?

— Na Pięknej.

— Pójdziemy razem—zdecydował, kładąc na siebie palto.

http://rcin.org.pl

Z trudem przepchaliśmy się przez tłum, zalegający podwórze.

— Aa!—westchnąłem na ulicy, jakby mi ciężar jaki spadł z piersi.

Pan Walicki idzie milcząc. Od czasu do czasu przygląda mi się bacznie i chce widocznie coś powiedzieć.

— To pan znasz Helcię — zaczął wreszcie.

Słowa te były wypowiedziane już znacznie łagodniej. Czuć było w nich pewne niezdecydowanie.

— U państwa Kwaśniewskich — odpowiadam.—Daję tam również lekcye.

— Tak?

Po kilku minutach zapytuje niespodziewanie, zatrzymując się na ulicy.

— Prawda, jaka to dzielna dziewczyna?

Było to wprost niedopowiedziane.

Moje potakiwania sprawiają mu widocznie przyjemność, gdyż powtarza co chwila, uśmiechając się nieznacznie pod wąsem:

— Ba! gdybyś pan ją znał!

Spojrzałem na niego, taż sama twarz, co przed chwilą w otoczeniu maszyn wydała mi się ponurą i surową, teraz robi wrażenie dobroduszności. Pierwsze lody zostały przełamane. Mówił mi jakiś czas o swej Helci, o tem, jaka to zbytnica była w dzieciństwie; a potem zwrócił rozmowę, bez żadnego przejścia, na stosunki fabryczne.

http://rcin.org.pl

— Kto tam właściwie rządzi?—pytałem.

— Kto? W fabryce ja, niby, i wtrącać się im nie pozwalam, a w kantorze wszyscy trzej gospodarują. Borwicz jest głupi bez Szwineigera, Szwineiger bez Borwicza, obaj bez Francuza. Szwineiger prowadzi książki, rachunki, robi oszczędności, pisze listy, kontroluje kasę. Borwicz stara się o obstalunki, roboty rządowe i miejskie, staje do licytacyi, wyprawia śniadania, gdy trzeba, jada tam, gdzie jeść wypada, upija się, gdy tego interes wymaga, utrzymuje stosunki z władzą, począwszy od rewirowego, a skończywszy na inspektorze fabrycznym: jednem słowem, reprezentuje firmę. Lafère ma najmniej do roboty. Wpada on raz na dzień do kantoru, wylizany, wyfioczony, z cylindrem w ręku, kłania się wszystkim i zasiada do stołu. Podają mu listy i on je dopiero klasyfikuje. Zdaje mi się, że ich nie czyta, tylko wącha. Otworzy kopertę, skrzywi się, pociągnie nosem i pisze czerwonym ołówkiem: „*Oui*" albo „*Non*". I nic więcej. Głowa Szwineigera w tem, by na te listy odpowiedzieć. Wspólnicy tak w to wierzą, że na żaden list nie odpowiedzą, póki go Francuz nie powącha.

— Do fabryki się nie wtrącają? — przerwałem mu.

— Jeszcze czego!... Ale jest! A jakże, jest Anglik... to „spółka" na końcu firmy. Niby technik, inżynier, a właściwie tylko pieniądze daje

http://rcin.org.pl

i dlatego siedzi w spółce. Przyjdzie nieraz do fabryki, chodzi od człowieka do człowieka, sztywny i milczący, jak mumia. Nieraz chcę mu wytłumaczyć i mówię, że tu naprzykład robimy motory gazowe. Patrzy na mnie wielkiemi ślepiami, słucha cierpliwie, na końcu mruknie: „*O yes, yes*“ i wychodzi. Nic szelma pewno nie zrozumiał. I to się inżynierem nazywa!

— Wszystkie narodowości razem?—dziwię się.

— A pan myślisz, że u nas gdziekolwiek inaczej? Idź pan, zobacz.

Żegnając mnie rubasznem uściśnięciem ręki, mówił:

— Nie bierz mi pan za złe, że jestem może mało gładki i polerowany, ale u nas w fabryce niema czasu na ceregiele.

Z odległości kilkudziesięciu kroków wołał na mnie, wymachując ręką:

— A obgadaj mnie pan tam przed Helcią!

Tego dnia poszedłem po raz ostatni na korepetycyę do państwa Kwaśniewskich i na zakończenie wcisnąłem w główką Kazia tabliczkę mnożenia.

— No, jakże? — zapytuje z progu panna Helena.

— Jutro idę do fabryki.

Zdziwiła się zrazu, poczem schwyciła obie moje ręce i ścisnęła je silnie. Rumieniec na twarz

http://rcin.org.pl

jej wystąpił, a w oczach łzy nawet zabłysły. Był to szczery, siostrzany uścisk.

— A ojciec mój jak się panu podoba?

— Jestem nim prawie zachwycony.

— Jak to dobrze! — zawołała z ożywieniem.

Oparła się o framugę drzwi i, przechyliwszy głowę, mówiła:

— Pan się pewnie dziwi, czemu ja się tak cieszę z pańskiego postanowienia. Ja tego nawet dobrze wytłumaczyć nie potrafię. Gdym czytywała artykuły, o których pan nieraz wspominał, przejmowałam się nimi bardzo i złożywszy gazetę, szukałam na świecie podobnego obrazu. Żem go nie widziała, sam pan chyba wie. Byłam raz w fabryce i widziałam maszyny. Artykuły silnie były pisane, maszyny były potężne... Gdybym się nie wstydziła, powiedziałabym panu wiersz, który, zda się, najlepiej mnie wytłómaczy... Niech się pan nie śmieje.

— Panno Heleno, ja ani myślałem o śmiechu—zawołałem nie bez wzruszenia.

— Mniejsza o wiersz. Ja mam przeczucie, że... że o panu będą kiedyś mówili. Jak to będzie i dlaczego, nie wiem, ale... Jeśli panu zależy cokolwiek na moich życzeniach, to...

Wyciągnęłą obie ręce po raz drugi ku mnie.

— Czy pan wytrwa? — pyta szeptem.

— Pani wątpi?

http://rcin.org.pl

— Nie, nie... Ja w to wierzę. Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli pan kiedyś zwątpi, jeśli przyjdą dla pana przykre chwile (a w życiu ich dużo), to niech pan wtedy do tych przyjdzie, co mu dobrze życzą.

Tu już nie wytrzymałem i pocałowałem ją w rękę. W tejże chwili uczułem na czole jej pocałunek.

— Ja wytrwam — mówię z trudem, gdyż w gardle więzną mi słowa. — Jak Boga kocham, wytrwam!...

Na to wszedł Kazio i położył koniec tej scenie.

Po drodze do domu wymarzyłem całe moje życie, tak brzemienne w pożyteczne i szlachetne czyny.

— A gdy mi wieniec sławy podadzą—marzę, a łzy kręcą mi się w oczach—wtedy powiem im, że nie ja, to ona... Hela sprawiła.

Jutro więc idę do fabryki.

Czyż mogę być niezdecydowanym? Czyż mogę zwlekać, gdy wszystko, w co wierzę, wszyscy, których szanuję i kocham, w tamtą popychają mnie stronę, tam, a nie gdzieindziej iść każą? Tam czeka mnie praca, lecz i najsłodszy jej owoc: korzyść społeczna tam czeka mnie nawet osobiste szczęście.

Nie tylko, że wytrwam, ale oto znowu sam przysięgam sobie, że gdy wiary nie starczy, siłą

http://rcin.org.pl

pokonywać będę; gdy wytrwania zbraknie — uporem się zmuszę.

Tak będzie, tak być musi!

— Przedewszystkiem jednak—mówiłem, kładąc się do łóżka — chłodna rozwaga tak mi nakazuje.

---

http://rcin.org.pl

III

Nazajutrz wstępowałem z namaszczeniem w gościnne wrota fabryki.

— Oto najlepsza politechnika, najszczytniejszy uniwersytet —powtarzałem w myśli słowa pana Kwaśniewskiego.

Idąc za wskazówką Walickiego, zacząłem swe wykształcenie od toczenia. Na krążek żelazny wbiłem klocek drzewa, przykręciłem do wystającej śruby, a zarzuciwszy sztamajzę na boczne koło, schwyciłem ją oburącz i oparłem na podstawce. Ostrze liznęło okrąglak, wióry posypały się z sykiem. Obracam moją sztamajzę na wszystkie strony, chcąc nadać klocowi formę kuli, przyciskam silniej, a z kloca zamiast kuli pozostał długi cienki badyl—chwila, i ten prysnął. Nie zrażony niepowodzeniem nabijam drugi klocek. Tym razem poszło jeszcze gorzej. Niewprawna ręka drgnęła i sztamajza pod kloc się dostała. Szybki obrót wyważył mi ją z ręki i cisnął w twarz: był to policzek od maszyny. I ten mnie nie zraził.

http://rcin.org.pl

Niezmordowanie powtarzałem to samo przez cały dzień, aż wreszcie pod wieczór udało mi się utoczyć coś, co z kształtów swoich przypominało kulę. O szóstej zawołano mnie do kantoru i kazano podpisać drukowany schemat, poczynający się od słów: „Ja, niżej podpisany, zobowiązuję się“...

Wchodzi na to pan Borwicz i uderzając mnie po ramieniu, mówi dobrodusznie.

— Co będziesz pan to czytał? Głupstwa. Chlaśnij pan pod spodem nazwisko i dosyć. Tam powiedziano, że obowiązujesz się pan stosować do przepisów fabrycznych. Dobre to dla naszych warsztatowych kopciuszków, ale dla pana?...

Nie czytając wszystkich ośmiu punktów, położyłem swój podpis na końcu.

— A teraz — cedził pan Szwineiger — trzeba złożyć kaucyę. I czego się dziwi? Każdy robotnik odpowiada pensyą za uszkodzenia. Pensyi tu nie będzie, a nam potrzebna gwarancya.

— Dajże pan spokój — krzyknął Borwicz. — Na co kaucya? Po co kaucya? Dla kogo kaucya?

— *Geschäftsmässig* — mruknął lakonicznie pan Szwineiger.

Zaczęli się kłócić po niemiecku. Szwineiger obstawał przy swojem i nie wychodził ze swej flegmy. Pan Borwicz zaczerwienił się, zaperzył, wymachiwał ręką przed nosem wspólnika.

— Kiedy to sensu nie ma — wołał.

http://rcin.org.pl

— *Geschäftsmässig* — powtórzył z flegmą Niemiec.

— A psia krew—zaklął Borwicz, i zwracając się do mnie, zapytał:

— Masz pan pieniądze? Bo z tym nie poradzisz. Oho!

— To zależy, ile?

— Pięćdziesiąt rubli—wtrącił z niezmąconym spokojem pan Szwineiger.

— Tyle będę miał.

— A no, musisz pan dać, bo mój kochany wspólnik...

I wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Wychodząc z fabryki, pomyślałem, iż panna Helena wraca o siódmej z lekcyi.

Nie namyślając się tedy długo, pobiegłem na Marszałkowską ulicę. Los sprzyjał mi widocznie, gdyż na rogu Chmielnej spotkałem ją.

— A pan co tu robi?—zawołała ze zdziwieniem.

— Ja... ja mam... interes bardzo pilny.

— Zatem nie zatrzymuję pana.

Podała mi rękę, nie domyślając się niczego. Ja zaś, rad nie rad, pożegnać się musiałem.

Przeleciałem oto pół miasta, zgrzałem się, jak pies, na to, by zadyszanym głosem powiedzieć, iż mam interes. Złość na własną niezręczność zasnąć mi nie dała. Na drugi dzień powtórzyłem wszakże próbę, a chcąc zapewnić sobie

http://rcin.org.pl

pomyślny skutek, postanowiłem co innego powiedzieć.

Przywitała mnie podobnem zdziwieniem. Odpowiedziałem jej, iż dopiero co załatwiłem interes. Poszedłem tedy razem z nią, opowiadając jej wrażenia z fabryki. Ją to widocznie interesowało, gdyż co chwila przerywała mi pytaniami.

— Ojca mego — mówiła — nudziłam, rozpytując o pana. Ale od niego, jak zwykle, niczego dowiedzieć się nie mogłam.

Wyjąłem z kieszeni utoczony klocek, by pokazać jej owoc całodziennej pracy.

— Cóż to jest? — zapytała, przyglądając się uważnie.

— Kula — odpowiedziałem trochę zmieszany.

— A co się z tego potem zrobi?

— Nic się nie zrobi — mruknąłem, już zupełnie zawstydzony.

— A, dla wprawy?

— Zaproponowałem jej przechadzkę i prowadziłem w kierunku alei Ujazdowskich.

Idę milcząc, gdyż nie mogę zapomnieć jej zapytania.—„Co to jest?“—pytała na widok tej kuli, nad którą ja przez dwa dni się męczyłem. Dla mnie był ten niezdarny klocek najidealniejszą na świecie kulą. Wszak przyglądałem mu się tak długo, tak długo poprawiałem i czyściłem. Chciałem nawet wypolerować, tylko, że glaspapieru mi nie dali. I po tem wszystkiem ona pyta, co to

http://rcin.org.pl

jest.—A spotyka mnie to po raz drugi. Wróciwszy wczoraj do domu, powiedziałem Michasiowi, iż mu piłkę przyniosłem. Chłopak rzucił mi się na szyję, a gdym z dumą mój klocek wyciągnął, skrzywił się i zawołał:

— Ee... taka piłka?...

Miałem ochotę wziąć go za uszy.

— Nie chcesz, to nie — odpowiedziałem lekceważąco; a jednak przykro mi to było.

— Zrobię prezent pannie Helenie — pomyślałem, i z tą myślą nosiłem się cały dzień.

Aż tu spotyka mnie po raz drugi to samo. „Cóż to jest?"—pyta.—Nie, albo ja mam krzywe oczy, albo... już sam nie wiem co.

— Wie pani, co mi teraz przyszło do głowy? — zacząłem pod wpływem tych myśli. — Wszak do wszystkiego potrzeba pono zdolności? A ja?...

Tu spojrzałem na kulę, którą panna Helena trzymała w ręku, i zaczerwieniłem się po same uszy.

— Jesteś pan dzieciak, nieznośny dzieciak!— zawołała, zatrzymując się na ulicy.

— Dzieciak...

— Proszę nic nie mówić, ani słowa. Bo się pogniewamy. Nieznośny!

Pociągnęła mnie na pierwszą ławkę z brzegu.

— Teraz ja panu reprymendę powiem — mówiła, siadając koło mnie.—Niech mi pan w oczy

http://rcin.org.pl

spojrzy... I panu nie wstyd? Po pierwszym dniu, po kilku godzinach?

Zacząłem się usprawiedliwiać, iż to jej milczenie nasunęło mi te myśli. Panna Helena wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— Tak pan to sobie tłumaczy? A ja byłam w tej chwili egoistką i myślałam o sobie. Ten klocek oto przedstawia jakąś wartość, coś pozytywnego: jest dotykalnym owocem pracy. A ja co robię? Chwilami wydaje mi się, że moje nauczycielstwo jest tylko dobrze odegraną komedyą, że chodzę na lekcye jedynie po to, by pierwszego pensyę otrzymać, że jestem dobrze nakręconym zegarem, który kołacze ciągle, bo go w szkole nakręcono. Nieraz, gdy obejrzę się za skutkami mej pracy, nie widzę ich nigdzie. I to do rozpaczy mnie doprowadza. Wtedy uważam siebie i zajęcia swoje za nieużyteczny i zbytkowny dodatek do książkowego abecadła. O, wolałabym stokroć takie oto klocki toczyć, byle módz powiedzieć: „to ja zrobiłam“, bym mogła widzieć to, czuć, dotykać...

— Pan się pewno dziwi mej szczerości?—dodała wkońcu i tak się zamyśliła, że nie słyszała nawet moich słów.

Po chwili, jak gdyby ze snu się budząc, zawołała:

— Wie pan, zeszłego roku wybierałam się na uniwersytet do Szwajcaryi. Skończyło się to

http://rcin.org.pl

rozumie się na niczem: ojciec słyszeć nawet nie chciał. Wtedy myślałam zostać akuszerką.

— Aku...? — przerwałem zdziwiony, nie mogąc nawet dokończyć zdania.

— Pan się dziwi? A gdzież się podziały zasady? I ja chciałam coś robić, a nie udawać, że pracuję. Lecz i o tem ojciec słyszeć nie chciał. Potem myślałam o koszykarstwie... Ale ja pana zanudzę tą spowiedzią... Dziś jestem nauczycielką i chyba tem zostanę.

Pokonany jej szczerością, wpadłem bezwiednie na tory dla mnie nowe: zacząłem myśleć o swej przeszłości, niezbyt bogatej w miłe wspomnienia. Zarażony otwartością, uczułem potrzebę użalenia się na niejedno niepowodzenie minionych lat. Ona mówiła jeszcze coś o sobie, mówiła smutnym, prawie łzawym głosem. Ja wszakże nie słyszałem ostatnich słów. Ogarnęła mnie egoistyczna chęć wyspowiadania się; potrzebowałem otworzyć całą duszę, opowiedzieć wszystkie marzenia, myśli i pragnienia, kryjące się pod sztuczną powłoką rozsądku

I polała się struga wymowy, którą tak łatwo znajduje się w takich chwilach.

O czem wtedy mówiłem, nie pamiętam, wiem tylko, żem długo mówił. Północ biła na wieżowych zegarach, gdyśmy wstali z miejsca.

— Pani — mówiłem — najlepiej określiła, czego ja się od przyszłości spodziewam, że w przy-

http://rcin.org.pl

szłości coś się stanie, że ja się wybiję, że... Albo ja wiem wreszcie, jak to będzie. Wierzę, żem obrał uczciwą drogę, i wierzę w to, iż kiedyś dojdę do celu.

Bezwiednie zadałem sobie pytanie: „dokąd?“ a nie znalazłszy lepszej odpowiedzi, powtórzyłem po raz drugi:

— Do celu.

Weszliśmy na Nowy-Świat. Panna Helena ujęła mnie pod rękę, a ja wtedy dopiero spostrzegłem, że jestem w bluzie i że niosę blaszankę do wody w lewej ręce. I ona to zauważyła, gdyż zwróciła się do mnie z zapytaniem:

— Widzi pan, jak się ludzie na nas patrzą?

I rzeczywiście dziwną stanowiliśmy parę. Ja w bluzie i z blaszanką robotniczą, ona w zgrabnem futerku, w modnym kapeluszu i w rękawiczkach. Zauważyłem, jak mijając dwóch studentów, którzy arogancko patrzyli się nam w oczy, przycisnęła się silniej do mego ramienia i dumnie na nich spejrzała.

— Jakaż ona dobra — pomyślałem.

A jednak, gdy pierwsze wrażenie minęło, powróciłem myślą do jej słów:

Akuszerka? Fe!...

Ja bo przedstawiałem sobie akuszerki, jako stare, tłuste, niezgrabne babska, a już panny Heleny w żaden sposób tak sobie wyobrazić nie mogę.

http://rcin.org.pl

— Chociaż — tłumaczyłem sobie — trzeba być konsekwentnym i nie odpychać rzeczy, które wziąwszy pod zimną rozwagę...

Niech to będzie wreszcie i największe głupstwo, niechaj będzie nawet idealizacyą, ja jednak nie potrafię o tem myśleć spokojnie. Pannie Helenie nie powiem, rozumie się, tego: gotowa mnie wziąć za zacofańca.

Bo, oczywiście, jestem wstrętnym zacofańcem. Zastanowiwszy się dobrze...

Długom to przeżuwał.

Wszedłem w nadzwyczaj ruchliwe, czynne życie. Praca w fabryce nie tylko że mnie zajmuje, ale wprost pochłania całą moją uwagę, wszystkie myśli i pragnienia na drugi plan usuwa. Nie jest to może robota porywająca, — owo toczenie klocków i nadawanie im najdziwaczniejszych form.

Ale to początek—pocieszam siebie. — Jestem na drodze, a to bardzo wiele znaczy.

Bywa nieraz, że słońce figla mi spłata, i zajrzawszy przez zakopcone szyby uśmiechnie się do mnie tak ponętnie, że bezwiednie pracować przestaję. Opieram się na śrubsztaku i błądzę oczyma po Wiśle, którą tak znakomicie widać z mego okna. Patrzę na barki, snujące się leniwie po wodzie, na łodzie rybackie, na tratwy, które, zda się, ugrzęzły na środku rzeki; wodzę oczami po piaszczystem wybrzeżu Saskiej Kępy

http://rcin.org.pl

i gubię spojrzenie na tem rozległem morzu pól, co się aż hen, pod Grochowem, Kałuszynem i Wawrem krętą linią lasów odgradza. Póki jeszcze słońce równo krajobraz ten oświeca, mozajką barwi brudną wodę Wisły, złoci piaski wybrzeża, czerwieni krzywe wierzby i ożywia odległe pola, — póty z uśmiechem jeno patrzę i odczuwam niewyraźne zadowolenie. Lecz skoro chmury cień na rzekę rzucą, mgłą otoczą przeciwne wybrzeża, szarą barwą pola pokryją, by gdzieś tam w kącie, pod kałuszyńskim lasem wybrawszy osadę, cisnąć na nią promień złotego światła i podwójne w niej życie obudzić, ze wspaniałą wypukłością zarysować każdą chałupę, każdą ścieżkę, każdy zagon prawie — wtedy porywa coś człowieka i w tę kąpiel słoneczną unieśćby chciało. To już nie uśmiech zadowolenia, ale dziwna, nieokreślona tęsknota.

— Tak to się pracuje? — budzi mnie z zadumy jakiś suchy, rozkazujący głos.

To pan Walicki przypomina mi obowiązek. Przestroga wywołuje mi rumieniec na twarz: wstydzę się przed sobą i przed nim za to marzycielstwo. Z podwójnym impetem zabieram się do toczenia i po chwili topię duszę w tem zajęciu. Już mnie teraz słońce nie oderwie. A jeśli czasem, tak ot — niechcący (tylko niechcący) wzrok od kloca oderwę i spojrzę na pole, uczuwam wtedy dumę, żem siebie zdołał pokonać.

http://rcin.org.pl

Niechaj tam będzie jak najpiękniej — ja tu zostanę. A tam słońca widoki, chętki spacerów leniuchom zostawię. Ja bo jestem człowiekiem pracy.

Dzień spędzam przy tokarni, wieczorami pomagam bratu w szkolnych zajęciach, noce zaś przepędzam nad książką. A wszystko robię z taką ochotą, z takiem życiem i werwą, iż niejeden mi tego zazdrości. Bywało, spotka mnie kto na mieście, a z daleka już spieszny mój krok naśladuje i tak niby, pół żartem, pół seryo, chwyta mnie w objęcia. W uścisku tym, mimo życzliwości, jest i mały, bardzo mały cień zazdrości. Gdy mnie taki zbiedzony i znudzony studencik uściska, to w jego sennych oczach czytam ukrytą myśl: „Jakżebym ja chciał być takim".

Dusza rwała mi się wówczas do życia, do pracy. Nie było obowiązku, nie było polecenia, od któregobym się uchylił. Sądzę, że gdyby mi kto kazał ciężar stofuntowy przenieść na drugi koniec miasta, podjąłbym się tego z przyjemnością, chociażby na to, by pokazać, iż dwieście funtów udźwignę. A co najważniejsza, praca darzyła mnie szczerem zadowoleniem, dawała nawet szczęście. Czułem, iż żyję i żyć pragnę.

Nieraz zasiedzę się nad książką do północka i nie rozbierając się, upadam na łóżko, by za pięć godzin porwać się i biedz do fabryki. Inni z przekleństwem opuszczają wtedy ciepłą pościel — ja

http://rcin.org.pl

potrafiłem zachwycać się jeszcze porankiem. I dziś jeszcze pamiętam, jak silne wrażenie czyniła na mnie ranna godzina. Komu się bodaj raz zdarzy wyjść w pogodny świt na ulicę, zanim miasto ze snu ciężkiego się obudzi, ten nie zapomni tego wrażenia. Jest to coś, co wymyka się wszelkiemu określeniu: jakby fragment bajki, zasłyszanej w dzieciństwie, mętne, niewyraźne przeczucie czegoś, szczypta obawy, która jednak mile łechcze człowieka. Latarnie palą się jeszcze na pustej ulicy. Nie wiem czemu, ale to światło za dnia gromnicę mi przypomina. Naokoło ani żywej duszy: najlżejszego szmeru ucho nie pochwyci. Sklepy i bramy domów szczelnie pozamykane, a ulica świeci grobową pustką. Ponura, pogrzebowa cisza, potęguje wrażenie, pobudza zmysły i mistyczne wywołuje obrazy.

Usłyszawszy czyjeś kroki, zatrzymuję się bezwiednie i słucham: to echo moje kroki odbija. Wreszcie na zakręcie ulicy spotykam człowieka. „Dzień dobry", jakiem pozdrawiamy się wzajemnie, brzmi wyjątkowo ciepło i życzliwie: ranna godzina tę życzliwość rodzi. Uszedłszy kilka kroków, odwracam głowę i spotykam jego wejrzenie. Zaciekawiliśmy się nawzajem. Przez małą, bardzo małą chwilkę mam złudzenie, iż nieznajomy wróci się ku mnie i opowie szeptem o... o czem, sam tego nie wiem. O jakiemś zdarzeniu wyjątkowem, o cudzie niesłychanym. Gdyż tej nocy

http://rcin.org.pl

zdarzyć się coś musiało — głucha tajemnicza cisza mówi mi o tem. Miasto jakoś dziwnie, bardzo dziwnie wygląda.

Idę dalej, — złudzenie pierzcha. Spotykam grupy robotników, baby spieszące na targ, wóz skrzypiąc toczy się przez ulicę, pies zdala zaszczeka: tu życie się budzi. Widzę już kominy fabryczne, a nad każdym z nich słup ciemnego dymu. I, dziwna rzecz, dym ten nie rozbija się w kłęby, nie faluje, nie stacza się na dół, lecz jak strzelił do góry, tak zawisł i stężał nad kominem.

Hen, zdala, dochodzi echo świstawki fabrycznej i w czystem powietrzu roznosi się szeroką, przeciągłą nutą. Wreszcie rozległy się miarowe uderzenia dzwonu. Echo biegnie wdal, wpada do sąsiedniej fabryki, zda się — rozbudziło i drugi dzwon; połączyło się z nim w zgodną nutę i biegnąc z podwórza na podwórze, z fabryki do fabryki, rozkołysało wszystkie dzwony i zlało się z nimi w jeden potężny chór:

— Do ro-bo-ty! Do ro-bo-ty!

Obrazy i marzenia pierzchają. I jak tu ta maszyna, co pod głos dzwonka w ruch puszczona zostaje, tak i ja krok mimowolnie przyspieszam. Chwila — i już także jestem w ruchu.

Szybko zbiega mi czas do wieczora. Ledwo świst przebrzmi i wołania „Feierabend" mu zawtórują, a już jestem na dworze i biegnę spiesz-

http://rcin.org.pl

nie do domu. Tu spotyka mnie Michaś, opowiada swe biedy szkolne, poczem zabieramy się do rozwiązywania zadań arytmetycznych. Skończywszy z nim, chwytam książkę, by z nią do późnej nocy przesiedzieć.

A mam tych książek dosyć. Studenci i moi znajomi wzięli mnie widocznie w opiekę, gdyż dostarczają mi więcej, niż mogę przeczytać. Nieraz, gdy mi w fabryce pójdzie dobrze, postanawiam zrobić sobie uciechę, „frajdę“, i wstępuję do antykwaryusza potargować się o książkę. Często „frajda" moja kończy się tylko targowaniem. Wtedy rozważam po całych dniach, czy pozwolić sobie na ten wydatek. Gdy zaś toczenie nie dopisze, karzę siebie surowo i książki nie kupuję.

Zdarza się też, iż rozrzewnię się nad swym talentem ślusarskim i płacę całe dwa ruble za książkę, nie targując się wcale.

Gdy tak siedzę w nocy przy lampce, skulę się, zatknę uszy i wczytuję się zapamiętale w „Historyę cywilizacyi“ Buckle'a, wtedy jest mi tak dobrze, że niczego więcej nie pragnę. Chwilami nawet myślę, że lepiej niż... Ot, lepiej, nie lepiej, ale tak samo, jak w fabryce. Czasami tylko, gdy do łóżka się położę, pomyślę, że cały dzień trzeba przeczekać, zanim będę mógł dalej czytać. Wtedy karcę siebie wyrzutami:

http://rcin.org.pl

— Oj, Kaziu, Kaziu, źle się z tobą dzieje! Na móla książkowego przecież się nie urodziłeś. Tem właśnie wyżej od innych stoisz, że jesteś człowiekiem pracy.

I dumny ze swej wyższości, zawijam się w kołdrę. Drżę nawet z niewytłumaczonego zadowolenia.

Jakiż ja wtedy szczęśliwy jestem!

Nocna praca przynosi również swoje owoce. Wiedza, jaką dorywczo czerpałem z książek i pism tygodniowych, była niestety wiedzą urywkową, nieraz nawet anegdotyczną, była jednak nie gorszą od dyletantyzmu młodzieży, która te rzeczy jako fach swój uważa. Bodaj że pod tym względem przewyższałem niejednego studencika. Przynajmniej gdy doszło do dysputy, potrafiłem swych poglądów bronić. Oni przyjmowali to z początku na pół protekcyjnie, czasem z uśmiechem, nieraz nawet opryskliwie. Wkońcu wszakże ulegli i, jakby na wytłumaczenie siebie, mawiali o mnie:

— O, to bardzo zdolny człowiek.

W niedzielę schodzę się z kolegami, zawieram nowe znajomości i zaczynam powoli wyrabiać sobie stosunki w świecie. Nie wiem, czy sobie, czy też swemu stanowisku mam zawdzięczać, że w niektórych kołach stałem się poważną figurą. Gdym mówił, słuchano mnie z uwagę; gdym milczał, zapytywano o zdanie. Zauważy-

http://rcin.org.pl

łem nawet, że kilku młodzieńców stara się pozyskać moje względy. A poczucie wyższości w towarzystwie obudza wiele cnót, które sobie zwykle spokojnie drzemią. Pozbyłem się mej niezaradności; zaczynam wyrażać się energicznie i nabyłem tego, co się dowcipem nazywa. Tak przynajmniej mówią o mnie.

Nieraz w kółku dawnych znajomych zapalimy się tak dalece w sprzeczce, że zbaczamy z gościńca teoryi i wchodzimy na kręte ścieżki osobistych docinków. Ja potrafiłem wtedy znakomicie środek utrzymać. W oderwane rozumowanie wplatałem przykład dotkliwy dla mego oponenta; w nawiasach rzucałem nieraz szpilkę tym, którym żółć rozsądek zalewała.

— Jaki pan złośliwy — mówiły panienki, uśmiechając się i mrużąc oczy.

Te uśmiechy, rzecz jasna, zachęcały mnie tylko.

Aczkolwiek to niepochlebne dla takiego bohatera, jakim wtedy byłem, przyznać wszakże muszę, że obecność kobiet przy tych dysputach sprawiała mi pewne zadowolenie, a zwłaszcza obecność panny Heleny.

Miało to jednak głębsze powody ponad zwykłą żakowską zarozumiałość, było skutkiem pewnej wątpliwości, którą kołatanie maszyny napędziło mi kiedyś do głowy:

— A nuż ona?...

http://rcin.org.pl

Myśl głupia, więc też sformułować jej nie potrafię. Pannę Helenę widuję obecnie rzadko, natomiast ojca jej oglądam przez cały dzień. Dziwnie opryskliwy jest on w fabryce. Człowiek ten ma aż dwa usposobienia, które mieniają się kolejno na progu fabrycznym. Niekiedy humor fabryczny wyniesie poza próg, do swego domu, jak mi to mówiła panna Helena. Odwrotnie jednak nigdy nie bywa. Uważa on za obowiązek być opryskliwym w fabryce, a zły humor — za niezbędny atrybut swego stanowiska.

— Ja panu każę okno deską zabić — krzyczy na mnie nieraz. — I co pan tam widzisz? Wrony na Wiśle?

Najczęściej stanie nade mną, popatrzy i nie rzekłszy ani słowa, idzie dalej.

Pewnego razu spostrzegłem, iż mój towarzysz po prawej ręce robi części do klucza elektrycznego systemu „Walicki". Zaciekawiło mnie to i przy pierwszej sposobności zagadnąłem starego o ten klucz.

— A no mój, niby — odparł.

Podobało mu się widocznie moje zainteresowanie, gdyż zatrzymał się i zwrócił moją uwagę na to, że należy „bardziej z dołu brać" przy toczeniu, a nawet pomógł mi w obrobieniu trudniejszego deseniu.

— Jak to? więc pan to zrobił? — pytam dalej.

http://rcin.org.pl

— Klucz niby? Pana to interesuje? No, to chodź pan! Wytłumaczę.

— Złożyłem narzędzia i chciałem już iść za nim.

— Tak pan zostawiasz maszynę! — huknął. — A tyle razy mówiłem: zrzucić pas.

I mrucząc pod nosem, poszedł za mną. Rozłożył na stole rysunki i zaczął objaśnienie temi słowy:

— Jak można zostawiać tak maszynę?... Tu, widzisz pan, jest zwój. Rozumiesz pan, co zwój znaczy? Przecieżeś się pan fizyki uczył... Zaraz panu model pokażę.

Sięgnął do szafki i wyjął zeń dosyć złożoną maszynkę.

— Jak się tam nieszczęście przytrafi — mówił — będziesz pan odpowiadał.

Nie od razu zoryentowałem się w tem, że słowa te dotyczą nietyle klucza elektrycznego, ile mego przewinienia.

Tak też objaśniał rzecz całą. Co kilka zdań wtrącał wymówkę za niezrzucenie pasa z maszyny i wracał natychmiast do swego wynalazku.

— Rozumiesz pan? — zapytał skończywszy. — Pewno nie?

— Na co jest ten haczyk? — pytałem, szczerze zainteresowany.

— Otóż to...

http://rcin.org.pl

Powtórzył objaśnienie, pomagając sobie żywą gestykulacyą.

— A teraz? — mówił. — powtórz pan.

— Kiedy nie tak — przerwał mi z samego początku.

Nieprędko zadowolił się moją odpowiedzią.

— Chwała Bogu — zawołał wreszcie. — Przecież. A uczą was, uczą. I co z tego, pytam się? Nas, panie, inaczej uczono. Gdzie teraz!

— I dużo się tego rozchodzi? — zapytałem, chcąc przerwać te uwagi, które bądź co bądź, nie były przyjemne.

— Tysiącami.

— To pan masz poza własnem zadowoleniem i duży dochód z tego.

— Ja? Gratyfikacyę dostałem. O resztę py taj pan kasy.

— Czyżby?...

— Panie kochany! Co tu wiele gadać. Ot, weźmy się do roboty. Ja sobie z tego niewiele robię.

Dnia tego podchodził ku mnie kilka razy, jakby szukając sposobu okazania mi swej przychylności. Nie potrafił jednak nic innego wymyślić ponad przeciągłe, mrukliwe: „no, no!" Brzmiało to zachęcająco i miało być pochwałą. Robił wysiłek, by zachować konsekwentnie aż do wieczora swój zły humor. Zaczepiał robotników i wymyślał im za nieporządek niewiadomo jaki,

http://rcin.org.pl

za partactwo i fuszerkę, do których nikt się nie poczuwał.

— E, panie Walicki! — bronił się z początku nagabnięty. Potem machnął ręką i wysłuchiwał spokojnie kazania.

Zresztą wymówki te nie były zbyt surowe. Gdyby kto nie widział marsa na twarzy pana Walickiego i z daleka tylko przysłuchiwał się tej rozmowie, gotówby pomyśleć, że drażni się tu dwóch przyjaciół.

Nie znajdując pod ręką nic, coby mogło dać powód do zrzędzenia, zwrócił się do pierwszego z brzegu.

— Jabym was wszystkich ojcu świętemu odesłał.

— Wszystko dobrze, panie Walicki, ale obrażać się nie pozwolę — żachnął się robotnik.

— Już! już się obraził. Dyabłu świętego wspomnieć, zaraz dęba stanie.

Tym razem natrafił na Stasiaka, człeka, który w kaszę pluć sobie nie pozwoli, jak mówili o nim w warsztacie. Stasiak położył narzędzie, ujął się pod boki i zawołał głośno, by go wszyscy słyszeli:

— Po pierwsze, panie Walicki, ja nie jestem dyabłem; po drugie, panie Walicki, papież nie jest świętym, przynajmniej dla mnie; po trzecie, panie Walicki, mam pilną robotę i czasu na mitręgę nie mam. O!...

http://rcin.org.pl

Wykrzyknik „o" dodany był widocznie dla zaakcentowania dowcipu, gdyż sąsiad Stasiaka pochwycił to tylko i mruknął znacząco pod nosem:

— O!

Brakowało jeszcze kilku minut do dzwonka, gdy pan Walicki zawołał na mnie:

— Bierz pan czapkę, pójdziemy razem.

Sprowadził mnie krętemi schodami na dół i przez skład stolarski na znane mi podwórze.

— Chcesz pan zobaczyć maszynę? — zapytał.

I, nie czekając odpowiedzi, zawiódł mnie do budynku, położonego na końcu fabryki. Aczkolwiek nie byłem już nowicyuszem i do maszyn przywykłem, jak woźnica do swych koni, wszakże to, com zobaczył, zaimponowało mi znowu.

Był to król wszystkich żelaznych olbrzymów. Kolos ten miał w boku koło wysokie na kilka metrów. Dolna część tego koła tonęła w murowanym rowie, gdy wierzchnia sufitu prawie sięgała. „Maszyna" (gdyż ona tylko to miano tu otrzymuje) błyszczała miejscami, jakby dla odznaczenia swej rangi, gładko polerowanym mosiądzem. Wsuwała ona swe tłoki w cylindry i sapiąc, wyciągała je za chwilę. Robiła to jednak z dumą i spokojem, jak na majestat przystało. Nie było tu tego pisku i syku, z jakim obracają się chamskie maszyny warsztatowe. To

http://rcin.org.pl

nie ogłuszało krzykliwą siłą, lecz pokonywało statecznością.

Czystość, jaka tu panowała, stanowiła rażący kontrast z całą fabryką. Posadzka wyłożona w majolikowe desenie, ściany malowane olejno, sufit szklany, wreszcie baryera naokoło motoru o mosiężnych prętach i takichże gałkach na żelaznych słupkach, — wszystko to nadawało sali pewną dystynkcyę. Wszedłszy tutaj, zdjąłem czapkę. Był to ruch mimowolny, a jednak prawiebym ręczył, że każdy, kogobym naprzód po fabryce oprowadził, a potem tu przywiódł, uczyniłby to samo. Maszyna była przytem jakby pieszczotliwą utrzymywana ręką. Żadne kosztowne cacko pod szklanym kloszem tak nie wygląda. W każdej szrubce można się było przejrzeć, jak w lustrze.

— Andrzeju, — zawołał pan Walicki, wychylając się za baryerę.

— A co?

— Przyszliśmy was odwiedzić.

Z dołu wyjrzała jakaś kędzierzawa głowa.

— Dzień dobry. A ma pan co dla mnie?

Pan Walicki zdjął czapkę i wyjął z za podszewki papieros. Była to kontrabanda fabryczna.

— Panie Boże zapłać. A to nowy? — pytał, wskazując na mnie.

— Praktykant.

— Fiu, fiu! ze szkoły?

http://rcin.org.pl

— Aha.

Przyjrzał mi się uważnie i domyślając się, iż Przyszedłem tu nietyle dla niego, ile dla maszyny, uznał za stosowne wytłumaczyć mi:

— Szybrowa — mruknął, — wskazując na tłoki.

Pan Walicki, kierując się głębokiem przekonaniem, że ja nic nie umiem, jął mi objaśniać konstrukcyę motoru. Gdy doszedł do koła rozpędowego, przerwał mu Andrzej:

— Gdyby nie — mówił gestykulując obrazowo — tłok wlazłby w kąt... prr!-stój-halt! Na to jest koło rozpędowe.

Po tej lekcyi umilkliśmy obaj, spoglądając nie bez zadowolenia na maszynę.

— A co, panie Walicki, glans jest?

— Jest — zdecydował stanowczo Walicki i odjął natychmiast rękę od baryery, jakby zawstydzony tem, że chwycił za pręt spotniałą i brudną dłonią.

Obejrzałem się i ja naokoło siebie.

— Jezusie! — krzyknął w tejże chwili Andrzej. — Tożeście mnie błota na podłogę nanieśli. Ee.., takie goście...

Tutaj ja okazałem się winnym, gdyż nie wytarłem dostatecznie nóg, wchodząc do tej świątyni. Pan Walicki pochwycił natychmiast okazyę zrzędzenia, czem spotęgował jeszcze mój wstyd.

http://rcin.org.pl

— Ot, dałbyś pan pokój — zawołałem.

A zwracając się do Andrzeja, mówiłem jak najłagodniej.

— Niech pan wybaczy. Ja bo jestem tu zupełnie nowym i...

— Pan? Gdzie tu pan? Kto jest pan?—wołał, oglądając się niby na wszystkie strony.

Więc i to było nie na miejscu.

— Nie macie się czego gniewać — powtórzyłem inaczej i podałem mu rękę.

Ta czułość zdziwiła go niepomiernie. Podał mi jednak dłoń, otarłszy ją wprzódy o spodnie.

— No, niech już! Teraz wytrę, jeno inny raz niech kopyta wyciera.

Pan Walicki rzucił na mnie surowe spojrzenie za to, iż przerwałem mu potok wymowy. Andrzej zabrał się tymczasem do odstawiania warsztatów. Przycisnął guzik elektrycznego dzwonka, mrucząc pod nosem:

— Pierwszy.

— Drugi — powtórzył po chwili, przyciskając następny guzik.

I niebawem zaklął siarczyście.

— A psia... W trzecim usłyszeli.

— Spieszy się bydlętom — pomagał mu pan Walicki.

Zrazu nie zrozumiałem, o co idzie, wnet jednak spostrzegłem, jak maszyna zbyt szybko pozbawiona swego ciężaru, przeszła w galop, niby

http://rcin.org.pl

koń zerwany. Koło rozpędowe zahuczało w szybkim obrocie i zatrzęsło całym budynkiem.

— Bydło! — przeklinał precz Andrzej.

Przeczekał, zanim ruch się nie ustatkuje i odstawił resztę warsztatów. Poczem dał przeraźliwy, nieustający „świstek“ i zaczął zatrzymywać maszynę.

Olbrzymie koło obracało się coraz powolniej; szprychy, które przedtem migotały mi przed oczyma, zeczęły się powoli zarysowywać. Zatrzymało się na chwilę, raz jeszcze podrzuciło się do góry i nie dobiegłszy całego obrotu, zwaliło się z powrotem, pokołysało się na osi i stanęło.

— Skończone!

Wyszliśmy na ulicę razem z Andrzejem. Walicki zapomniał po drodze o swojej urazie i zwracał się do mnie coraz to częściej. Przestąpił już próg fabryczny i wpadł w dobry humor. Szynk tylko, który minąć nam wypadło wywołał krótki zresztą zwrot usposobienia.

— A chlej, chlej jeden z drugim. Będziesz potem łapę lizał.

Andrzej bronił kolegów tem, że „jeden psztyk nie zaszkodzi, ale owszem“. Na rogu ulicy pożegnał nas pod pretekstem, iż musi spieszyć do domu. Posądzam go, iż poszedł sprawić sobie ów „psztyk“.

— No, a gdybyś pan tak do mnie zaszedł?— zapytał pan Walicki przy bramie swego domu.

http://rcin.org.pl

Temi słowami wpadł tylko w myśl moją, gdyż przez całą drogę o tem marzyłem. Zaproszenie przyjąłem tak radośnie, żem się z trudem pohamował, by nie pocałować sumiastych wąsów pana Walickiego. Wytargowałem sobie urlop na pół godziny, aby zmienić ubranie, za co nazwał mnie frantem, szpicem i takim „fiu-bździu“, jak powiadał.

Panna Helena była już przygotowana na moje przyjęcie i sama drzwi otworzyła.

— A jak dobrze! — zawołała. — Właśnie jest u mnie mój przyjaciel Zanicz. Zobaczy pan, jaki to miły człowiek... O, szkoda, że pan w bluzie nie przyszedł.

W tem powitaniu były dla mnie aż dwie przykrości. Przedewszystkiem słowa „przyjaciel Zanicz“ drasnęły mnie niemile, a przytem ta nieszczęśliwa bluza.

— Gdybym mógł był zgóry wiedzieć — pomyślałem z niemałym żalem.

— Mój przyjaciel Zaliwski—przedstawia mnie panna Helena.

W myśli powstało mi pytanie: któż z nas jest ostatecznie przyjacielem? Wnet jednak wystrofowałem się za tak zacofane poglądy.

— Wy w fabryce pracujecie? — pyta Zanicz, akcentując to „wy“ dla pokazania, że i my mamy stanąć odrazu na stopie przyjacielskiej.

— Tak jest—odpowiadam.

http://rcin.org.pl

— No, jakże? Jakże?

Na tak pospieszną ciekawość nie potrafiłem nic odpowiedzieć. On mnie wyręcza, zadając natychmiast pytanie:

— Robimy konkurencyę Niemcom? Ha?

— Tak daleko chyba nigdy nie zajdziemy.

— Zajdziemy, zajdziemy. Stanowczo.

I nie zaczerpnąwszy nawet tchu, pyta dalej:

— Dobrobyt między robotnikami wzrasta?

A zwracając się do panny Heleny dodaje:

— Ciekawe pod tym względem cyfry przytacza Ricardo.

I te oba zdania wypowiedziane były jakoś automatycznie.

Taką rozmowę prowadziliśmy przez całą godzinę, póki nam pan Walicki nie przerwał. We drzwiach zwrócił się już do Zanicza:

— Co, panie Zanicz, będzie wojna?

W kątach ust ukryty pod wielkim wąsem osiadł słaby, ironiczny uśmiech. Ja tylko mogłem to zauważyć, bom tak długo jego twarz studyował.

— Ważniejsze czekają nas sprawy — odpowiada Zanicz, kładąc binokle na nos.

I w tejże chwili mówi do panny Heleny:

— W „Proroku“ był ciekawy artykuł pod tytułem: „Ewolucya, rewolucya, czy wojna“.

— Więc któryż z tych trzech smoków? — interesuje się Walicki.

http://rcin.org.pl

— Pierwszy. Bez wątpienia, pierwszy.

— Moja Helciu, nie wstydź ty się starego ojca i wytłumacz mi, co u was znaczy ewo... Jaktoś pan powiedział?

— E-wo-lu-cy-a, — popularyzuje pan Zanicz i stara się sam rzecz objaśnić.

— Jest to, uważa pan... Jakżeby to uprzystępnić? Jest to ciągły, ciągły rozwój.

— Aha—Ciągły, ciągły... Rozumiem. Chodźmyż na kolacyę.

Tu pan Zanicz zaniepokoił się. Wstając z miejsca, spojrzał Walickiemu bystro w oczy. Ujrzawszy jednak jego dobroduszną twarz, uspokoił się widocznie, gdyż szepnął na ucho pannie Helenie:

— Pani ojciec to paradny człowiek!

Ona odpowiedziała mu tak fatalnym rumieńcem, że go aż z tyłu na szyi spostrzegłem.

— Czego ona się wstydzi? — zakipiało we mnie. I siadłem do stołu taki zły, żem nawet oczu podnieść na nią nie chciał. Gdy mi jednak podała półmisek ze zwykłym ujmującym uśmiechem i gdy szepnęła przytem: „Panie Kazimierzu“, rozwiał się gniew mój natychmiast. Powstała w zamian chęć ucałowania rączki, w której talerz trzymała.

Siedziałem naprzeciwko niej i patrzyłem w nią, jak w tęczę, nie starając się nawet zrozumieć tego, o czem mówił Zanicz.

— A jednak — myślałem — mnie los pieści.

http://rcin.org.pl

Raz, że pozwolił mi zrozumieć zagadkę życia, a powtóre, że styka mnie z taką oto kobietą. Toż to modlić się wprost do niej.

Rzucam okiem na Zanicza i dziwna rzecz, teraz robi on na mnie zupełnie dodatnie wrażenie. Gdy tak mówi z dystynkcyą (trochę może za prędko) i bawi się figlarnie swemi binoklami, można, sądząc bezstronnie, przyznać, iż jest to człowiek wcale do rzeczy. I sam Walicki, który ma zawsze coś do powiedzenia, milczy teraz i słucha. Fakt faktem, że jest to człowiek inteligentny — tylko to mi się w nim nie podoba, że... że jest przyjacielem panny Heleny. Oto i teraz słucha z takiem skupieniem, że o mnie zapomniałaby z pewnością, gdyby jej ojciec mojej osoby nie przypomniał. Chcąc wciągnąć mnie w rozmowę, zapytał:

— A cóż pan Kazimierz tak dziś duma?

— Słucham.

— I cóż pan na to?

— Tee... Po części racya—odpowiadam na chybił trafił.

— Jak to?—zaperzył się Zanicz. — Może powiecie, że emancypacya kobiety...

— Nie! Nie to chciałem powiedzieć — przerwałem w obawie prelekcyi, jaką te słowa zapowiadały.

Zląkł się widocznie tego i pan Walicki, gdyż wstał od stołu, przeprosił nas, że pójdzie się po-

http://rcin.org.pl

łożyć. Mówił, że jest zmęczony i że mu się w łóżku „jakoś lepiej myśli".

— Helcia będzie panów bawiła.

We drzwiach zatrzymał się pod wpływem słabego wyrzutu, iż obowiązków gospodarza nie wypełnił, jak należy. Zwrócił się tedy do Zanicza:

— To kwestya bardzo ciekawa. Masz pan dużo racyi.

A podając mi rękę, rzekł z uśmiechem:

— Bałamuć mi pan tam Helcię.

W ten sposób dał każdemu z nas po cukierku i wyszedł zadowolony z pokoju. Ostatnie jego słowa wywołały nieznaczny rumieniec na twarzy panny Heleny i wyraźny niesmak na usta Zanicza.

Siedzi on teraz w kłopotliwem milczeniu, zły, że nie znajduje żadnego tematu do rozmowy. Wreszcie schwycił coś. Lica jego rozjaśniają się, a usta wyrzucają szybką wiadomość:

— Wyszła książka...

I tryska nowa kaskada erudycyi, której powstrzymać nie było sposobu. Panna Helena siedzi znów naprzeciwko niego i słucha z uwagą. Tracę już cierpliwość, wtrącam jedno i drugie zdanie i powoli przechylam szalę na swoją stronę. Wzrok panny Heleny poczyna teraz balansować między mną a nim. Chwilami na nim dłużej spocznie, i gdy już, już w tem spojrzeniu znak

http://rcin.org.pl

zgody czytam, wnet wpadam ze swoją opozycyą. Wzrok przenosi się na mnie. — Mówi znów Zanicz. — Panna Helena przerywa mu słabem niedowierzaniem.

To był pierwszy szach.

Gramy partyę naszą dalej. Ja zaczynam silniej atakować i staję się zgryźliwym. Zaniczowi spadają binokle z nosa, oczy błyszczeć mu zaczynają i...

Drugi szach!—panna Helena oponuje mu cokolwiek.

Podwajam atak. Odwracam kwestyę i stawiam pytanie. Zanicz się miesza, ja zaś wyciągam śmieszną konsekwencyę.

Szach!

Zadaję drugie pytanie i, nie czekając odpowiedzi, wyciągam niedorzeczny wniosek.

Mat! — panna Helena racyę mi przyznała.

Zanicz broni się i wymachuje rękoma; ale kto przegrał, to przegrał, i nic już nie poradzi.

Panna Helena wstaje, nalewa herbatę i mnie pierwszemu filiżankę podaje.

Nie wiem, czy powstrzymałem się wtedy od tryumfującego spojrzenia. Byłbym mu nawet na palcach poskrobał: „zyg, zyg marchewka!" Wpadłem wprost w natchnienie. Zdobyłem jakąś lekkość w mowie, obrazowość w stylu, począłem sypać wesołemi anegdotkami. Jednem słowem —

http://rcin.org.pl

pokonałem nie tylko pannę Helenę, ale powoli nawet i Zanicza.

Fabryka, która niegdyś ogłuszyła mnie swym ogromem, staje się w mojem opowiadaniu nadzwyczaj wesołą instytucyą, ludzie tamtejsi lekkimi aktorami, a życie całe — sceną z wodewilu.

Pozwoliłem Zaniczowi wyjść wcześniej, by choć na chwilę pozostać sam na sam z Heleną.

— Prawda — mówiła, gdy drzwi się za nim zamknęły, — jaki to sympatyczny człowiek? Tylko, że ci studenci to wszystko tacy jednakowi ludzie.

Byłem wyjątkowo wspaniałomyślnie usposobiony; rzuciłem kilka pochwał, nie zastanawiając się wcale nad niemi; zauważyłem, że nie sprawia jej to wielkiej przyjemności, i to mnie uspokoiło.

Przy pożegnaniu zatrzymałem dłużej jej rękę i spojrzałem badawczo w oczy.

— Co takiego?—zapytała z cudownym uśmiechem.

Miałem na myśli, rozumie się, Zanicza. Powiedzieć to — znaczyłoby palnąć kolosalne głupstwo. Podniosłem tylko jej rękę do ust, by tym pocałunkiem wszystko wyrazić.

— Niech pan tego nie robi — powiedziała cicho. — Wszak my jesteśmy przyjaciółmi?...

I znów jak piorun, z jasnego nieba, uderzyły we mnie te słowa. Wszak dawniej tego nie mówiła? — Teraz dopiero przypominam sobie, że

http://rcin.org.pl

Zanicz długo się rozwodził nad emancypacyą kobiet, nad miłością a przyjaźnią, nad tem wreszcie, jak kobieta, przyjmując hołdy oddawane jej płci, siebie tylko poniża. Nie zwracałem wielkiej uwagi na to, ale teraz gotów byłbym soli na ten jęzor nasypać.

Gdym wrócił do domu, Michaś już spał i chrapał przytem przeraźliwie. Pochyliłem się nad nim, sam nie wiem czemu, i uścisnąłem go.

Wszak my z Michasiem, myślałem, jesteśmy więcej niż przyjaciółmi. Czyż dlatego nie wolno nam się pocałować. Głupi jest Zanicz razem ze swemi teoryami!

Nim zasnąłem, rozmyślałem nad emancypacyą kobiety i postanowiłem kupić sobie obszerne dzieło Hartla, traktujące o tym przedmiocie.

Bo w gruncie rzeczy ja mam przesądy. A że pragnę się z nich wyleczyć — to chyba każdy mi przyzna w tem słuszność.

Pana Walickiego zastałem nazajutrz w humorze fabrycznym. Zauważyłem już dawniej, że ilekroć wchodzę do jego pokoju, on pospiesznie chowa coś do szuflady i pyta opryskliwie:

— Czego pan chcesz?

Dziś zeszedłem go znienacka, on zaś, chcąc schować swoją tajemnicę, upuścił ją na ziemię i zaklął.

Więc i ten katon ma swoje „ale“ — pomyślałem. Myśl ta sprawiła mi pewną satysfakcyę.

http://rcin.org.pl

Jest to uczucie, jakiego doznajemy, dowiedziawszy się, że i Achilles ma fatalną piętę.—A jednak nie przedstawiałem sobie tego tak źle, jak nasi dyrektorowie.

Przechodząc oto raz przez podwórze, usłyszałem następującą rozmowę między Szwineigerem a Borwiczem:

— Ten stary — mówił Szwineiger — kryje mi się z czemś. Dwa razy to widziałem.

— Walicki? Czyżby on fuszerkę robił?

— Kto wie.

— Szyję dam, że nie — bronił go Borwicz.

Na drugi dzień przyszedł Szwineiger do warsztatu i zebrawszy nas w pokoju Walickiego, ogłosił, iż za robotę prowadzoną na własną rękę (za tak zwaną fuszerkę) będzie potrącał za pierwszym razem dziesięć rubli, za drugim zaś razem oddali z fabryki.

Poczem kazano nam się rozejść. Wiedziony ciekawością, zajrzałem do pokoju Walickiego i ujrzałem dziwną rzecz.

Stoi on na środku pokoju, trzyma w ręku jakiś blaszany sprzęcik w szklanej oprawie, poczem ciska go z całych sił o ziemię. Wnet jednak mityguje się, przyklęka i zbiera starannie szczątki.

Co to może być?

Wróciłem na swoje miejsce i wnet usłyszałem za sobą głos Walickiego:

http://rcin.org.pl

— A pan ciągle dłubiesz, precz pan dłubiesz? Podziwiam cierpliwość...

Otworzyłem usta ze zdumienia i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. To było zbyt niespodziewane i zbyt okropne, co ten człowiek mi mówił. Czyżby zły humor mógł go aż do tego doprowadzić, by mścić się na mnie za swą przykrość?

— Wiesz pan — mówił dalej przez zęby — ileś pan już sztuk zepsuł? Ośm! ośm! Ja nędznej roboty od siebie nie puszczę.

Zakręcił się i odszedł.

Stanąłem, jak wryty. Sztamajza wypadła mi z ręki, a maszyny, których zwykle nie spostrzegałem, zahuczały mi w uszach okropnym śmiechem.

Pędem pobiegłem do Walickiego.

— Panie — wołam zadyszanym głosem. — Panie...

— Wściekł się, czy co?

— Czy ja rzeczywiście nie jestem zdatny do niczego?

— Któż to panu powiedział?

— Pan. Teraz, przed chwilą.

— Przyśniło się panu. Zostaw mnie pan w spokoju, bo... U stu dyabłów! to też ps.. kr.. u licha!...

— Ja zaklinam pana, ja błagam o prawdę. Czy ja mogę być kiedyś ślusarzem?

http://rcin.org.pl

— A czemu nie? — zapytał łagodniej.

— Ale ja chcę być bardzo dobrym ślusarzem.

— Ładna ambicya.

— Czy mogę mieć nadzieję?

— Pi... Czy to można wiedzieć? Wreszcie... zobaczymy.

---

http://rcin.org.pl

IV

Powlokło się życie szarym, jednostajnym szlakiem. Nie chcę przez to powiedzieć, by mnie ta jednostajność nużyła lub odbierała zapał. Niech Bóg broni! Idzie mi tylko o to, że do tego celu tak bardzo daleko. I tom nie martwi, to nieraz i humor odbiera, że widzę przed sobą olbrzymi kawał drogi, który gubi się gdzieś za horyzontem. Boć przecież to, co teraz jest, celem moim być nie może, i śmiesznemby wprost było, gdybym utkwił oto pośrodku. Aczkolwiek jestem już wytwórcą tak zwanych bogactw materyalnych, to jednak na tem stanowisku wielu mnie zastąpić może (i wielu też zastępuje). Ja mam inne zamiary tylko czasu na spełnienie ich potrzebuję. Szukam stanowiska jeszcze nie zajętego, właściwie zaś nie szukam, ale zbliżam się do niego wolnym, lecz pewnym krokiem. To jednak najgorsze, że, by tam zajść, trzeba przejść przez nieskończony szereg jednakowo nudnych i jednakowo

http://rcin.org.pl

szarych dni. A jednak idę, idę z niezachwianą wiarą.

Któż wreszcie nie ma dni przykrych, leniwych godzin, kiedy wstępuje w człowieka jakiś dokuczliwy, gderliwy duch i wszystkie myśli przewraca mu naopak, głowę i serce nagle opróżnia i tak przystosowuje nas do otoczenia szarej codzienności.

Ja ideałem nie jestem i mam również takie chwile. (Pannie Helenie nie powiem, rozumie się, tego, gdyż takie myśli lepiej dla siebie zachować).

„Powiedz, czego ty chcesz, czego, bałwanie, chcesz?“ Tak oto skrzeczy mi mój bies nad uchem. Ma on przytem sposób mówienia pana Walickiego.

„Czego chcę?“ I z tem głupiem pytaniem noszę się, jak kura z jajem, przez kilka dni. Czyż można na to dać odpowiedź?

Gdybym zapytał uczonego, czego chce, odpowiedziałby mi zapewne: wiedzy.

— A na co ta wiedza?

— Niemądry asan jesteś — odpowie mi uczony.

A cóż ja mam memu dyabłu odpowiedzieć?

Czy można przewidzieć, jak się życie ułoży, jakie pytanie okaże się najgodniejszem odpowiedzi, jaki czyn najodpowiedniejszym? Mówić o tem

http://rcin.org.pl

wówczas, kiedy jeszcze niema przygotowania, jest co najmniej przedwczesnem.

Koniec końców przemogłem siebie i stałem się znów rozsądnym człowiekiem. Do fabryki chodzę regularnie, wieczorami zaś studyuję obszerne dzieło o emancypacyi kobiet.

Scena, jaką mi wówczas wyprawił Walicki, była, rozumie się, tylko wylaniem żółci z jego strony. Sam dał mi to poznać nazajutrz zdwojoną grzecznością. Najlepszą wreszcie odpowiedzią było to, że Szwineiger wezwał mnie do kantoru i oznajmił, iż, zgodnie z opinią, wydaną przez pana Walickiego, będą mi płacili trzy złote dziennie. W porę mi to przyszło, gdyż fundusze moje i Michasia już się wyczerpały.

Od czasu, jak mi płacić zaczęli, pan Walicki siedzi mi przez cały dzień na karku. Z początku drażniło mnie to, wkrótce jednak zrozumiałem właściwą przyczynę. Teraz jestem odpowiedzialny za swą robotę—pomyślałem. A to mnie podnosi we własnych oczach.

Wstyd może przyznać się do tej słabości, ale gdy tak stoję przed maszyną w oczekiwaniu wieczornego świstka, z rozkoszą myślę, iż za godzinę będę mógł zasiąść do książki. Na usprawiedliwienie swoje mogę powiedzieć bodajby, że jest to jedyna moja przyjemność. Do teatru i na koncerty nie chodzę, gdy nie mam na to pieniędzy, prze-

http://rcin.org.pl

chadzek nie używam, bo czasu na to brak. Mamże więc i książki sobie odmawiać?

I lubię zapisywać marginesy książek uwagami, jakie nasuwają mi się przy czytaniu. Nieraz nie wystarcza mi wązka tasiemka marginesu. Biorę wtedy kawałek papieru i piszę na nim całe rozprawy. Drę i palę to nazajutrz, na drugi wieczór piszę wszakże drugi traktat. Niekiedy wpadnie mi jakaś myśl i zasnąć mi nie daje. Poczynam ją rozsnuwać, układać sobie w głowie, a najczęściej ubieram ją w stylistycznie zaokrąglone zdania.

Przekonałem się, że i przy robocie fabrycznej można znakomicie myśleć o tych rzeczach, że mechaniczne poruszanie rękoma nietylko że nie przeszkadza, ale pomaga poniekąd. Trzeba się wszakże mieć na ostrożności, by głośno nie zagadać. A zdarzyło mi się to raz, na moje nieszczęście i ku zgrozie pana Walickiego.

Byłem pod świeżem wrażeniem dopiero co przeczytanego artykułu i cały dzień polemizowałem z nim w myśli, aż pod koniec wyrwałem się z monologiem:

— „To wszystko bańki mydlane, dopóki ich czyn nie poprze".

I czyszcząc z zapałem dopiero co utoczoną rączkę, zadeklamowałem półgłosem:

„Lepszy przykład, niż nauka;
Czyń, co mówisz—to mi sztuka".

http://rcin.org.pl

Nieszczęście chciało, że w tejże chwili nawinął się pan Walicki. Roztworzył szeroko oczy i patrzy na mnie, jak na waryata. Zapomniał wprost języka w gębie ze zdziwienia. Kiwa tylko głową i mruczy:

— Cudowny wierszyk...

Nie potrzebuję dodawać, że z chęcią schowałbym się wówczas pod stół.

Stało się, żem któregoś dnia nie poszedł do fabryki przez zwykłe, podłe lenistwo, jakem to sobie nazajutrz wyrzucał.

A jednak, jak ja ten dzień wspaniale spędziłem! Gdybym się chciał usprawiedliwiać, powiedziałbym może: „nie jam jest winien, ale słońce winno".

Dzień był niewyraźny. Po niebie sunęły chmury w nieładzie i co chwila zasłaniały słońce, rzucając na ulice przemijające, ruchliwe cienie. — Wracałem do fabryki po skromnym obiedzie i byłem akurat w takimże nastroju, jak dzisiejsza pogoda. W myśli świecił jasny promyk, spędzany co chwila przez jakiś przykry cień. Nie potrafiłem ułowić tego promyka, ani zrozumieć tego cienia. Wiem tylko, że ilekroć przyśpieszałem kroku, by nie spóźnić się na dzwonek, promyk ześlizgiwał się i chmurne ciężkie usposobienie zaczynało mnie opanowywać. Gdy zapomnę na chwilę o mym pośpiechu—chmura mija i zaczynam myśleć o... wstydzę się wprost przyznać. Układałem w myśli

http://rcin.org.pl

artykuł. Jak mi się to świetnie zarysowało. Nigdym nie przypuszczał, bym coś podobnego mógł kiedy napisać.

Zatrzymuję się na ulicy i zacieram ręce z zadowolenia. Czuję, że twarz moja nie rozjaśnia się, ale wykrzywia wprost z uszczęśliwienia.

Skręciłem w Aleje Jerozolimskie i spojrzałem na Wisłę. Wtedy zobaczyłem to, co mnie zawsze tak nęci i pociąga—tę plamę świetlaną na odległych polach, tę wioskę słoneczną, jakby wyspę wśród szarego morza pól. Niech będzie co chce, ale mnie to kusi i ciągnie tak, że rady dać sobie nie mogę. Może to jest chorobliwe? Czy ja wiem? Gdy tak stanę w szarym miejskim zmroku i ujrzę z daleka... Nie, ja tam iść muszę! I pójdę!

Skręciłem na Nowy-Swiat, przebyłem Krakowskie-Przedmieście, przebiegłem przez most i już jestem na wale praskim.

Tam to na drugim brzegu kopci nasz komin fabryczny i pluje w miasto kłębami ciężkiego dymu.

Raduję się jak dziecko swem odważnem postanowieniem i nie doznaję zgoła wyrzutów sumienia. Siadam na wale, bębnię piętami i patrzę arogancko na swą fabrykę.

— Panie Walicki, pan sobie tam pewno język ostrzysz na mnie. A mnie się tak spodobało i nie przyjdę. Daruję wam trzy złote i wyłobuzuję się dziś za całe życie.

http://rcin.org.pl

Rzucam spojrzenie na prawo i spostrzegam dziwną rzecz. — Jak ten most tu sprytnie ustawili! Po prawej jego stronie zamek, wieżyce, potężne kościoły, starożytne domy piętrzące się jeden na drugim i zbite w ciasną kupę; po lewej szeroko, wzdłuż rzeki, rozsiadły się fabryki najeżone setkami wysokich, cienkich kominów. Ten most dzieli dwie epoki. Po prawej przeszłość—po lewej przyszłość; tam oni—tu my.

Ja to stanowczo w mym artykule zużytkuję, pomyślałem i pobiegłem dalej.

Wyszedłszy za rogatki grochowskie, skręciłem na lewo i na przełaj pól, przez ścieżki i miedze dostałem się do upatrzonej wioski. Co za rozkosz! Tu wprost piersi coś rozsadza i tak krzyknąćby się chciało na całe gardło:

— Oj dana... Ho—ho!

— Hop — hop! — odpowiedziało mi odległe echo.

Tam za pługiem chłop jakiś stąpa w towarzystwie kur. Na niewielkiem wzgórzu stoi rozłożysta grusza, ulęgałka, jak ją nazywają Warszawiacy, te prawdziwe ulęgałki miejskie. Wdrapuję się na to wzgórze i rozglądam naokoło. Tuż przede mną kawał na pół zoranego pola, dalej na łące bydło się pasie, kilka koni spętanych skacze niezgrabnie, stado gęsi szuka czegoś niezmordowanie w trawie i wydaje krzyki zniecierpliwienia.

Łąkę przecina zygzakiem rzeczka, porosła

http://rcin.org.pl

z prawego brzegu grabiną. Drzewa i krzewy pochylają się ku wodzie, jakby tam coś wypatrywały. Kładka prowadzi do wsi, a raczej do kilku chałup krzywych, koszlawych i jakoś smutnie skulonych przy drodze. W pewnej odległości, za kartoflanem polem stoi samotna chałupa — jak to zwykle po wsiach bywa: tam mieszka mizantrop wiejski i największa nędza z tej biedy. Horyzont zamyka długi, nieskończenie długi szereg wysmukłych topoli. Tam ciągnie się trakt królewski, szeroki, szeroki, piaszczysty i garbami od starości pokryty.

Oto wypadł z kurzawy wózek, wtoczył się na boczną drogę i popędził w stronę wsi. Kusy konik strzyże uszami, wyciąga krótką szyję i przebiera nogami coraz to prędzej, ciskając wózek to w prawo, to w lewo. Na wózku kiwa się młody chłopak, z trudem utrzymując równowagę, i wymachuje biczyskiem nad uszami rezolutnego konika. Minęli wieś i przejeżdżają tuż pod wzgórzem.

— Niech będzie pochwalony!—woła z wozu.

— Na wieki.

— Stój, prr... — krzyczy na konia i zatrzymuje wóz.

— A nie macie tu czasem zapałki... co?

— Jest.

— A no to...

http://rcin.org.pl

Wyjął z pod czapki papierosa, zeskoczył z wozu.

— Pr... Stój! Stać jucha nie może... Panie Boże za... stój... prr...

Zbiegł z góry, wskoczył zręcznie na wóz i za chwilę znikł mi z oczu.

Z przeciwnej strony biegnie pies kudłaty z klocem u szyi: to wiejski włóczęga. Pan jego siedzi na wsi i nosa na świat nie wytyka. Jeśli jeść co ma, to z tej oto ziemi kęs chleba dostanie. Inna rzecz pies. Ten pola nie zorze, młócki nie zrobi, siedzi jeno przed chałupą i szczerzy zęby, gdy baba kartofle obiera. Ale łupinami żaden pies się jeszcze nie przejadł. Więc też i Kruczkowi brzuch opadnie, żebra omal że skóry nie przebiją. Pójdzie wtedy w świat, jak ów chłop, co mu rolę żydy sprzedały. Wyjdzie za chałupę, spojrzy na świata cztery strony i pobiegnie przed siebie. Nieraz zatęskni za swemi i ta tęsknota drogi i ścieżki mu wskaże i doprowadzi go do rodzinnej wioski.

Wynędzniały, zmęczony, z głową na dół pochyloną i z wywieszonym językiem biegnie drobnymi krokami i dzwoni klocem, uwieszonym u szyi.

— Kruczek—wołam—pójdź tu!

Zatrzymał się, a w zmęczonych jego oczach zabłyszczało coś w rodzaju radości. Spostrzegłszy, że to nie swój, pobiegł dalej. Z drogi obej-

http://rcin.org.pl

rzał się na mnie z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć:

— Kiego licha bałamucisz, kiej nic nie dasz, bo sam na golca patrzysz.

Położyłem się na trawie i utkwiwszy wzrok w niebo, zacząłem marzyć. Były to prawdziwe marzenia, których żadna nić z życiem nie łączyła, gdzie niema nieznośnego hamulca, niema złowieszczych oddźwięków: — „wczoraj", — „dziś", — „jutro" — a myśl, jako ptak swobodna, buja po niebiosach, kąpie się w słonecznym obrazie i tonie w bajce.

Długo tak leżałem. Słońce pochyliło się na horyzoncie, ukazało mi brzozowy lasek w czerwonym blasku, krętą wstęgą odbiło się w rzeczce i, zamieniwszy się w krąg purpurowy, zapadło za lasem. Zmierzch nadszedł. Oto wrony ciągną już gromadnie przez pola na wieczorną gawędkę. Suną cicho i spokojnie, jakby ważną sprawę miały dziś do obgadania. Próbuję pochwycić nić marzenia i na jedno natrafiam słowo:

— Hela...

Pastuch spędza bydło z pola i wyciąga monotonną nutę, która sobie jest i pieśnią i echem zarazem:

— He-la!... He-la!...

Wiejska dziewczyna wyszła z kubłem po wodę, stanęła nad rzeką i zanuciła żałośnie:

— He-la!... He-la!...

http://rcin.org.pl

Nad brzegiem lasu zestraszona kania porywa się z gniazda i załopotawszy skrzydłami, krzyknęła ku mnie:

— He-la!...

Jakżebym ja chciał mieć ją teraz tuż przy sobie, złożyć głowę na jej kolanach i wsłuchiwać się w te gwary wieczorne, w to rechotanie żab z poblizkiego bagna, co zda się, precz w kółko powtarzają:

— He-la!... He-la!...

Tu po raz pierwszy pomyślałem, że ją kocham. Tu, gdzie mnie nikt nie wyszydzi, nikt „teoryi" nie przypomni, gdzie „zdrowy rozsądek" rumieńca na twarzy nie wywoła.

I ogarnęła mnie szalona chęć wmieszania i mego głosu w te gwary wieczorne, rozlewające się czystem, grzeciągłem echem po polach, wplecenia i mej zwrotki w tę cudowną pieśń natury. Nie chcę jej ogłuszyć mem szczęściem, lecz wpleść moje wołania w tę harmonijną całość tęsknego spokoju.

— Hela!—zawołałem.

I zawtórowały mi wołania pastucha, piosnka dziewczyny, rechotanie żab i krzyk kani z pod lasu.

Ukołysało mnie znów marzenie. Poszło ono jednak tym razem nicią życia i doprowadziło mnie do zamiaru, by jej to powiedzieć.

— Powiem.

http://rcin.org.pl

Tym razem nikt mi nie zawtórował. Pastuch zapędził już bydło do wsi, dziewczyna wodę czerpała, żaby umilkły i kania do gniazda wróciła.

Wieczór.

Biegnę ścieżką w stronę miasta, co świetlaną smugą rysuje się już w zmroku. Jeszcze dziś zobaczyć ją pragnę i to pragnę tak gorąco, jak nigdy przedtem.

Była dziewiąta godzina, gdym kołatał do mieszkania Walickiego. Po drodze obmyśliłem pretekst, iż zaszedłem przeprosić go, że w fabryce nie byłem, i uprzedzić, że jutro może nie będę, gdyż ząb mi bardzo dokucza. Walicki leżał już w łóżku i przyjął mnie przez drzwi drugiego pokoju.

— Niepotrzebnieś się pan nosił po nocy ze swym chorym zębem.

Wnet jednak spojrzał na rzecz z innej strony.

— Poczucie obowiązku — mówił. — I to coś znaczy.

Panna Helena była zajęta poprawianiem kajetów swych uczniów.

— Ja przyszedłem właściwie po to, by panią zobaczyć,—zacząłem i zląkłem się natychmiast własnej odwagi.

— Mnie? To bardzo ładnie z pańskiej strony.

— Bo...

— Co takiego?

— O, nic...

http://rcin.org.pl

— I ja o panu myślałam. I wie pan, co mi też przyszło do głowy? Gdybyśmy tak sobie „wy“ mówić zaczęli. W stosunkach przyjacielskich przecie... Wreszcie, powiedziawszy szczerze, podoba mi się to.

Uśmiechnąłem się dosyć kwaśno i bąknąłem coś niewyraźnego pod nosem. Dziwne to może, a jednak te słowa pomieszały mi szyki. Wyszedłem, nie powiedziawszy ani słowa z tego, o czem mówić zamierzałem. A w takich chwilach milczenie jest katuszą.

— Do widzenia „wam“ — żegna mnie panna Helena, podając mi zamaszyście rękę.

— Do widzenia.

Tamto słowo nie przeszło mi przez gardło. Ileż jednak znaczy siła przyzwyczajenia? Dotychczas mówiłem „wy” stróżowi, posłańcom, praczce, wreszcie Andrzejowi w fabryce. Pannie Helenie tak powiedzieć nie mogłem,

— Gdy jednak się namyślę... A, dosyć tego! Chwilami buntuję się nawet przeciw zdrowemu rozsądkowi.

I znów mi wlazł w głowę jeden z tych ćwieków, co z takim uporem dopominają się, by je wbić głębiej. Rozmyślałem nad tem długo, tym razem z nieświetnym skutkiem. Wpadłem w błędne koło i harcuję w niem bez końca. Najciekawsze to, że dowodzenia swoje układam w formie stylistycznie zaokrąglonych zdań.

http://rcin.org.pl

Była już późna godzina w nocy. Ciszę przerywało tylko chrapanie Michasia i skrzypiące kołatania zegara. Stanąłem w oknie i tu snułem dalsze swoje myśli. Po chwili spostrzegłem, że nad przeciwległą kamienicą zajaśniało matowe zielonawe światło. Niedługo trwało, a z za dachu wysunęła się olbrzymia tarcza księżyca. W pokoju zrobiło się widno, lecz jakoś melancholijnie zarazem.

— A gdybym spróbował?...

Zapaliłem świecę i zacząłem pisać artykuł. Była to bajka o starym filozofie, co w zgrzybiałych latach ludzi nauczać począł, jak żyć mają, by nie cierpieć; jak cierpieć, by drugich swem cierpieniem nie zarażać. Myśliciel swe kazania temi zaczynał słowy: „Dziś uczę, bo dziś dopiero wiem. Jeśli mi powiecie, że lat pięćdziesiąt żyć jeszcze będę, zamilknę, zaczekam i za lat pięćdziesiąt do was przyjdę". Stary kilku uczniów zaledwie znalazł, błogosławieństwa im udzielił i w świat daleki poszedł.

Wraca za lat kilka i znajduje tysiące nie wyznawców, lecz nauczycieli. Każdy uczył. A czyny? O nich wśród nauki zapomniano. Ten, kogo dziś nawrócono, jutro szedł innych nauczać. I szkoła cała z proroków się tylko składała. Na widok tego zadrżały wargi starcowi i z gniewem zawołał: „Gdybym mógł wam słowa moje z gardła wydrzeć, zarazbym to uczynił. Nauka bez czy-

http://rcin.org.pl

nu... „Podniósł rękę, jakby straszne słowo chciał powiedzieć...

„Jest tylko nauką!“ — krzyknął.

Tej nocy miałem silną gorączkę i nie spałem wcale.

---

http://rcin.org.pl

V

Nad ranem, koło piątej godziny, sen zmógł mnie tak silnie, że skuwał prawie powieki.

— Nie pójdę dziś — myślałem, czy też śniłem. — Wszak niechcący uprzedziłem Walickiego.

I w tejże chwili wyskoczyłem na środek pokoju.

— Bydlę! — krzyknąłem na siebie. — Toć przed kilku godzinami wypisywałeś dytyramby na cześć czynu. Ty, wczoraj nawrócony, a dzisiejszy proroku z pod pierzyny! Choćbym miał dwadzieścia razy upaść w drodze, jednak pójdę.

Że dnia tego pracowałem niedobrze, żem zepsuł niejedną rzecz, — moja w tem wina. Dziś Walicki miał racyę, gdy mi wymyślał. Ja nocy nie dosypiam przy stylistycznych zabawkach, a za dnia psuję robotę. Długo będę musiał nad sobą pracować.

W fabryce dzieje się tymczasem coś niezwykłego. Walickiego prawie że nie widać. Od kilku

http://rcin.org.pl

dni przesiaduje całymi dniami z Borwiczem. Gdy wpadnie na chwilę, jest wtedy taki roztargniony, że rozsądnego słowa wydobyć z niego nie można.

Przywożą do nas jakieś naczynia blaszane, lustra olbrzymie i Bóg wie nie co. Gdy wnieśli raz jakiś sprzęt do jego pokoju, słyszałem, jak wołał:

— Zakryć płachtą, bo się podłoga zapali.

— Co to być może? — Spytać ani sposób.

W dodatku zaprowadzają w fabryce oświetlenie elektryczne, ku wielkiemu niezadowoleniu Andrzeja.

— Widzisz go, elektryka, — mówił. — Kiej elektryka, niech się sama kręci.

Z Andrzejem zapoznałem się tymczasem bardzo dobrze. Zaprzyjaźniła nas krótka rozmowa podczas mojej wizyty przy maszynie.

— Kiedy taki uczony — mówił — to co ma ze mną do gadania?

— Uczony nie jestem. Taki ja robotnik, jak i wy.

— Oho! Co to, to nie.

— Wreszcie podobacie mi się.

— Pi... pi!... Szedł pies przez owies, nie szkodziło psowi, ani owsowi.

To mnie zmroziło. Jużem chciał wyjść, gdy Andrzej zatrzymał mnie pytaniem:

— A czemu ludzi ze swego warsztatu znać nie chce?

http://rcin.org.pl

— Nie unikam ich. Wy zresztą inni jesteście.

— Jenszy?

— Aha!

— Tak jest.

— A może być, — zdecydował, kiwając głową ze zdziwienia.

Od tej chwili okazywał mi wyraźną sympatyę. Po dzwonku oczekiwał mnie przy bramie i odprowadzał do domu. Któregoś dnia zaprosił mnie do szynku. Odmówiłem stanowczo. Andrzej nawymyślał mi od „paniczów ze spiczastym nosem", powiedział, że gardzę nim i mogę sobie iść do czorta. Krzywił się na mnie przez kilka dni, aż wreszcie w wigilię któregoś święta powtórzył swą prośbę. Uległem wreszcie, nie tyle pogróżkom, jak wskutek pewnej myśli, która zbiegła mi do głowy wraz z jego wymyślaniem. Jeśli ich unikać będę, nigdy się do nich nie zbliżę. A wszak miałem zamiar wpływać na nich. To będzie nawet bardzo polityczny krok. Poznam się z nimi, jako kolega, w szynku. Potem może mi się uda wyciągnąć ich nawet stamtąd, oduczyć od pijaństwa".

Przy wejściu powitano nas okrzykiem.

— Oho! Andrzej na mszę idzie.

— A cóż to, nie za swoje pieniądze?

Po tych słowach dopełnił ceremonii przedstawienia mnie w sposób bardzo oryginalny: Stojąc do mnie tyłem, mówił, że to „nowy pasażer, —

http://rcin.org.pl

mądra sztuka, jak sowa". Kamrad jego poruszył jakoś głupkowato głową i ceremonia się ukończyła.

— Pani kupcowa, dwa alembiki!

— Sz... sz...! — zasyczał kamrad. — Andrzej alembikami się rozbija.

— Trzy! — huknął w odpowiedzi Andrzej i zwrócił się do niego:

— Józef, chodźta tu. Zalejecie se gębę, bo ją rozedrzecie bez te wydrwiwania.

— Niema obawy. A co do fundy, to... szsz!

Zaledwie usta odważyłem się przyłożyć do brudnego kubka, by nie zrobić przykrości Andrzejowi.

— O, Stasiak idzie... Panie Stasiak!... Panie te!...

— Nie mam czasu — wołał głos z ulicy.

— Nie mam czasu — powtórzył, wchodząc do szynku. — A, pan Andrzej? A cóż to, imieniny? O co idzie?

— Cztery alembiki!

— Czasu nie mam — bronił się Stasiak, biorąc kubek w rękę.

— Do domu się spieszę — dodał, stawiając kubek na bufecie.

Andrzej kiwnął na żydówkę.

— Salcia! Chleba i sera.

Towarzystwo zasiadło do stołu, mimo protestów Stasiaka.

http://rcin.org.pl

— Kiedy bo... spieszę się — mówił, krając chleb.

— Ma racyę — rzekł Józef. — Na święty Jan się ożenił. Szynk, widzisz Andrzej, nie starzeje się, a żona? Szsz!...

Dowcip ten przyjęto krzykliwym śmiechem. Stasiak spostrzegł mnie wreszcie i zwrócił się z grzecznością:

— A, panu sąsiadowi (niby od śrubsztaka) dzień dobry. Tak to, kochany panie! spieszę się do domu, bo raz, że żona, a drugie, że jutro święto.

— Pan Stasiak jutro na sumę powędruje — śmiał się Józef.

— Otóż to. Póki człek jest w kawalerskim stanie, w kościele ani poświeci. Jak się za to ożeni, chodzi więcej, niż potrzeba.

— A kto mnie zaciągnie? — oburzył się Andrzej. Trzy czyste!... A kto mnie zaciągnie? Jeszcze będę tam kąty w Grzybowie wycierał.

— Dałbyś pan pokój — mityguje go Stasiak za tę herezyę.

— Y... tere-fere. Ja tam sobie z tego niewiele robię.

— Cicho ludzie! — zawołał Józef — Toć to jutro Narodzenie Najświętszej Maryi...

— Ee?... No, to bez gadania trzeba iść.

Nawet ateistycznie usposobiony Andrzej zmienił zdanie wobec tak ważnego święta.

http://rcin.org.pl

— Tak? To jasna rzecz.

Towarzystwo zgodziło się na jedno. Wogóle jest to głupstwo i dobre dla bab, co zaś do jutrzejszego święta, „to zupełnie co innego“. Wśród tej dusputy zjawiła się na stole butelka wódki.

— Andrzej, chodźmy do domu — wyrwało mi się niechcący z ust.

— Do domu? A idźmy. Ino, że ja zostanę.

Teraz dopiero pojąłem niestosowność mego kroku. Andrzej znalazł towarzystwo odpowiedniejsze, o mnie zaś nie dba już zupełnie. Chciałem zawiązać z nimi stosunki (tem się przynajmniej kierowałem, wchodząc do szynku), okazało się jednak, że to oni, jeśli zechcą i jeśli ja pić z nimi będę, gotowi mnie przyjąć do swego koła. W przeciwnym razie będę niepostrzeżony siedział na boku i budował swego ducha widokiem, jak panowie Stasiak, Andrzej i Józef wlewają „czystą“ w swe gardła. Wstać teraz i wyjść — znaczyłoby ściągnąć na siebie ich gniew, oraz stać się dla nich wrogiem dozgonnym. Arystokratyczny pan Stasiak nie wybaczyłby mi tego nigdy.

— A tom wlazł! — pomyślałem, i postanowiłem sobie w duchu być tylko widzem.

W szynku zrobiło się niezadługo parno i duszno, powietrze przesyciło się stęchłą, wilgotną mgłą. Od publiczności roiło się w tej brudnej norze. Byli tam robotnicy, stróże sąsiednich domów, dorożkarze, posłańcy, drobni majsterkowie; nieje-

http://rcin.org.pl

dna też baba tu zabłądziła. Wreszcie kogo tam nie było? Najbardziej rzucali się w oczy szeregowcy złotej gwardyi, ci „andrusi“ warszawcy, dla których szynk jest nietylko źródłem uciech moralnych i cielesnych, lecz zarazem grotgierryą amerykańską. Tu andrus pokrywa grzeszne swoje ciało, tu też obnażyć je cokolwiek jest nieraz zmuszony, gdy wypije więcej, niż należy; tu tryska dla piśmiennych zdrojowisko świeżej wiedzy, w postaci onegdajszej „Gazety policyjnej“; tu wreszcie jako szczyt luksusu dostać można „parę“, gdy przyjdzie andrusowi ochota „szyk się wystrychnąć“ i ukazać się w szacie światowego człowieka.

Tak mnie przynajmniej Stasiak objaśniał, wskazując na nich.

Ciekawe to twarze. Grube, prawie zwierzęce wargi, zwieszające się z pod tłustego nosa, wykrzywia arogancka buta, a w małych bystrych ślepkach igra coś w rodzaju humoru.

Oto wtacza się jeden z workiem węgli na plecach i szczerząc zęby, śmieje się rozkosznie małemi ślepiami.

— Pani te!... Jabłuszka są. Łapieński i spółka. Ny! Ny!

Aż paszczę roztworzył z radości.

— Z pod cudzego wozu — wtrącił Józef.

Tu Andrzej się zaperzył.

— Z pod twego? Zgubiłeś, co? Lubię ja ta-

http://rcin.org.pl

kich wyszczekanych. Widać, żeś wczoraj jeszcze gnój widłami podnosił.

Józef zaczął się odgryzać, jak umiał. Mówił, że przez trzy kwartały jest w mieście, a co do wsi, to „ho, ho—sz-sz!“

Pan Stasiak wtrącił ze swej strony krótką wymówkę.

— Fuszer.

Zauważyłem z dalszego toku rozmowy i z tej miękkiej ostrożności, z jaką wyrażali się o andrusach, że są to pupile panów Stasiaka i Andrzeja. Rasa, aczkolwiek znacznie niższa, jednak nieoceniona.

— Oni mają pieprz — utrzymywał Stasiak.

— To są dranie dodał pieszczotliwie Andrzej.

W szynku począł się tymczasem ścisk formalny. Do mokrej pary, wypełniającej pokój, przyłączyły się jakieś cuchnące wyziewy. Bufet obstąpili goście i kłócąc się, krzycząc, wymyślając sobie bez litości i rzucając „dowciapy“, dobijali się bohatersko o czystą, alembikową, kimel i rzadsze specyały.

Do naszego towarzystwa przyłączył się pan Chojnacki, człowiek nie tak może wykwintny i ogładzony, jak pan Stasiak, niemniej pan całą gębą. Rozmowa przeszła powoli na stosunki fabryczne. Pan Chojnacki nie znajdował dla Walickiego słów pochwały.

— To anioł — mówił.

http://rcin.org.pl

— Strasznie pyskaty anioł — wtrącił Józef.

Pan Stasiak zadowolił się lakoniczną uwagą:

— Kto ma pozycyę, musi mieć i pysk.

Andrzej skorzystał z okazyi, by przyciąć Józefowi:

— Na was wymyśla, bo myśli, żeście chłop.

— A cóż to, ja mam na przodku wypisane?

— A wójt nie wymyślał? — drwił Andrzej dalej.

— Jabym się akurat dał.

Stasiak zabrał głos po raz drugi i uspokoił podniecone umysły. Mówił, iż był w Zgierzu, w Łodzi (tam Niemców wymacał, co to za naród będzie), wreszcie był w Sosnowcu, czego dowodem, że po francusku rozumie (wcale nie jest mądry język). Był, jednem słowem, wszędzie, a takiego człeka, jak Walicki, nie widział.

I tę sprawę zapito. Dalsza rozmowa potoczyła się bez ładu i weszła na tory humorystyki. Ku memu zdziwieniu, objął tu przewodnictwo Józef, zwłaszcza w sprawach kobiecych. Oczy biesiadników zaczęły błyszczeć; pomimo wesołego nastroju, czuć było leciutki powiew tego wiatru, co rozdmuchuje namiętności i prowadzi bez powodu do bójki.

Szynk począł się powoli opróżniać i tylko od czasu do czasu wtoczył się pijany już gość. Publiczność stawała się mniej wyborową. Oto włazi

http://rcin.org.pl

naprzykład jakiś włóczęga w łachmanach, ściskając w garści miedzianą dyskę.

— Y... pani kupcowa. Takie goście? — skrzywił się Andrzej arystokratycznym grymasem.

Przybysz zwraca się do szynkarki i żąda wódki.

— Ja dostaję teraz! — krzyknął Andrzej.

— Niech sobie czeka — mruknął włóczęga.

To wystarczyło. Andrzej zręcznym ruchem przesadził nogi nad ławką i wyskoczył na środek.

— Kto będzie czekał? — krzyknął.

— Pan będziesz czekał.

— Ja będę czekał?

— Ty będziesz czekał.

— Tfu! Ps... kr...!

— W łeb! — zakomenderował Józef.

Andrzej rozkraczył nogi, schwycił za próżną butelkę i stanął tak w postaci wojennej. Włóczęga flegmatycznym ruchem wyciągnął z kieszeni nóż, co wywołało gwałtowny napływ krwi do głowy Andrzeja. Cisnął on butelkę o ziemię z taką siłą, że aż w drobny pył się rozprysnęła, i porwał za stołek.

— Ja cię zabiję! — ryknął.

Panowie Stasiak i Chojnacki stanęli pośrodku i siłą pięknej wymowy starali się go powstrzymać od nierozważnego kroku.

— Nie warto takiego zabijać.

Józef schwycił tymczasem za ławkę, podniósł

http://rcin.org.pl

ją do sufitu i spuścił na kark włóczęgi. Echo powtórzyło to uderzenie. Włóczęga stęknął i przypadł na kolana. Tu spadł na niego Józef jak kot. Chwila, a przybysz znalazł się za drzwiami.

Towarzystwo nie prędko się uspokoiło. Potrzeba było całej butelki, by przywrócić równowagę umysłów.

Stasiak ceremoniował się trochę dla przyzwoitości.

— Ja funduję! — odpowiedział Andrzej, uderzając ręką w stół.

Nie minęło pół godziny, a bractwo już na ławach kiwać się zaczęło. Andrzej był w takim napadzie gościnności, że chciał poczęstować nawet stójkowego, który zajrzał do szynku, zwabiony widocznie zajściem z włóczęgą.

— Panie stojący!... Panie naczelniku... Zdrowie kochanego... Za miesiąc moje imieniny. Dziś przepijam... Panie naczelniku... Funduję!...

Stójkowy wyszedł, nie odpowiedziawszy ani słowa.

— Nie? Bierz cię licho!

Wkrótce szynk zamknięto i znaleźliśmy się na ulicy. Tu przypomniano sobie moją osobę i każdy uściskał mnie z kolei. Panowie Stasiak i Chojnacki cmoknęli w powietrzu, Józef zaś liznął mnie jęzorem. Nawet Andrzej poczuł znów wyjątkową czułość ku mnie, gdyż zarekomendował mnie towarzystwu po raz drugi:

http://rcin.org.pl

— Mądry szelma, jak sowa.

Przy pierwszym rogu rozstaliśmy się. Każdy poszedł, a raczej potoczył się w swą stronę. Andrzeja ująłem ja pod ramię i prowadzę z trudem do swego mieszkania.

Zatrzymywał się co chwila i spoglądał z ciekawością astronoma w gwiaździste niebo, jakby dostrzegł tam nadzwyczajny fenomen. Innym razem utkwił smutny wzrok w rynsztok i monologował coś o kanalizacyi. Upierał się nieraz, że nie pójdzie, czepiał się latarni i tragicznym głosem wołał:

— Nie pójdę!

Chwilami wracał mu dobry humor, jako przypomnienie wesoło spędzonych godzin. Zatrzymywał się tedy na środku ulicy, wymachiwał rękoma, jak wiatrak, i darł się na całe gardło:

Gdy mi nie dasz świdry — wydry,
To cię szelmo za łeb wydrę.

— Co, ładna piosnka?... No?... Górą nasza!... Ech-te-huu!...

Huknął, aż echo rozbiło się po pustych ulicach, a pociągnięty za rękę, podreptał za mną, jak dzieciak.

---

http://rcin.org.pl

VI

Obudziłem się nazajutrz z bólem głowy i z jakiemś niemiłem uczuciem na dnie serca. Andrzej, który przespał u mnie tę noc, pociesza mnie, że człek po przepiciu czuje się zawsze „jak Saska Kępa w poniedziałek".

Tylko, że u mnie trwa to poniedziałkowe usposobienie cały tydzień. I jak gdyby na złość zbiegło się na ten czas kilka niepowodzeń fabrycznych, a te zawsze mi humor odebrać są w stanie.

Z rozrzewnieniem wspominam te chwile, kiedy to humor, a nawet myśli normowała rózga, zwykła sobie brzozowa rózga. Teraz, kiedy już od dawna „skończyłem sztubę", gdym „poznał, co miłość znaczy", gdy wąsy wysypały mi się pod nosem i gdy rozpocząłem filozofować — zjawia się z kolei coś, czego sam określić nie potrafię: zjawia się początek drugiej epoki. Wątpliwości, pesymizmy, sprawy celu i znaczenia ludzkiego żywota i wiele innych „izmów", które mam ochotę

http://rcin.org.pl

podprowadzić pod ogólny pierwiastek: idyotyzmów. A jednak tu już rózga nie pomoże, tu człowiek wmawia w siebie zawikłane cierpienia, grzebie się w tem bagienku, co wprzód rowem zwykłym było, póki weń wody z książek nie wtoczył, i wmawia w siebie z dumą, że owo trzęsawisko to potężny żywioł zagadkowego „ja“.

I niema nikogo, ktoby mu potrafił ten ćwiek z głowy wybić, gdyż on swe cierpienia tak pieści, że usunąć ich nikomu nie pozwoli.

Faktycznie tęsknię w takich chwilach za matczyną rózgą. Jestem w głębi duszy przekonany, że gdyby matka zawołała na mnie gderliwym głosem:

— Kazik, co ci do głowy wlazło? Unieśno koszulę!

Krzyknąłbym może wtedy:

— Mamo, ojej!

I pesymizm rozwiałby się natychmiast. Ale że matki nie mam, no i, jak Andrzej powiada, nie potrafię unikać Saskiej Kępy w poniedziałek, więc też noszę swoje bóle i wątpliwości, póki dobrze utoczona śrubka, ładna mutra, gwincik lub coś podobnego rozkoszną dumą serca mego nie wypełni i nie poniesie ducha w krainę optymistycznych marzeń.

Mam i ja takie chwile i jestem za nie życiu wdzięczny, wdzięczny nad wyraz. Ale też tem silniej przeklinam je za skrzywione śruby, źle do-

http://rcin.org.pl

pasowane gwinty, za te małe, lecz gnuśne i dokuczliwe przykrości.

Dnie takie wykreśliłbym z kalendarza, wykrajałbym z pamięci. Dwudziesty lub któryś tam listopada, ta pamiętna rocznica fuszerki fabrycznej, świeci mi ciągle na kalendarzu, jak polip wsysa się do mózgu i wspominać ten dzień każe.

Wstałem niedobrze tego dnia. Gdym nogę na zimną podłogę postawił, wstrząsnął mną dreszcz. Nie było to jednak rozkoszne drżenie, jakie zimny, świeży wywołuje poranek; był to raczej kurcz febryczny zmęczonego człowieka. (Właściwie nie mam przecie powodu do zmęczenia — pomyślałem).

Podczas umywania mroziła mnie woda, w drodze do fabryki czułem smak żółci w ustach, idąc albo wlokłem nogi, albo podnosiłem je za wysoko. Zapowiadał się, jednem słowem, dzień feralny.

Stanąłem przy maszynie i zwiesiłem głowę, jak smutny koń. Natychmiast podnoszę ją energicznie do góry i uderzam o pręt żelazny. Zły i zgorzkniały, chwytam sztamajzę i szoruję nią z całej siły. — Trach! pęka rurka mosiężna.

— Bodaj cię połamało! — przeklinam na sposób Andrzeja i rozpoczynam robotę na nowo.

Mosiądz zły, czy inne licho, dość, że nie idzie. Dla osłodzenia tego następuje prelekcya pana Walickiego. Daje mi on w dodatku maszynkę in-

http://rcin.org.pl

dukcyjną do naprawy, mówiąc, że chociaż to nie do mnie należy, posłuży mi to do nauki.

— Ten drut tu, tamten tędy, tu pan zaczepisz, tu zahaczysz...

— Rozumiem.

— Nic pan nie rozumiesz.

— Ho, ho... wyrwało mi się niecierpliwe westchnienie.

Wreszcie zostawił mnie w spokoju.

— Ten drut tu, — powtarzam, przewlekając go przez szpulę. — Tamten tędy.

Dłubię kilka godzin i nic. Maszynka nie funkcyonuje.

— Ten drut tu, tamten... źle! Nie tak.

Zadzwoniono na obiad. Uczuwam wyraźne zadowolenie. Składam rzeczy na kupę i wynoszę się. Nie chcę nic wiedzieć o maszynkach indukcyjnych, przynajmniej przez te półtorej godziny.

Po obiedzie to samo. *Da capo al fine e di nuovo.* — „Ten drut tu, tamten tędy". Syzyfowa praca z temi maszynkami.

Przyszedł wreszcie pan Walicki.

— Pokręcił, pogmatwał, pocudaczył, posupłał, po...

— Panie Walicki! — mówię proszącym głosem.

— Czego? czego?

— Panie Wali...

http://rcin.org.pl

Ugrzęzło w gardle i nie wyszło, co wyjść miało. A miała to być pokorna prośba.

— Ja jestem...

— I czego pan beczysz? No, i widział to kto coś podobnego? Rozmazał się...

— Ja jestem nie tego... nie zdrów.

Walicki spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem i wargi drgnęły mu nieznacznie. Po dzwonku sprowadził mnie na dół i odwiózł razem z Andrzejem do domu. Pozwoliłem robić ze sobą, co im się żywnie podoba. To zwykły wreszcie koniec płaczu. Lubimy być wtedy lalką, tłomokiem, byle nie człowiekiem.

Andrzej wszedł ze mną na górę i położył mnie do łóżka.

— Jakiś ty dobry — mówię, ściskając mu ręce (od czasu naszej pijatyki byliśmy na „ty").

— Brzuch cię boli? — odpowiedział na moją rzewność.

— Nie...

— W dołku gniecie?

— Nie... — mówię cierpliwie i potulnie, jak chore dziecko.

— Żryć chcesz?

— Nie...

Stanął na środku pokoju i zamyślił się głęboko, jakby rady jakiej szukając.

— A co, Kazik? Możeby doktora? Oni nam, widzisz, nie wiele pomogą, ale wam...

http://rcin.org.pl

Gdym zaprotestował poruszeniem głowy, nie obstawał więcej przy swojem.

— Masz rację — zawołał. — To szewcy!

Powoli ustępowało to niedołężne sparaliżowanie. Upewniłem Andrzeja, ze mi nic nie jest, i prosiłem, by się mną nie krępował, i jeśli ma gdzie iść, niech idzie.

— Przysięgnij się — mówił.

I nie ustępował, pókim mu nie dał tej przysięgi. Wtedy, uspokojony już zupełnie, wziął czapkę.

— Ja, bo widzisz, do Walerki się spieszę. Ale ty nie wiesz, prawda. E, mniejszość. To ci innym razem powiem.

Ledwo że za nim drzwi się zamknęły, a ja wyskoczyłem z łóżka i zacząłem się spiesznie ubierać. W myśli odezwało się dalekie echo ongi zasłyszanych słów:

„Gdy źle ci będzie, szukaj tych, co ci dobrze życzą".

Echo tak miękko, tak rzewnie te słowa mi powtarza...

Jużem miał wyjść, gdy drzwi się otworzyły i wszedł do pokoju Michaś. O tej godzinie wracał on zwykle od krewnych z drugiego piętra. Tam spędzał popołudnie i przygotowywał lekcye ze swym kolegą.

— Ty wychodzisz? — zapytał.

Spojrzałem na Michasia i zawahałem się.

— Nie lubisz sam zostawać?

http://rcin.org.pl

— Nie.

Powiesiłem czapkę na kołek i zostałem. Zacząłem się rozpytywać Michasia o jego sprawy szkolne: o stopnie, o sprawowanie. Czyniłem to z większą niż zwykle, życzliwością. Przyznał mi się, że dostał pałkę, i ja, co zwykle strofowałem go za to, dziś klepię ze współczuciem po twarzy:

— Biedny chłopaku!

Robię sobie w duchu wyrzuty, że tak mało się nim zajmuję, i wpadam w tępe rozmyślanie. Michaś wnet spostrzegł, że dziś jestem „dobry“ i że można mię „nabrać“. Ciągnie mnie tedy za rękaw i powtarza po kilka razy:

— Kazik, wiesz? Jabym tak chciał mieć piłkę.

Wyjąłem portmonetkę i dałem mu złotówkę, za co zostałem obsypany pocałunkami. Długo nie mogłem wszakże tak wytrzymać i zaczynam prosząco.

— Michaś, duszko, ja muszę wyjść koniecznie. Zostaniesz sam?

— Ee...

— Położysz się spać i zaśniesz.

Zgodził się wreszcie i, jakby rad ze swego postanowienia, rozgadał się na dobre.

— A wiesz? Ksiądz się pytał, czy ja pacierz mówię.

— A ty?

— Powiedziałem, że nie. Ksiądz się gniewał.

— Masz ochotę mówić pacierz?

http://rcin.org.pl

— A no... mam.

— To mów, duszko. Tylko jak młodzi panowie tu będą... nie wyrywaj się z tem. Dobrze?

— Dobrze.

Na ulicy było mokro, wilgotno i tak jakoś ślimaczno, żem się na chwilę zawahał, czy nie wrócić do domu. Pogoda potęguje przykre usposobienie i naprowadza taką gorycz, że bezwiednie skrzywiam usta grymasem znużenia. Przemogła jednak chęć zobaczenia panny Heleny i głucha, niewyraźna nadzieja, zjawiająca się za każdym razem, gdy szedłem do niej. Przebijam się prawie przez gęstą mgłę, wypełniającą tak szczelnie ulice, iż wszystko mi przed oczyma zasłania. Widzę tylko szereg latarń, a raczej bladych, żółtych języków, wyrzucających w promieniu stożki bladego światła. Z okien domów wypadają zielonawe snopy światła, krzyżują się wzajemnie i tworzą we mgle mętną mozajkę.

Owijam się szczelnie w palto; starając się opanować przejmujący dreszcz, biegnę przed siebie coraz to prędzej.

„Gdy źle ci będzie, przyjdź do mnie“, — powtarzam te słowa po cichu, chcąc sobie dodać otuchy.

Wreszcie dotarłem do jej mieszkania.

Na schodach zatrzymuję się umyślnie, aby ułożyć sobie, czem wytłumaczę na razie moją wizytę. Gdym pociągnął za dzwonek, serce zaczęło

http://rcin.org.pl

mi bić gwałtownie. Spodziewałem się dziś czegoś nadzwyczajnego. Wstrzymuję oddech i wsłuchuję się z całą uwagą.

Czyżby nikogo nie było? Boże, każdego innego dnia, tylko nie dzisiaj!

Ledwie nie drżącą ręką natrafiłem po raz drugi na dzwonek. Już mnie w gardle coś ściskać zaczyna.

Idzie.

Ja się dziś rozbeczę. Ja się stanowczo rozbeczę.

Drzwi się nie roztwierają, a ja stoję, jak na rozżarzonych węglach.

— Kto tam? — zapytał wreszcie jej głos.

— Ja...

— Ojca niema.

— To ja, proszę pani. Kazimierz, proszę pani, Zaliwski...

Mówię prędko i staram się być przekonywającym z obawy, by mnie ode drzwi nie odprawiono.

Wreszcie roztworzyła drzwi.

— A, to pan? — zawołała i wnet odsunęła się ode mnie.

— O, jakąście wilgoć przynieśli ze sobą. Okropna pogoda.

— Mgła — mówię lakonicznie z pewnym odcieniem tragizmu w głosie.

Zdejmuję palto i wchodzę za nią do pokoju.

http://rcin.org.pl

Tu długi czas nie odzywam się wcale, w części dlatego, że nic wówczas powiedzieć nie potrafiłem, następnie oczekiwałem, że lada chwila zapyta mnie: co mi się stało? czegom taki smutny, lub coś podobnego.

Musiałem mieć wtedy bardzo tragiczny wyraz twarzy, a jednak panna Helena nie zauważyła tego.

— Dobrze, żeście przyszli, — zaczęła, przewracając kartki jakiejś książki. — Dopiero co przeczytałam ciekawe zdanie: jakoby w rozwoju społecznym usiłowania i zamiary jednostki nie miały najmniejszego znaczenia.

Tu poczęła czytać długi ustęp.

Zębami zgrzytałbym ze złości.

— I ona mi teraz cytatę czyta — myślałem.— Teraz, gdy mnie omal dyabli nie biorą. Wszak nie po to tu przyszedłem. Wszędzie te cytaty, wszędzie teorye, nauki i dysputy wyłażą mi, jak upiory, wtedy właśnie, gdy najmniej o nich chcę myśleć. Co mnie po tych tam rzeczach! To, co teraz czuję, jest mi ważniejsze od waszych „ustrojów społecznych“, „kolektywizmów“, „indywidualizmów“ — i jak tam się to wszystko nazywa!

Takem myślał i aż mnie coś na krześle podrzucało z oburzenia. A ona?...

Ona z flegmą czytała:

— „Filozof niemiecki przyciągnął tedy teoryę ewolucyjną Hegla, teoryę tezy, antytezy i syn-

http://rcin.org.pl

tezy, mniemając, że zdoła ją zastosować do rozwoju społeczeństwa".

— I cóż pan na to? — zapytała, skończywszy rozdział.

— Tezy... syntezy, — powtórzyłem, jak we śnie.

— I antytezy — pomaga panna Helena z ożywieniem.

Z ust wyrwało mi się przeciągłe, prawie że rozpaczliwe:

— Tak, taak... I antytezy.

Panna Helena bierze to za wyjątkowe skupienie nad dopiero co przeczytanym rozdziałem.

— Więc zgadzacie się na to?

— Przyznam się wam, że dzisiaj nie jestem w stanie osądzić. Jestem w fatalnem usposobieniu.

— Pogoda tak działa.

— Tak jest, właśnie. Pogoda ma straszny wpływ na mnie. Przyszedłem prosić tylko o książkę do czytania. Nie mam na razie nic w domu.

Ofiarowała mi tę książkę, z której rozdział ów wyczytała, mówiąc, iż może poczekać, póki ja nie skończę. Rozmawialiśmy potem jakiś czas o panu Walickim, poczem pożegnałem się.

— Jak długo pracujecie już w fabryce, — zapytała w przedpokoju.

— Rok.

— Już rok? Jak to prędko czas leci. Ale,

http://rcin.org.pl

ale, muszę też wam powiedzieć, co mi Zanicz o was mówił: „Z niego będziemy mieli pociechę",— powiedział.

Znalazłem się znów na ulicy, otulony wilgotną, przejmującą mgłą. Patrzałem na zygzaki świetlane przed sobą, na odległe płomyki latarń, i wracałem do domu wolnym, ciężkim krokiem, niosąc pod pachą rozprawę o heglowskiej tezie, syntezie i antytezie.

Było to, jak powiadam, dnia dwudziestego listopada.

Daty tej póki życia nie zapomnę i obchodzić ją chyba będę jako uroczystą rocznicę. A jednak, gdy w kilka dni potem zastanowiłem się nad sobą trzeźwo, odnalazłem przyczynę mego usposobienia. „Każdy stan psychiczny ma swe fizyczne uwarunkowanie czyli umożliwienie". Tak powiada nasz polski uczony w... już nie pamiętam tytułu. Była to popularna broszurka z cyklu: „Klucz do tajemnic wszechświata". „Fizycznem uwarunkowaniem mego psychicznego stanu była owa niefortunna wycieczka do szynku. Szczerze powiedziawszy, nie udało mi się zbliżenie do ludu. Był to kapitalnie niedorzeczny krok". Wyperswadowałem sobie mój spleen i dziwiłem się potem, jak to nieraz dziwnie zmieniają się usposobienia. Po dniach zgryzoty następują wprost urocze chwile. Szukałem lekarstwa u panny Heleny, a znalazłem je u samego

http://rcin.org.pl

siebie. W wolnych chwilach zrobiłem maszynkę indukcyjną — sam, bez niczyjej pomocy.

Walicki powiedział, że już jestem „na drodze“, a pochwała od takiego człowieka, jak on, znaczy więcej, niż medal na wystawie paryskiej.

Walicki — to geniusz! Mówię to bez wahania i bez zastrzeżeń. Gdy myślę o tem, co się niezadługo stanie, samemu sobie olbrzymem się wydaję.

Dowiedziałem się, co znaczą te lustra i ta maszyna, co ją na dachu ustawiają. On mi to powiedział.

Nowa siła — ot, co to znaczy! Przysiągłem, że nikomu przed czasem nie powiem, i gryzę się w język po dwadzieścia razy na dzień. — Toć to przewrót w całej Europie — w politycznem, społecznem i ekonomicznem znaczeniu.

Nowe źródło siły! — Ha, jakże ta maszynka zaśmieje się nad Napoleonem. A nasi kontuszowi poeci i konserwatywne gryzipiórki?... Ale kto w takich chwilach o drobiazgach mówi.

To będzie naszą odpowiedzią. Kto ma racyę? My czy wy? — Błogosławię chwilę, która mi tę drogę wskazała, błogosławię każdego z tych, co mnie do tego namawiali.

Radiometr Cook'a! Czy w tej zabawce podejrzywał kto epokę? — Dziwnie ślepo ludzkość nieraz kroczy. — Takie myśli tłuką mi się całymi

http://rcin.org.pl

dniami po głowie, a to, co widzę, wprowadzało mnie w nerwowy, niespokojny nastrój.

Po pierwsze — Borwicz siedzi całemi dniami u Walickiego. Słyszałem, jak raz mówił:

— Panie, choćby duszę, i to oddam.

Przyprowadził nazajutrz Lafèra. Ten chodził naokoło maszyny, rozpytywał o szczegóły, wąchał na wszystkie strony, aż wreszcie wyjął książeczkę czekową. Widziałem to na własne oczy.

— Koszty maszyny — pomyślałem.

Nie zwracam obecnie na nic innego uwagi. Nawet taką scenę oto puściłem mimo uszu.

— Pan znowu partolisz — nudził raz poczciwy Walicki.

— Czyż to złe? — pytam zdziwiony.

— Rozumie się, że złe. I jak pan pilnik trzymasz? Jak kto *gryfu* nie ma, to już nic nie poradzi.

Nie udało mu się coś tego dnia i złość spędził na mnie. Poczciwa dusza, tylko nudny, okropnie nudny.

W tem nudzeniu jest zresztą, jak na teraz, cokolwiek racyi. Przez jakiś nerwowy pośpiech i radosne rozdrażnienie psuje mi się coś od czasu do czasu. Przyznaję się jednak do tego otwarcie, bo w tem niema najmniejszej winy z mej strony. Znam o tyle „psychiczną machinę“ człowieka, by odgadnać przyczynę i siebie usprawiedliwić. Je-

http://rcin.org.pl

stem surowy tam, gdzie na to zasługuję, potrafię być wszakże i pobłażliwym.

Mam za to wadę znacznie gorszą, która w tych właśnie czasach zaczyna mnie silniej opanowywać. Pod wpływem tego zajścia historycznego budzi się we mnie znów rezonująca dusza. Codzień wieczorem muszę staczać ze sobą walki, by... powiem prosto z mostu: by nie pisać artykułu.

— Jakież to drobne — myślałem — jakie śmieszne, mizerne w obec tego, co się jutro stać może.

„Człowiek z natury rzeczy jest konserwatystą, wstrętnym, brudnym konserwatystą. Jakież to niedołęstwo myślowe, jaki to ślimaczy chód nie potrafić przeskoczyć dnia dzisiejszego i tych obecnych dni, by siłą woli i ducha wtłoczyć się od razu w to nasze jutro".

To zdanie wypisałem niechcący na marginesie książki.

Nasze jutro — powiadam i rozumiem przez to epokę radiometru. — Książek czytywać już nie mogę; gdy ujrzę gazetę, śmiech pusty mnie bierze. Rozpraw Zanicza i jego kolegów słucham w pobłażliwem milczeniu.

Słyszałem naprzykład, że jakiś tam uczony dowiódł... (już sam nie wiem, czego on dowiódł), że sławny malarz wymalował nowy obraz. Wszystko to dzisiejsze rzeczy i ja nad tem głowy sobie łamać nie będę.

http://rcin.org.pl

W podobny sposób filozofowałem całymi dniami. W domu wysiedzieć wieczorami nie mogłem. Potrzebowałem ruchu, życia, gwaru. W głowie mi coś harcowało i przewracało wszystkie klepki. Nie mogłem wprost zużyć nadmiaru sił. Nieraz stawałem na środku i rozpoczynałem gimnastykę. Wyrzucę ręce i nogi raz w tył, to znów naprzód, przechylam się, podnoszę ciężary, skaczę przez krzesła. Lub też wypisuję nieskończone tyrady na marginesach kształżek. Któregoś dnia, gdyśmy przyszli do fabryki, warsztaty stały. To huczące piekło w cichy grób nagle się zamieniło. Ludzie snują się po warsztatach, jak cienie.

Trzeba być robotnikiem, by módz to zrozumieć. Tu wprost serce nagle bić przestaje i w tejże chwili błyska myśl, że coś nadzwyczajnego się stało. Nikt o nic nie pytał, wszyscy milcząc oczekiwali.

Kazano przerzucić transmisyę na nowe koła. W jednej chwili wykonaliśmy ten rozkaz.

Ktoś z kąta począł dowcipkować.

— Milczeć tam! — zawołało kilkadziesiąt głosów.

W sali zapanowała taka cisza, że słychać było ciężkie sapanie robotników.

Oś u sufitu skrzypieć poczęła.

— Oho!

Był to cichy, tłumiony okrzyk, wydobyty prawie równocześnie z kilkudziesięciu piersi.

http://rcin.org.pl

Wszyscy skupili się na środku sali i pozadzierali głowy do góry. Staliśmy tak może przez dziesięć minut.

Skrzyp powtórzył się po raz drugi.

Tym razem oś obróciła się wyraźnie. Koła u ściany zrobiły pełny obrót i wszystkie maszyny wydały krótki szczęk.

Każdy przeniósł wzrok na swoją maszynę i czekał dalej.

Mija znowu pięć minut. Maszyny uderzyły powtórnie i jak gdyby z wysiłkiem opierały się na miejscu.

— Ścierwa!

— Milczeć tam!

Mija pół godziny. Po sali przenosi się głuchy szmer zniecierpliwienia. Ludzie chrząkać zaczynają.

— Koło zrobiło cztery obroty.

— Oho!

— Masz!

— Bierz go!

— A ścierwa!... — A... ścierwa!...

Znów utknęło. Kolosy żelazne robią ostatnie wysiłki i z zaciętym oporem zatrzymują się na miejscu.

Rozległ się trask i maszyny popędziły w szybkim tępie.

Grupa ludzi zebrana na środku sali rozpierzchła się w okamgnieniu. Każdy dopadł do swo-

http://rcin.org.pl

jej maszyny i usuwał z pośpiechem narzędzia w obawie jakiego wypadku.

Ruch osłabł wkrótce i przeszedł za chwilę w miarowe uderzenia, aż wreszcie ustał zupełnie.

— Przerzucić transmisyę!

Teraz dopiero powstał gwar nie do opisania. W warsztacie zaroiło się, jak w ulu. Uwagi, wykrzykniki, podziwy, drwiny — wszystko to krzyżowało się z takim pośpiechem, że niepodobna było ani słowa z tego zgiełku wyłowić.

Nagle ucichło: wchodzi Walicki. Pierwszy to raz widzę go w fabryce bez czapki. Oczy ma jakby załzawione, włosy opadły mu na czoło, a twarz cała promienieje radością.

— Brawo, panie Walicki! — odezwał się ktoś.

— Brawo! — powtórzyło za nim kilkadziesiąt głosów.

Walicki uśmiecha się i kiwa głową. Stasiak podchodzi i ściska mu rękę.

— Hura! — zagrzmiało w warsztacie.

Usłyszano ten okrzyk w sąsiednich warsztatach, na podwórzu, w giserni.

I rozległ się potężny okrzyk:

— Hura!!...

Przeciskam się i ja do Walickiego. Chwytam trzęsącą się jego rękę i... podnoszę do ust. On żachnął się i chciał coś powiedzieć, lecz w tejże chwili zagłuszyły go wołania:

— Hura!...

http://rcin.org.pl

Po południu puścili nas do domu. Idę razem z Walickim i nie spuszczam oczu z niego.

On zaś mówi:

— Maszynę zrobiłem, ale niech mi kto tam majdrować zacznie, wszystko przepadło. Rysunków nie robiłem, planów nie mam. Wierz pan lub nie wierz, ale mam to uczucie, jak gdyby za przykręceniem ostatniej szrubki wszystko mi z głowy wyleciało.

Był tak zmęczony, że pociągnął mię na ławkę poblizkiego skweru. Zdjął czapkę, rozparł się wygodnie i był blizki zdrzemnięcia.

Ja zaś, zwykłą koleją rzeczy, wracam do swoich myśli. Obok entuzyazmu dla pana Walickiego uczuwam jakąś ciepłą życzliwość i postanawiam zwierzyć się przed nim.

— Boć dlaczego — myślałem — nie mam mu tego powiedzieć?

— Zajdzie pan dziś do nas? — pyta Walicki.

— Rozumie się — odpowiadam.

A w myśli dodaję:

— On się stanowczo tego domyśla.

— Hela będzie panu rada.

Chyba, że uszy mnie nie mylą. Mnie się wprost wydaje, że ten zacny człowiek, chce mi ułatwić wyznanie.

— Panie Walicki — zacząłem.

— No?

— Ja panu już dawno chciałem powiedzieć...

http://rcin.org.pl

— No, gadajże pan bez wstępów, co panu pod żebro wlazło.

— Uważam za swój obowiązek powiedzieć panu, że ja pannę Helenę...

— Zakochałeś się pan? Nic dziwnego. Jabym się w niej także zakochał.

— Panie! — krzyknąłem z oburzeniem. — Ja ją bardzo kocham.

— Ho, ho!... Tak energicznie? Więc tu raki zimują? A ja sądziłem, że to dla mnie pan sympatyę czujesz...

— Panie...

— I wierz tu w ludzką przyjaźń.

— Panie Walicki...

— No, no! Tylko mi się pan znów nie rozbecz. Gadałeś pan z nią?

— Nie jeszcze, bo...

— Oj fuszer, fuszer! I to ze mną pan naprzód gadasz?

— Ja to za swój obowiązek uważałem.

— No tak... Ojciec... tego. Bardzo ładnie. A powiedz pan to Helci, to ci zaraz mycie sprawi. Ona bo nie uznaje rodziców razem z tym Zaniczem.

Ujął mnie pod ramię i prowadząc w kierunku domu, mówił niezwykłym tonem:

— O tem dużo będzie można mówić. Tylko nie teraz. Jeśli bo mam szczerze powiedzieć, to

http://rcin.org.pl

z was dwóch, wolę pana. Ale ja jestem ojcem, Hela zaś ojców nie uznaje.

Przy pożegnaniu uśmiechnął się do mnie, jak ongi do Zanicza, gdy go o wojnę pytał i poklepał mnie przytem po ramieniu.

— Serce to pan masz i głowę także, tylko gryfu panu brak.

Wróciłem do domu wściekły.

— I pocom ja to mówił? — pytam samego siebie po kilka razy na dzień.

Ot, oszalałem wprost z radości i palnąłem kolosalne głupstwo!

---

http://rcin.org.pl

VII

Artykuł mój zdecydowałem się ostatecznie wysłać. Pomimo, że w ostatnich czasach miałem głowę wprost przepełnioną wrażeniami tak, że rady sobie z niemi dać nie mogłem — znalazłem jednak czas i na to.

W duchu łajałem siebie za konserwatyzm, niedołęstwo, nieumiejętność wyjrzenia poza dzień dzisiejszy, a jednak niepokój mój wzrastał z każdym dniem od czasu wysłania listu.

Codzień wieczorem, powróciwszy do domu, pytam Michała:

— List jest?

— Niema.

Co to może być? — myślałem. Pewno licho rzecz napisana.

„Dobrze ci tak, — monologowałem w fabryce. — Nie na toś stworzony, by psuć bibułę. Twoje twarde ręce zdatne do tokarni, a nie do literatury".

http://rcin.org.pl

Nie przeszkadzało mi to rzucić Michasiowi tegoż wieczora kategorycznego pytania:

— List pewnie jest?

Byłbym może długo czekał na odpowiedź, gdyby mi szczęśliwa myśl nie przyszła była do głowy. Pobiegłem do cukierni i kazałem podać sobie ostatnie numery „Postępu".

Szybko przebiegam oczami stronnice i natrafiam na tytuł, któremu wierzyć mi się wprost nie chce:

„Z krainy pięknych słówek — Bajka przez Kazimierza Z".

Zasłaniam się gazetą, gdyż czuję już rumieniec i kurcz radości na twarzy, który chwyta mnie zawsze, ilekroć mi się coś przyjemnego zdarzy.

— Z krainy pięknych słowek... Z krainy...

Ze dwadzieścia razy ten tytuł przeczytałem, tyleż razy i moją bajeczkę o filozofie.

W druku to zupełnie inaczej wygląda.

Potem chwyciła mnie taka wdzięczność do dziennika, że przestudyowałem go od deski do deski, nie wyłączając ogłoszeń.

— Zamawiam! — huknął mi nad uchem jakiś stary emeryt.

— Co takiego?

— Co? Gazetę. Przecie, że nie pańską czapkę.

— Aha.

— No, tak. Cóż to, pan nie wiesz? Za granicą, panie, wszędzie jest ten zwyczaj.

http://rcin.org.pl

Usiadł przy moim stoliku i pogrążył się w czytaniu „Kuryerka“. Wertowałem „Postęp” jeszcze przez kilka minut, poczem oddałem go, nie mogąc powstrzymać się od uwagi:

— Panie, co to za dziennik!...

— Eet! Narwańcy. Sami nie wiedzą, czego chcą. „Postęp!...“ Hej mam go znowu!

—Tu jest niezły artykuł — dodałem i ugryzłem się natychmiast w język.

— Wierz mu pan tam!... Chociaż, przeczytam, przeczytam... Dlaczego nie?

Poczem stuknął palcem w „Kuryerek“.

— A czytałeś pan kronikę? To szelma pisze. Co? he, he...

Skrzywił swą starą, pomarszczoną twarz i chichotał, pokazując bezzębne szczęki:

— O baletnicach, uważasz pan, pisze... Innemu nie pozwoli, ale jemu wolno.

Język mnie świerzbiał, gdyż na pożegnanie powtórzyłem:

— A niech pan tamto przeczyta.

— Rozumie się. Ja, panie, wszystko czytam.

Wprost z cukierni pobiegłem do panny Heleny. Zastałem ją wraz z ojcem przy herbacie. Przywitała mnie chłodniej niż zwykle, nawet z pewnem roztargnieniem, co nasunęło mi obawę, czy się Walicki aby nie wygadał?

Skorzystałem tedy z pierwszej sposobności i wziąłem go na stronę.

http://rcin.org.pl

— Pan mówił o tem z panna Heleną?

— O czem znowu?

— O naszej rozmowie.

— Bzika pan dostałeś? Będę dziecku ćwiek w głowę wbijał?

A więc nie to. Zachodzę w głowę, co może być przyczyną tej zmiany.

— Zanicz dawno był u państwa? — pytam.

— Dziś ma przyjść.

Spadam nagle z piedestału. Z przed oczu ginie mi tytuł: „Z krainy pięknych słówek", a zamiast tego występuje twarz Zanicza. Spoglądam z wyrzutem na pannę Helenę i czuję, że ona tego nie spostrzega, lub też udaje, że nie widzi.

Zanicz nie każe długo na siebie czekać. Oto wchodzi do pokoju z torbą naukowych, politycznych i ekonomicznych nowości. Rozmarzył tem wkrótce pana Walickiego, który wedle zwyczaju, przeszedł do drugiego pokoju, pożegnawszy nas zdawkowymi komplementami.

Zaczynam lustrować Zanicza krytycznem spojrzeniem i zadaję sobie wciąż jedno pytanie:

Jak ona mogła w tym wiórze zagustować?

Po niejakim czasie przekonywam się, że moje domysły nie są zupełnie usprawiedliwione. Nie przypuszczam w pannie Helenie zdolności politycznych i to, że Zanicza traktuje na równi ze mną, nasuwa mi pewne wątpliwości.

Wkrótce zamienia się ta wątpliwość w słabą

http://rcin.org.pl

nadzieję. Życzę Zaniczowi, by się udławił swym traktatem i wyniósł z pokoju.

Jak ta małpa drażnić mnie zaczyna!...

Panna Helena mrukliwa i roztargniona przez cały wieczór, odzyskała nagle humor: stała się ożywioną, gdym zręcznym manewrem przeciął tyradę Zanicza i zwrócił rozmowę na radiometr. Wpadam w werwę i recytuję bezwiednie te uwagi, jakiemi zapisywałem marginesy książek. Jej podoba się to widocznie, gdyż uśmiecha się do mnie po chwila.

— O tak — woła. — Ma pan racyę.

Zanicz nasrożył się, puścił w młynek swe binokle i porusza wargami niecierpliwie.

Panna Helena przerywa mi w środku zdania i chwyta mnie za rękę.

— Chcecie zobaczyć jego fotografię w waszym wieku?

— Jego fotografię w moim wieku, — powtórzyłem w myśli i widziałem w tem dobry dla siebie prognostyk.

Wyjęła z komody album i pokazywała nam po kolei wszystkie stadya, przez jakie przechodził pan Walicki. Tu miał lat dwanaście, tu dwadzieścia pięć (fotografował się w dzień ślubu), ostatnia fotografia z przed roku (wtedy gdy to nosił się z myślą o radiometrze). Wpada na tory opowiadań rodzinnych i pokazuje nam wszystkie ciocie, babcie, wujenki. Przy każdej osobie następuje

http://rcin.org.pl

małe opowiadanie, w którem jako bohater figuruje jej ojciec.

— Tu pan Walicki przypomina zupełnie mego ojca — zwróciłem się do Zanicza.

— Wszyscy ojcowie są do siebie podobni.

Ona zaś zapytała roztargnionym głosem:

— Podobny?

I przeszła natychmiast do radiometru, wtajemniczając nas w historyę jego powstania.

Stoimy z Zaniczem naprzeciw siebie i słuchamy z rezygnacyą nieskończonych sprawozdań panny Heleny. Raz jeden podniosłem oczy i spotkałem jego wejrzenie. Niemądrze musieliśmy oba wyglądać.

Przy rozstaniu się odzyskał Zanicz mowę i wtrącił uwagę o groźnej filipice między dwiema gazetami.

— Otóż to — odpowiedziała jemu panna Helena. — Gdy jedni wielkie dzieła tworzą, inni smarują bibułę.

— A to zjadła Zanicza! — przemknęło mi w myśli i w tejże chwili przypomniałem sobie swój artykuł.

— Co? kto? — zapytałem niespokojnie.

A dusza w pięty mi ucieka.

— A no, tamci.

Więc nie wie. Chwała Tobie Boże.

Postanowiłem sobie w duchu, iż nigdy w życiu nie przyznam się do swego artykułu. Całe

http://rcin.org.pl

szczęście, że była wtedy wyłącznie ojcem swym zajęta.

Był to wszakże ceber zimnej wody na łeb mi wylany. Podziałał on tem silniej, że w duchu przyznawałem jej racyę.

Nadszedł wreszcie list, wzywający mnie do redakcyi „Postępu“. Poszedłem tam z niechęcią, ale poszedłem.

Dano mi do zrozumienia, że będę chętnie widziany w gazecie. Ja zaś odpowiedziałem sucho i bodajże opryskliwie, że pisać nie umiem, a że tamto było tylko wypadkowo, prawie że nie chcący.

— Jestem ślusarzem, proszę pana. Pracuję w fabryce Borwicz, Szwineiger, Lafère i Spółka, pod kierunkiem technika, pana Walickiego (Może pan słyszał?). Widzi szanowny pan, że... Przepraszam pana, ale spieszę się do roboty. Mam właśnie werniksować. Obstalunek spieszny.

Redaktor nie spodziewał się znaleźć takiego ptaka. Zdziwienie jego bawiło mnie i pochlebiało mi zarazem. Wyraz „werniksować“ wywarł takie wrażenie, że pożegnany zostałem bardzo uprzejmie, lecz i bardzo spiesznie.

Dziś dopiero godny jestem stać się uczniem Walickiego, — myślałem, spiesząc do fabryki.

Minęło jeszcze kilkadziesiąt dni tej epoki. Pracuję wciąż jeszcze nie najlepiej. Bywam za to w świecie. Niema nadziei, by mnie gdzieś nie zaciągnięto. Po mieście krążą już głuche wieści i one

http://rcin.org.pl

to sprawiają, że przyjmowany zostaję wprost owacyjnie. Widzą we mnie młodą latorośl dzielnego szczepu.

Gdy się nad tem zastanawiam, odnajduję w tem coś niezupełnie miłego. Ukrywa się tu jakieś nieporozumienie, czy dwuznaczność. Odpowiedniego słowa nie znajduję na to.

W towarzystwie jestem niby pierwszą osobą, a w fabryce bodaj, że...

Ostatnią niby nie. Aleć to zawsze nie to, co pośród inteligentnych ludzi.

Jestem w ostatnich czasach niezupełnie zdrów. Wieczorami nie mogę czytywać, sypiam za dużo, a wstać z łóżka jest dla mnie męczarnią. Na domiar złego, śnieg wali całymi dniami. Pomaga mu wiatr i spędza na środek chodników góry śnieżne, przez które z trudem trzeba się przedostawać. A już to samo zmęczyć może.

W warsztacie poustawiano jakieś bańki z niebezpiecznym płynem i każą na palcach koło tego chodzić.

Któregoś dnia kręcono się więcej, niż zwykle. Przyjechało kilku inżynierów, zjawił się tajemniczy Anglik. Wszyscy przesiadują z Walickim koło jego maszyny, która wygląda z daleka, jak olbrzymi wiatrak.

Aż wreszcie piętnastego grudnia zdarzyło się to, com najmniej brał w rachubę.

Byłem wtedy zły i dłubałem tam coś na to

http://rcin.org.pl

tylko, by mieć ręce zajęte. Mordowałem robotę, jak mówią robotnicy.

Nagle zrobiło mi się mdło i w oczach pociemniało.

Swąd, czy co?

I innych to uderzyło. Czuć coraz to silniejszy swąd. Kilku robotników naraz oderwało się od roboty i wyskoczyło do drugiego pokoju. Inni rzucili się otwierać okna.

Próbuję i ja swoje otworzyć, lecz w tejże chwili zadudniło mi coś w uszach i jakby mnie kto w czaszkę z całych sił uderzył.

Jeszcze raz powtórzyło się to samo i po raz drugi uczułem to uderzenie.

Instynktownie wyskoczyłem na środek. Tu pchnięto mnie silnie i widzę, jak gromada ludzi biegnie na mnie. Pędzą co tchu starczy. Już jestem przy drzwiach.

Trzeci huk.

Ściśnięto mnie ze wszech stron tak, że ledwo oddycham. Przed sobą widzę twarz jakąś, jakby obłąkaną z przerażenia. Źrenice wywrócone, nozdrza rozszerzone, a w oczach strach okropny się maluje.

— Matko Boska, zlituj się — szeptał, ledwo że poruszając wargami.

Z drzwi, w których ścisnęliśmy się kupą, buchnął kłąb ciemnego, jak sadze, dymu.

http://rcin.org.pl

— Matko Boska! — krzyknął człowiek, stojący koło mnie i uciekł.

Za nim biegną wszyscy do drugich drzwi. W pokoju zatętniało, jakby stado koni przebiegło. Mnie znowuż popchnięto. Potykam się o coś i padam na podłogę.

— Matko Boska! — powtarzam bezwiednie i zdejmuje mnie straszny lęk.

Już nie wiem, co było dalej.

— Chodź!... Poszedł!... Dalej!...

To potem usłyszałem. Instynkt mną już kierował, gdyż jak kot skoczyłem ku drzwiom i przebiegłem w dymie nieznane mi przejście. Pchnęła mnie czyjaś ręka i znalazłem się na schodach. Kieruję się tymże instynktem: kładę się na pierwszym stopniu i staczam się na dół.

Dym gryzie mnie w gardło i oczy prawie wypala. Wtem jasność mnie oślepia. Z trudem, podnoszę powieki: przede mną ogień. Już wstrzymać się nie mogę i toczę się wprost w płomienie.

— Jezusie, Maryo! — krzyknąłem.

— Jezusie! — powtórzył za mną czyjś głos.

Skurczyłem się i zamknąłem oczy. Przetarło mi się po twarzy i po rękach coś ostrego i upadłem na ziemię.

Spadł na mnie w tejże chwili jakiś ciężar.

. . . . . .

Leżałem na czerwonem płótnie. Wyraźnie na czerwonem. Próbuję dotknąć—zimne. Biorę w rękę

http://rcin.org.pl

i poznaję że to śnieg. Podnoszę z trudem głowę i widzę ulicę przez otwartą bramę. Zajaśniało coś z daleka, rozległ się turkot i szereg wozów z pochodniami mignął mi przed oczyma. Trąbka gra śpiesznie, słychać oderwane, krótkie okrzyki. Wozy zataczają kołem i wpadają do fabryki od drugiego podwórza. Wnet za niemi wpadł jeszcze jeden oddział.

Przeraźliwe świstki głównej maszyny ogłuszają mnie na razie. Ktoś niewprawny schwycił przytem dzwon i dudni nim bez końca.

Pali się.

Z okien parterowych dobywa się ogień. Z pierwszego piętra walą kłęby dymu.

— Na book!...

Na czworakach popełzłem dalej, usuwając się przed sikawką. Słyszę znowu trąbkę i znów przeleciał szereg wozów.

Naokoło wszystko czerwone, a po tym zabarwionym śniegu snują się spiesznie czarne sylwetki ludzi. Ulica jasna jak za dnia. Widzę na niej tłum gapiów.

— Pali się! pali! — krzyczą przed bramą.

A gdy ogień wyżej strzeli, wtórują mu przeciągłym wrzaskiem:

— Oo!...

Chwytam garść śniegu i nacieram mozolnie skronie. Po niejakim czasie przychodzę do siebie i mogę powstać.

http://rcin.org.pl

Całe skrzydło fabryki w płomieniach. Okna to paszcze, przez które bucha co chwila ogień poprzedzany kłębem dymu. — Obok syku ognia, komendy strażackiej, krzyku robotników, parskań koni i głuchego zgiełku za bramą słyszę miarowe, silne uderzenia młota, bicie bormaszyny, skrzyp tokarni, świst piły parowej. Ogień pożera wszystko, otulił już cały budynek, a potężne machiny poddać się nie chcą. W pełnym biegu obracają się wartko, huczą głośniej niż zwykle, jak gdyby drwiły sobie z potężnego żywiołu. Co chwila łupnie młot nie powstrzymany niczyją ręką, hebel przesunie się po łożysku i trze niezmordowanie jakąś płytę, piła wcina swe zęby w kawał belki, co, urwawszy się od sufitu, przypadkiem na nią spada. — Maszyny pozbyły się dozorującej ręki i sprawiają sobie w ogniu taniec swawolny. Młot, zda się, krakowiaka w takt im wybija.

Z okien drugiego piętra posypały się iskry, przeleciały nad głowami ludzkiemi i zgasły z sykiem w śniegu. Za niemi wypadł płomień, ślizgał się po framudze, próbując się uczepić i cofnął się napowrót. Po chwili wyleciały dwa ogniki. Reszta szyb pęka i pada z brzękiem na ziemię.

Wnet znalazła się drabina i dwie czarne postacie, jak dwa koty, wdrapały na górę. Walą siekierami w belkę póki ta się nie zwali i porywając kawałek muru, nie stoczy do środka.

http://rcin.org.pl

Blask czerwony, co rozlał się po całem podwórzu, znika nagle. Przez chwilę znajduję się w ciemności...

I w drugim końcu budynku strzelił płomień do góry. Ten chwycił od razu za górną belkę, wpadł na dach i spędził stamtąd kilku strażaków.

— Oo!... — zahuczano za bramą.

Krótka komenda — i strumień wody polał się z szumem na niego.

— Na book!... — wołano za mną.

Na marach niosą dwie zczerniałe belki.

Co to znaczy? — myślę i podchodzę bliżej.

To dwa ludzkie trupy, takie skurczone i zmalałe, że wziąłbym je za trupy dzieci, gdyby nie to, że jeden blaszankę trzymał w ściśniętej pięści...

— Na book!

Drugie mary.—Tu jeszcze człowiek i jeszcze żywy.

Właściwie dwaj obok siebie. Obaj wyją z bólu.

— Do pompy, gapiu!—huknął ktoś na mnie.

Oglądam się: tuż za mną stoi pompa. Chwytam za jedno ramię, choć było już przy niem troje ludzi.—Nic nie widzę, nic nie słyszę, nic nie czuję, tylko z całych sił ciągnę za ramię. Od czasu do czasu oślepi mnie śnieg, który nagle przybierze jaskrawszy odcień, lub łuna, co pokryła kawał nieba i drga światłem, odbijając w ten sposób grę płomieni.

http://rcin.org.pl

Jak długo pracowałem przy pompie — nie wiem. Wreszcie odepchnięto mnie.

Ludzie, którzy dawniej stali za bramą, zaczęli się cisnąć na podwórze. Widać sylwetki kozaków, oczyszczających plac od gapiów.

Mało to jednak pomaga. Ścisk coraz to większy i niezadługo tłum pierścieniem otoczył budynek.

— „Na publikę!" — odezwała się krótka komenda.

I strumienie wody zmieniły nagle kierunek, zatoczyły kołem nad głowami ciżby i powróciły do ognia. Tłum odpowiedział długim, przeciągłym szmerem i usunął się dalej.

Potężny żywioł pożera powoli budynek. Maszyny stoją. — Wiatr rozłupał na chwilę płomień w jednem miejscu i utworzył szczelinę, przez którą widać szereg ogników, ślizgających się po podłodze.—Wreszcie wali się pierwsza maszyna, przebija swym ciężarem sufit pierwszego piętra i wpada do piwnicy.

Ziemia się zatrzęsła pod tem uderzeniem.

Natychmiast skierowano tam sikawki i to, czego nie przytłumiła maszyna, dogasiła woda. W tem miejscu ognia już niema, tylko kłęby dymu i sadzy unoszą się do góry.

Niezadługo wali się następna maszyna.—I tak jedna za drugą, pokonane, zwyciężone, staczają

http://rcin.org.pl

się aż do piwnic, by swym ostatnim przedśmiertnym ruchem dusić swego wroga.

W tym zamęcie zostałem wepchnięty w kąt i przyparty do komina giserni. Ustępując przed naporem, wchodzę na schody i siadam, wycieńczony, na najwyższym stopniu.

Rozległy widok ujrzałem stamtąd.

Łuna—to całun szkarłatny zarzucony na całe miasto. Dachy sąsiednich domów, pokryte grubą warstwą śniegu świecą odbitym blaskiem. Naokoło zwarta, ciemna masa—to tłum ciekawych. Dalej ulica, przez którą biegną spóźnieni gapie. Tam znowu fabryki okoliczne z wysuniętymi kominami, jakby zdziwione, osłupiałe i zgrozą przejęte.— Druga ulica kołem otacza kilka nizkich domków robotniczych. Na chodnikach gromady bab i grupy dzieciaków stoją jak wryte, patrzą jak płomień pożera fabrykę, jedyną ich ucieczkę. Środkiem ulicy snują się dorożki, powozy i wolanty: publiczność corso dokoła widowiska urządza.

Tuż przed bramą sterczą cztery suche, wysmukłe topole, jako cztery widma śmierci...

---

http://rcin.org.pl

VIII

Obudził mnie płacz kobiecy.—Unoszę z wysiłkiem głowę i spostrzegam, że leżę na słomie. Naokoło leżą ludzie z obwiązanemi głowami, z bandażami na rękach i na nogach. Po prawej stronie klęczy jakaś baba przed posłaniem i szlocha. Nade mną jegomość w urzędniczej czapce wydaje rozkazy stójkowemu.

— No?—zapytał, spostrzegłszy moje przebudzenie.

— Nic — bąknąłem, nie zdając sobie jeszcze sprawy z położenia.

— Kiedy nic, to i dobrze. Możecie wstać?

Wstałem i zatoczyłem się jak pijany.

— Nic mi nie jest—mówię do doktora.

Ten ujął mnie za rękę i dopiero teraz spostrzegłem, że mam bandaż na ramieniu.

— Boli?—zapytał, widząc me skrzywienie.— Na boku macie okład. Nie zdejmować tego i ban-

http://rcin.org.pl

daża nie ruszać. Jutro z rana przyjść się pokazać.

Zapisał moje nazwisko, rodzaj zajęcia, numer mojej maszyny i kazał iść do domu.

Przechodzę szpalerem między dwoma szeregami posłań i wzrok mój pada co chwila na znajomą twarz. Niejednego z trudem poznaję. Strupy i rany na policzkach, miejscami gołe mięso, i to wszystko jakby mąką zasypane. Niektórzy mają otwarte oczy i patrzą łzawym smutnym wzrokiem.

— I tegośmy się doczekali—zdają się mówić.

Wydostaję się wreszcie z tego grobu. U drzwi zebrała się już gromada ludzi i wita mnie przyjaznym szmerem. Spostrzegam Andrzeja i idę wprost na niego.

— Jesteś?—krzyknął, zobaczywszy mnie.

— Walicki?—pytam.

— Żyje.

— Stasiak?

— W szopie.

— Antoni?

— Nie wiem.

— Józef?

Machnął ręką.

— Ot!

— Nie żyje?

— To bydlę zabłąkało się w korytarzu. Tak

http://rcin.org.pl

i znaleźli dziś z rana. Zczerniały, zwęglony, a taki maluśki!... Myślą, że to będzie Józef.

Zwiesiliśmy obaj głowy w zadumie. Andrzej nie mógł darować nieboszczykowi i wymyśla na niego.

— Zabłąkał się jak w lesie. Chłopska natura. Bodaj go!...

— Co teraz będziemy robili? — pytam Andrzeja.

Zastanowiło go to pytanie. Podrapał się w głowę i wycedził z wolna:

— A no...

Zrazu chciałem iść do fabryki. W porę przypomniałem sobie Michasia i powlokłem się do domu.

Znalazłem go u krewnych na drugiem piętrze. Do szkoły iść nie chciał, siadł sobie w kącie i beczy. Gdym wszedł do pokoju porwał się z miejsca, rzucił mi się na szyję i tu rozszlochał się na dobre.

Wziąłem go na kolana i uspakajałem, jak mogłem.

— Tyś się Kaziek nie spalił?—pyta i popłakuje od czasu do czasu. — Kazik, spaliłeś sobie rękę? Co, Kazik?

Położyłem się do łóżka i powoli skupiam szczątkowe wrażenia. Obraz wczorajszej klęski odbił mi się tak wyraźnie w myśli, że aż oczy zmrużyć musiałem. Zdawało mi się, że patrzę na oślepiający ogień.

http://rcin.org.pl

Mnie cud wczoraj ocalił, a właściwie ten instynkt, co nigdy nie opuszcza człowieka wobec grożącego niebezpieczeństwa. Dziś, na trzeźwo, nie potrafiłbym rzucić się w ogień. Oto wzdrygam się na samą myśl o tem. Tylu ich tam zginęło, Józef i Chojnacki spalili się jak drzazgi, inni, kalekami na całe życie zostali. Losowi spodobało się mnie ocalić.

Ta myśl rzewność za sobą prowadzi. Czułbym się szczęśliwym, gdybym mógł komu podziękować za to.

Biedny Józef! — marzę na pół sennie. — Walicki... co on teraz robi...

Widzę przed sobą znów płomienną masę, jakby lawę, co płynie szerokiem łożyskiem i pędzi wprost na mnie. Uciekam co sił starczy i spostrzegam przed sobą, jako jedyną drogę, palące się schody. Teraz mną rozsądek kieruje i śmierć niechybną, straszną, nieubłaganą stawia mi przed oczyma, a skoczyć na płonące schody nie pozwala. Staję jak wkopany, a fala ognistej lawy płynie coraz bliżej i bliżej...

Przespałem snem gorączkowym kilka godzin. Zerwawszy się z łóżka, pobiegłem natychmiast do fabryki.

Brama otwarta naoścież, jak to zwykle przy nieboszczykach bywa, a koło niej tłum pogrzebowych gości—z ulicy. Przy wejściu na podwórze wionęło na mnie pustką. Na razie nie śmiem

http://rcin.org.pl

podnieść oczu od zczerniałego, sadzą zasypanego śniegu.

Pożarem dotknięte zostało tylko prawe skrzydło, w którem mieściły się warsztaty mechaniczne. Główne jego ściany sterczą z bezładnej kupy pogorzeliska nagie, popękane i ociekłe wodą. W niektórych miejscach popękał mur w koszlawe zygzaki i potworzył jamy, przez które przejrzeć można było do wnętrza. — Ze środka wciąż jeszcze się dymi. Kilku strażaków nieustannie pompuje wodę na zgliszcza i bacznie zagląda, czy iskra się gdzie nie pokaże. Maszyny utworzyły wielką bezładną kupę, leżą jedna na drugiej w jak najdziwaczniejszych pozach. Niektóre z nich czynią wrażenie, jakby o pomoc jeszcze wołały, inne zwaliły się ciężko i legły sztywnie i dumnie na ziemi, tamte znowuż sztorcem utkwiły, te na bok się przechyliły, kilka pokryły zupełnie cegły, żużel, przepalone belki.

I ten martwy widok mówi o rozpaczliwej obronie i długiej agonii. Jakby na urągowisko ocalała część z prawej strony i w niej dwie tokarnie, w zupełnym porządku.

Woń spalenizny taka silna, że ludzie długo tu pozostawać nie mogą. Popatrzą, pokiwają smutnie głowami, mrukną kilka razy: „mój kochany Boże“ i wracają, skąd przyszli.

Szwineiger siedzi na belce i zapisuje coś gorliwie do notatnika. Borwicz skacze jak kot po

http://rcin.org.pl

zgliszczach i przeklina, na czem świat stoi. Przybiegł i Lafère — zły i roztargniony. Stanął przed zgliszczami, skrzywił się, pociągnął kilka razy nosem i wycedził zwolna:

— Pięćkroć sto tysięcy.

— Dwieście ubezpieczenia — dorzucił Szwineiger, nie podnosząc oczu od notatnika.

— Trzykroć sto tysięcy—powtórzył jak echo Lafère.

— Towarów na pięćdziesiąt.

— Trzysta tysięcy pięćdziesiąt.

— Można budę zamknąć—zawołał rozpaczliwie Borwicz.

Podjął kilka kamyków i począł je rzucać przed siebie.

— Ładny grosz.

Anglik, który dotychczas się nie odzywał, spojrzał bystro na Lafèra i rzekł stanowczo:

— Za miesiąc stanie nowa.

Wspólnicy skupili się koło Anglika. Szwineiger zlazł nawet z belki i, idąc ku niemu, uderza palcami w dłoń i woła:

— *Geld! Geld!*

— Znajdzie się.

Nawinął się tu i Andrzej. Opowiedział mi, iż wraca z kasy, gdzie zrobił obrachunek i dziś jeszcze mówi budzie „adiu Fruziu!“ Chcieli mu pono zmniejszyć płacę, on w odpowiedzi „naurągał Szwineigerowi“.

http://rcin.org.pl

— Gadają, że fabryka teraz mniejsza. Mnie bez to nie mniejsza robota. Jeszczem ja na świecie nie zginął. O-la-la!

Począł mnie namawiać, bym szedł czemprędzej do kasy i żądał zwrotu kaucyi.

Jutro mogą mi robić trudności, a na robotę nie mam tu co liczyć.

W innym razie nie zrobiłbym może tego. Dziś wszakże pod wpływem słów Andrzeja, wstąpił we mnie praktyczny duch i zdecydowałem się upomnieć o swe pieniądze, nie żądając wszakże płacy za ostatnie dwa tygodnie.

— Trzeba mieć na nich wzgląd — myślałem.

Zbyt było jasnem, iż zostanę teraz bez roboty. I kto wie na jak długo? W kieszeni mam wszystkiego dziesięć złotych, a to cały nasz majątek: mój i Michasia.

Nie lekko mi było na sercu, gdym wchodził do kantoru. Po raz to pierwszy w życiu upomnieć się miałem o pieniądze. Uważałem to zawsze za coś niełądnego, a tembardziej teraz—nazajutrz po takiej klęsce. Nic mi wszakże innego nie pozostaje do czynienia, z uwagi choćby na Michasia.

Koło okienka kasy tłoczy się kilkudziesięciu robotników z warsztatów mechanicznych.

Oto interes likwidują — pomyślałem. Akcyonaryusze pracy zjawiają się ze swemi akcyami „fircentagu".

Ten widok odejmuje mi resztę odwagi i nie

http://rcin.org.pl

potrafię wprost ułożyć sobie zdania, z jakiem się mam zwrócić do Szwineigera.

— To wprost nieszlachetnie — mówię do Andrzeja.

— Co? Nieszlachetnie? Widzisz go, szlachcic! A żryć będziesz chciał?

Nadchodzi wreszcie Szwineiger.

— Pan sobie życzy?—pyta.

— Przepraszam pana, ale... tego...

— Mów pan prędzej, bo nie mam czasu.

— Jestem zmuszony z braku funduszów prosić o zwrot... kaucyi.

Poczerwieniałem po same uszy i opuściłem wzrok na dół.

— Kaucyi?

— Tak jest. Właściwie, bo...

— Aha... Chodźno pan ze mną.

Wziął mnie ze sobą do gabinetu, kazał mi siąść na krześle i wyciągając jakiś papier z szuflady, pyta:

— Ileś pan dał?

— Pięćdziesiąt rubli.

— A na ileś pan zepsuł?

— Zepsuł?...

— Toż to właśnie.

— Nie wiem, proszę pana.

Ciepło mi się robić zaczyna.

— Ale ja wiem—mówi Szwineiger.

Bierze kartkę ze stołu i czyta:

http://rcin.org.pl

— Cztery krany, trzy statywy do ręcznych prasek, dwanaście kweczchanów.

Już mi zimno i ciepło na przemian. Gdyby było można, porwałbym się z miejsca i uciekł, nie oglądając się za siebie.

Szwineiger czyta dalej:

— Sześć libeli, dwa winkelmesery, dwa gryfy do elektrycznego klucza, jedna statywa do aparatu Stucera...

Mrowie mnie po ciele przechodzi, gdy słucham tej litanii. Każde jego słowo to chlaśnięcie bicza. Nigdy, przenigdy nie byłem tak upokorzony. Za każdym wyrazem kłuje mnie coś w piersiach, a wstyd omało, że nie spali mi policzków.— To jakby ktoś bez końca powtarzał: „osioł, osioł, osioł", a ja odpowiadam: „racya, racya, racya".— Nie widziałem tego dawniej, nie czułem, nie rozumiałem tych małych przewinień, rozproszonych w ciągu półtora roku. Ale był ktoś, co je skrzętnie spisywał, jakby na to, by mi potem cisnąć w oczy: patrz, coś wart!

Szwineiger wciąż czyta:

— Jedenaście mosiężnych śrubek, trzydzieści dwie... słyszysz pan? trzydzieści dwie!...

Wyrwałem mu kartkę z przed oczu i podarłem w drobne kawałki.

Precz z tem świadectwem niedołęstwa, głupoty i hańby mojej!

http://rcin.org.pl

Gotów byłbym połknąć te ćwiartki, by zniszczyć ten ohydny protokół życia.

Szwineiger osłupiał ze zdziwienia.

— Pan masz racyę — wołam. — Pan ma... ma... ma...

Bez końca powtarzam tę zgłoskę.

On uśmiecha się niewyraźnie i chcąc mnie widocznie zgnieść ze szczętem, dodaje:

— Borwicz i Walicki nalegali, by panu płacić trzy złote dziennie, dla zachęty.

I gdy mnie już spłaszczył i prawie, że nogami pokopał, mruczy pod nosem, jakby pociechę.

— *Fatal! fatal!* Nie pańska to była rzecz. Walicki mówił, że pan nie masz gryfu. W kantorze znaleźlibyśmy dla pana bardzo ładne zajęcie.

Prawda, i Walicki mówił. A wtedy śmiałem się z niego, bom miał jeszcze nadzieję: „Osioł — osioł—osioł!"—„Racya—racya—racya!" Wpadam w dziwny stan. Odczuwam zesztywnienie fizyczne, potem jakby mnie kto łechtał po krzyżu. Stoję oto przed Szwineigerem jak skarcone zwierzę i słucham, jak on rozprawia o Walickim. — Wreszcie wpadają mi w ucho te słowa:

— Francuz dał się wziąć na kawał z tym radiometrem. *Dummheit!* Gotów byłbym przysiądz, że to dynamo obracała podczas próby.

— Panie, to...

— Ha, ha, *lieber Freund. Passiert schon*, zda-

http://rcin.org.pl

rza się. Gdybym miał przysiądz, że ten ogień jest sprawą czystą...

— To znaczy?!—zapytałem takim głosem, że Szwineiger cofnął się o kilka kroków.

— *Ich sage nichts.* Niech pan idzie. Z nami *aus.* Koniec! Skończone! *Fertig*...

Zadzwonił na szwajcara.

Oburzenie głos mi odebrało. W jednej chwili znalazłem się na podwórzu.

— Jest tu Walicki? — pytam pierwszego robotnika z brzegu.

— A toć od rana siedzi i patrzy na swój wiatrak.

Wskazał mi na jakąś postać siedzącą na kamieniu.

— To nie on.

— Posiwiał trocha bez tę noc. Maszyna mu się spaliła.

Zachodzę z przodu i zaglądam mu w twarz.

Boże wielki!—Ten siwy człowiek z obłąkaną twarzą—to Walicki?

On podjął głowę i swe głęboko zapadłe oczy skierował na mnie.—Spazm chwycił mnie za gardło i stanąłem jak wryty. Utkwiłem wzrok w niego i długo patrzymy tak na siebie. Wreszcie on odzywa się.

— Stracone...

I łzy potoczyły mu się po twarzy.

http://rcin.org.pl

Przesiedziałem tu do wieczora, nie spuszczając ani na chwilę wzroku z pogorzeliska.

Ruiny, szczątki—zgliszcza!... I maszyny i nadzieje w nie włożone i przewrót Europy—wszystko się spaliło.

Zgliszcza — tylko zgliszcza. Dym i para dobywa się z nich jeszcze, choć się to wczoraj dopiero stało. — Strażacy szukają zarzewia. Próżna praca!—Tu już nic więcej spalić się nie może...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

CZĘŚĆ DRUGA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I

Walicki odebrał sobie życie.

— Są może ludzie, którzy takie rzeczy umieją przewidywać i zapobiedz złemu, dla mnie było to niespodzianką życiową, że gdy wpadł do mnie zadyszany Andrzej i krzyknął:

— Kazik, bój się Boga, Walicki się obwiesił!

Odpowiedziałem mu na razie:

— Kłamiesz!

Musiał mi to dwa razy powtórzyć, zanim uwierzyłem. Wtedy dopiero kłusem puściłem się przez ulicę, rzucając Andrzejowi krótkie pytania.

— Kiedy?

— W nocy.

— Nie żyje już?

— Nie.

— Co robi panna Helena?

— Krzyczy, spazmuje. Okropności!

— Doktór był?

— Był, kiej już ciało stygło.

http://rcin.org.pl

Przechodnie usuwają się nam z drogi i patrzą na nas jakby ze współczuciem. — Nareszcie wpadliśmy do mieszkania.

I tu już dużo ciekawych się znalazło, jak wtedy przed fabryką i przed szopą: zwietrzyli nieszczęście.

To chyba pierwsza okropna wskazówka rzeczywistości. Drżeć już zaczynam, gdy patrzę na ich niby smutne a ciekawe twarze.

Andrzej wepchnął mnie prawie gwałtem do pokoju. I tu go ujrzałem: wynalazcę radiometru, twórcę nowej epoki. Na łóżku leżał wyprężony, ze wzdętymi sinymi policzkami, z napół rozchylonemi wargami, błędnemi oczami, utkwionemi uroczyście w sufit. Głowa w tył się przechyliła, ręce w pięści ściśnięte, nogi sztywno wyprostowane: to śmierć prawdziwa, nieomylna. Tłumaczy ją mały rzemień okręcony o szyję.

— Na tym haku — mówi Andrzej, wskazując na sufit.

Patrzę na sufit, a w głowie jak grzechotką mi kołacze:

— Czemu on to zrobił? Czemu?

— Kartka jest—mówi Andrzej.

Na małym świstku papieru drżącą ręką wypisane były słowa:

„Szwineiger kłamie. To nie była dynamo... Helu, dziecko moje, nie przeklinaj mnie. Kazimierz,

http://rcin.org.pl

nie zapominaj o sierocie. Mnie ktoś tamto z myśli wydarł. Nie wiem... nic".

Do pokoju wszedł jakiś obcy człowiek i zwrócił się do mnie po niemiecku z zapytaniem, czy jestem synem zmarłego.

— Profysor—szepnął do ucha Andrzej.

Przybysz popatrzał na trupa badawczo, ujął go pod brodę i spojrzał mu w oczy, jakby w nich ostatnią myśl chciał wyczytać.

— Maniak—mruknął do siebie.

Andrzej nie zrozumiał dobrze, a obcesowość profesora nie podobała mu się.

— Czego?—bąknął.

— Maniak.

— Co on plecie? — zwrócił się Andrzej do mnie.

Profesor wzruszył ramionami i rzekł:

— Radiometr? Boże kochany! Dziwak, dziwak...

Kazał sobie przetłumaczyć ostatnie jego słowa. Usiadł potem u nóg trupa i zamyślił się głęboko.

Pogrzeb odbył się na trzeci dzień z kaplicy Dzieciątka Jezus. Za karawanem szło kilkunastu robotników, panna Helena, ja z Michasiem i profesor. Ten przybył do Warszawy na nieustanne prośby Lafèra. Jechał, śmiejąc się w duszy, w nadziei, iż zobaczy kilkunastu waryatów, wynalazców nowego *perpetuum mobile*. Przyjechał i ot co

http://rcin.org.pl

zastał: zamiast historycznej maszyny kupę śmiecia, a zamiast geniusza—trupa. To złośliwe zrządzenie losów sprawiło, że spoważniał. Całymi dniami przesiadywał nad trupem, rysował, wyliczał i zwracał się co chwila do okrążających łóżko.

— Maniak-psychopata.

Ci nie rozumieli i odpowiadali na uwagi pobożnem westchnieniem.

Poszedł nawet na pogrzeb, czem zjednał sobie niesłychanie Andrzeja i jego towarzyszów.

— Szwab jest—mówił do Stasiaka,—ale porządny człowiek.

Kazali mu iść za karawanem, tuż obok mnie i panny Heleny, sami zaś szli zbitą gromadką o kilka kroków dalej.

Prowadzę pannę Helenę pod rękę i widzę przed sobą tylko czarne frendzle karawanu, wlokące się po ziemi. Chwilami strąci który z karawaniarzy popiół z pochodni i budzi mnie tem z zamyślenia. Przyciskam silniej ramię panny Heleny i czuję, jak ona drży na całem ciele. Michasia prowadzi profesor za rękę.

Wychodzimy za rogatki. Dzwon powązkowski wita już z daleka nowego przybysza pieśnią pogrzebową.

Gdy grudy ziemi głucho uderzały o wieko, Hela wybuchła spazmatycznym płaczem:

— Ojcze! ojcze! — powtarza bez końca.

Za chwilę stanął skośny czworobok z bły-

http://rcin.org.pl

szczącą blachą wetkniętą u góry: pogrzeb ukończono.

Pannę Helenę trzymamy razem z profesorem i próbujemy daremnie ją uspokoić. Świeżą mogiłę otoczyli robotnicy i, trzymając czapki w rękach, powtarzają słowa modlitwy.

Andrzej nachylił się ku mnie i szeptał:

— Dryndę sprowadziłem. Odwieźcie ją do domu.

Wsadzili nas do dorożki: mnie, Helę, profesora i Michasia, sami zaś poszli do szynku.

— Wypada, — mówił mi Stasiak, szukając widocznie usprawiedliwienia.—Koniecznie wypada. Taki już obyczaj.

— Dokąd oni idą?—pytał mnie profesor, gdyśmy z miejsca ruszyli.

— Do szynku. Taki u nich zwyczaj.

— Aha—odparł tolerancyjnie.

Andrzej i Stasiak stanęli na schodach szynku i żywą gestykulacyą zapraszali kolegów do środka. Mieli przytem obaj smutne i poważne miny, jakby sprawiali smutny obrządek.

— Panowie, na syrek! Wypijem za spokój duszy poczciwego Walickiego.

Drażnił mnie ten widok niesłychanie i byłem zadowolony, gdy dorożka skręciła w boczną ulicę. Ona siedzi nieruchoma z opuszczonym na twarz woalem.

— Śpi? — zapytałem profesora.

http://rcin.org.pl

Poruszył przecząco głową.

W mieszkaniu, na widok pustych pokojów, rozpłakała się znowu. Profesor wymknął się cichaczem i zostawił nas z Michasiem.

— Panno Heleno, moja droga... niech się pani uspokoi.

Wnet jednak wydało mi się to banalnem i zamilkłem. Ona schwyciła mnie za rękę i pyta tak cicho, że ledwie mogę dosłyszeć:

— Dlaczego?

— Panno Heleno...

Po krótkiej pauzie szepce:

— Sama jedna...

— Ja pani nie opuszczę nigdy w życiu.

— Czytał pan?

— Czytałem.

Uścisnęliśmy się za ręce.

Próbuję namówić ją do snu. Ona zdaje się nie słyszeć tego i porusza wargami, jakby mówić coś chciała. Nagle rzuca mi się na szyję, przyciska głowę do mych piersi i wybucha serdecznem, niepowstrzymanem łkaniem.

Wraca profesor i przynosi z sobą lekarstwo na sen. W krótkich słowach udaje mu się nakłonić ją do zażycia proszku. Skutek był prędki, gdyż w pół godziny zasnęła twardym snem. My zaś przeszliśmy do drugiego pokoju, gdzie siedział zdziwiony i przybity Michaś.

— Kto to był ten pan, co go chowali?—pyta.

http://rcin.org.pl

— Mój nauczyciel.

— Chodźmy Kazik do domu — prosi wyczerpany tem wszystkiem, co widział.

Profesor daje mi drugi proszek i radzi, bym go zażył, przyszedłszy do domu.

— Wyglądasz pan okropnie — mówi. — To zbyt silne naprężenie nerwów. A ręka boli pewnie jeszcze?

Na stole spostrzegam kartkę Walickiego i to zwraca myśl moją do zagadkowego radiometru. Nie namyślając się tedy długo pytam profesora:

— Niech mi pan powie krótko węzłowato: czy to możebne?

— Krótko i węzłowato: Nie.

— Ależ kiedy... kiedy to nie mogła obracać dynamo...

Wzruszył ramionami.

— Grób niejedną zamknął tajemnicę.

— Wcale niemożebne? — pytam niezmordowanie.

— Ha, dla podniesienia puchu na grubość włosa, tak, ale dla obracania kilkudziesięciu maszyn...

— A próba.

I znów poruszył ramionami.

— Mnie się to wszystko snem wydaje. Albo ście wszyscy powaryowali, albo tylko on jeden. Wreszcie on sam mógł wierzyć w to, pomimo, że sam... A zresztą, bo ja wiem... Wobec ludzkich

http://rcin.org.pl

ćwieków wszelka nauka milczy. Słuchajno pan: Miałem ja kiedyś przyjaciela Polaka, który pilnie studyował wasze gazety. Człowiek ten co miesiąc przynosił mi tego rodzaju nowiny: Wynaleźli u nas płyn do gaszenia pożarów, zbudowano ster do balonu i t. d. Jaki płyn do gaszenia? Wyraźnie woda. I nic innego być tu nie może. Nie, powiada, płyn. Po miesiącu pytam o ów płyn i otrzymuję w odpowiedzi, że „jakoś nic nie piszą". Wy musicie być tu bardzo wynalazczym narodem?

Niecierpliwić mnie to zaczyna.

— Ależ on mógł zrobić wynalazek, genialny wynalazek.

Kazał mi usiąść obok siebie i, uderzając mnie po kolanach, mówił:

— Młody przyjacielu, czy pan myślisz, że i my marzyć nie potrafimy? Nam tylko trudniej, znacznie trudniej, niż wam. Gdy fruniemy w niebiosa, prawo Newtona ściągnie nas na ziemię; prawo tarcia i dotyku przypomni nam, żeśmy ludźmi; gdy krzywo stąpniemy, cofamy wnet nogę, wiedząc, że wedle prawa równowagi przewrócimy się niechybnie. O, nam trudniej marzyć, a zwłaszcza mnie. Spojrzyj pan, jużem posiwiał. Domyślam się, że pana blizkie węzły łączą z tym domem i bodaj przeczuwam, że pan zaczniesz kopać w zgliszczach, szukać resztek, by owo wielkie dzieło światu pokazać. Daj pan pokój; z tego nic nie będzie. A wreszcie, co tu mówić. Na to, by zro-

http://rcin.org.pl

zumieć, jak dalece to jest niemożebnem, trzeba dużo, bardzo dużo wiedzieć...

— Więc on był waryatem?

— Prawie.

Tu urwał rozmowę i zadał mi pytanie, czem się zajmuję i gdziem szkoły kończył. Moje odpowiedzi wywołują nowe zdziwienie. Kiwa głową i mruczy pod nosem:

— Ależ dobrze... po skończeniu szkół... ślusarka? nie może mi się to w głowie pomieścić.

— U nas, panie, inne stosunki. Takich ludzi potrzeba.

— Ludzi pracy? Toż to wprost metafora, przetłumaczona niezgrabnie na rzeczywistość. Czyż inni nie pracują?

— Ee... I czy pan sądzisz, że pan społeczeństwu służysz?

— Tak sądzę.

— Hm... Może być. A czy pan nie tęsknisz do książki?

Przypomniałem sobie swoje artykuły i zmieszałem się nieco. Profesor uważnie patrzy na mnie, gładzi się po brodzie; wreszcie żegna mnie słowy:

— Wracam do Berlina z bardzo dziwnem wrażeniem. Nie myślałem, by o czternaście godzin od mego laboratoryum tacy ludzie mieszkali. Wiesz pan, jak u nas patrzą na fabrykę, ślusarkę i tym podobne rzeczy? Jako na ciężkie przekleństwo losów. Tu idą dobrowolnie z uniwersytetu do fabry-

http://rcin.org.pl

ki, budują radiometry, zbawiają ludzkość... Marzyciele! waryaci. Ale dziwnie sympatyczni waryaci. Do widzenia, drogi przyjacielu! Do widzenia...

Wybiegłem za nim na schody i przechylając się przez poręcz, wołałem:

— Panie profesorze, ostatnie słowo. Czy żadnym ludzkim sposobem zrobić tego nie można? Czy nigdy, nigdy?

— Nigdy? Tego nie powiedziałem.

— A teraz?

Zatrzymał się i spojrzał na mnie tak ciepło i życzliwie, jak matka nieraz patrzała. Potem smutnie zwiesił głowę i rzekł zwolna lecz dobitnie:

— Nie.

Za chwilę znikł w bramie.

---

http://rcin.org.pl

II

Nie przypuszczałem w niej tyle hartu duszy. Po trzech dniach przyszła o tyle do siebie, że zaczęła mówić z zupełnym spokojem o wyjeździe na wieś. Popłakiwała od czasu do czasu, lecz starała się opanować te wybuchy. Zbladła, zmizerniała prawie że nie do poznania, oczy zapadły jej w głąb, czoło pokryło się zmarszczkami, wargi ma suche i spieczone; trzyma się jednak sztywniej niż zwykle, chcąc widocznie dodawać sobie odwagi.

Ja przesiadywałem u niej całymi dniami. Mówiliśmy niewiele. Bo i co moglibyśmy sobie powiedzieć teraz? Spoglądamy sobie często w oczy, ściskamy się za ręce, dziękujemy sobie i przepraszamy się po kilka razy na dzień. Ta mimika uczucia wystarcza mi w zupełności. Zbyt wielki chaos miałem w głowie, zbyt dobrze pamiętałem rozmowę ze Szwineigerem i zdziwienie profesora, bym mógł o czemśkolwiek mówić. Przy lada spo-

http://rcin.org.pl

sobności mógłbym stracić panowanie nad sobą i wypowiedzieć nagą prawdę. A do tego nie chciałem w żadnym razie dopuścić.

Po tygodniu spakowała rzeczy, załatwiła wszystkie formalności i była gotowa do wyjazdu. Odprowadziłem ją na kolej, kupiłem bilet i wsadziłem ją nawet do wagonu.

Na kilka minut przed odejściem pociągu mieliśmy następującą rozmowę:

— A pan co zrobi teraz?

— Bo ja wiem.

— Czy pan nie myśli szukać zajęcia?

— Szukam.

— Niech mi pan w oczy spojrzy.

— Muszę. Z czegóż bo będę żył?

Twarz jej ściąga się zdziwieniem.

— Więc tak?

Wychyla się bardziej z okna i każe mi wejść na stopień.

— Panie Kazimierzu — szepce mi na ucho.— Mój drogi... może pan teraz... Proszę tylko szczerze.

— Cóż znowu! Niech pani o tem nie mówi.

Maszynista puścił świstawkę, wiązania wagonów uderzyły ze szczękiem o siebie i pociąg ruszył zwolna.

— Panie Kazimierzu — mówi panna Helena błagalnym głosem.

Potrząsam głową na znak przeczenia tak dłu-

http://rcin.org.pl

go, póki pociąg nie znikł wśród zabudowań kolejowych.

Teraz dopiero począłem myśleć o sobie. Poczułem się tak samotny i opuszczony w wielkiem mieście, tak odsunięty od ludzi i życia, żem bał się wprost wracać do domu, by nie potęgować tego wrażenia.

Niema gorszego cierpienia nad to poczucie samotności.

Zawracam z drogi i zachodzę do Zanicza na lekcye nauk wyzwolonych. Wiedziałem, że tam nic innego nie znajdę, a jednak poszedłem, i co dziwniejsza, dysputowałem z wyjątkowem zacietrzewieniem.

Zanicz wtrącił nie chcący zapytanie o pannie Helenie i tak oto przeskoczyliśmy na drogi temat.

On nie domyślał się chyba, jak wielką sprawia mi przyjemność tem, że o niej mówi. Gadał wszakże wedle swojej modły, że ma ona duszę na wskroś metafizyczną i tym podobne brednie. Wspomniał o jednym z wieczorów spędzonych u Walickich.

— Wtedy była w różowym staniczku? — wtrąciłem zapytanie.

— Nie wiem. Zauważyłem właśnie wówczas, że jest to umysł *par force* transcendentalny. Mówiła mianowicie z uśmiechem...

— Prawda, jak ona ładnie się śmieje?

— Tak?

http://rcin.org.pl

— Zmizerniała biedaczka teraz.

— Nic dziwnego. Po takiej emocyi. Zresztą ona nigdy nie utyje.

— A to, proszę, dlaczego?

— Bo jest anemiczna.

— Gadanie!...

— Nie gadanie, tylko fakt. Pokażę wam książkę. Zobaczycie, że symptomaty... Ale mniejsza o to. Powracając do naszej dysputy, muszę zauważyć, że angielskie Trade-Uniony...

Przerwałem mu obietnicą, że zajdę kiedy indziej, by spór nasz dokończyć. Wróciłem do domu i tu upiór wspomnienia znalazłem.

Co się odwlecze, to nie uciecze, a najmniej przykre myśli. Można je zagłuszyć rozrywką, zajęciem, książką, ale niechaj pierwsza wolna chwila nadejdzie, wyleci ten upiór z za węgła i wyszczerzy nam swe zęby.

Ja odpycham od siebie nagą prawdę, wzdrygam się przed sformułowaniem nabytku doświadczenia; ale tuż obok stoi upiór zgryźliwy, śmieje się piekielnie i woła:

— Nie jesteś zdatnym do niczego. Uposażyła cię natura mizerną głową, nędznemi zdolnościami, odmówiła ci nawet tego gryfu, który pierwszy lepszy chłop ze wsi posiada.

— Nieprawda! — bronię się.

A on:

http://rcin.org.pl

— Zapomniałeś? Cztery krany, dwie statywy, pięć kluczy, jedenaście szrub...

Nie, nie trzeba myśleć o tem.

On precz się śmieje.

— Dwanaście kweczhanów, sześć libeli, trzydzieści dwie... Geniuszu!

Biorę Michasia na kolana i, głaszcząc go po głowie, zaczynam najgłupszą rozmowę.

— Lubisz Michaś grać w klipę?

— Ojoj...

A on stoi precz na boku i szczerzy zęby.

— Tybyś i tego nie potrafił—zda się mówić.

— A w zbijaka?—dopytuję dalej Michasia.

— Kiedy tak u nas szachrują...

— Kto szachruje?

— A no chłopcy.

Moja mara znów się odzywa.

— Ty samego siebie oszukujesz.

Kilka dni to trwa. Na przeróżne tematy, najrozmaitsze waryacye przeżuwam swoje upokorzenie. Rozerwał mnie wreszcie list od panny Heleny:

„Drogi Przyjacielu! — pisała. — Oto pierwsza swobodna chwila, jaką znajduję, uwolniwszy się na minutkę od poczciwej i nudnej troskliwości mojej ciotki. Zrozumie Pan, jak mnie ta opieka rozdrażnia, jak przypomina całe moje nieszczęście

http://rcin.org.pl

i ten pożałowania godny stan, w jakim się znajduję. Litość? Niechaj od niej los każdego uchroni. Z każdego słowa, z każdej pieszczoty mojej ciotki przebija chęć płaczu nade mną. Nie mówi mi naprzykład inaczej jak: „kochana Helusiu“, lub „moja biedna Helciu”. Ale dosyć już pisałam o sobie.

Czy chodzi Pan na grób mego ojca? Niechaj Pan nie drwi z mej naiwności, ale brak mi tu tego okropnie. Chodzę na wiejski cmentarz i upatrzywszy tam grób jakiegoś starego wieśniaka, stroję go kwiatami. Prawda jakie to śmieszne? Chciałam już te słowa przekreślić, ale zastanowiłam się, że mi Pan tego za złe wziąć nie powinien. Jestem jeszcze tak niedołężna, że zdobyć się na krytyczny sąd jeszcze nie umiem. Być może, iż słowa tego listu nie wiążą się w zdania. Nie wiem. Potrzebuję pisać i piszę. A z kimże będę rozmawiała, jeśli nie z Panem?

Proszę się kłaniać Zaniczowi. Napiszę do niego, jak przyjdę do równowagi. Próbowałam czytać Wundta (otrzymałam to na drogę od Zanicza), ale nie mogę. Wieczorami czytuję kalendarz. Niech się Pan nie śmieje!

Teraz prośba, pokorna prośba przyjaciółki. Jeśli Pan będzie w kłopocie pieniężnym, proszę pisać. Koniecznie. Ja wymagam szczerości od Pana. Do widzenia. Ręka mi się już trzęsie.

Helena”.

http://rcin.org.pl

Odpisałem jej w te słowa:

„Najdroższa Panno Heleno!

Jak mi teraz ciężko, jak samotnie, nie potrafię tego pani opowiedzieć. Całemi godzinami myślę o przeszłości i o Pani. Nie wiem czemu, ale teraz częściej i uporczywiej myślę o Niej. Że Pani tęskno do grobu Jej ojca, a mego najdroższego nauczyciela, z tego nie tylko się nie śmieję, ale przyznaję się sam otwarcie, że chodzę na Powązki codziennie. Zapewne — jest to tylko folgowanie zabobonowi, ale cóż zrobić, kiedy my mamy zabobony. Ktoś na grób przyniósł kwiaty, co mnie bardzo zaciekawiło. Któregoś dnia zauważyłem tam młodą dziewczynę, jak uprzątała grób. Powiedziała mi, że ją przysłał Andrzej, że kwiaty postanowiono kupić na owej stypie, jaką wyprawili sobie po pogrzebie. Poczciwi to jednak ludzie.

Napisałbym bardzo długi list, gdyby nie to, że i ja nie zdobyłem się jeszcze na równowagę i męczę się różnemi myślami. Co zaś do zaofiarowanej mi pomocy pieniężnej, to odpowiem jak na dworcu: mam, i nie potrzebuje. Mówiłem wreszcie Pani, że sprawia mi to przykrość.

Andrzej każe się „grzecznie pokłonić i pocałować rączkę", do czego i ja się przyłączam. Proszę do mnie często pisywać, — moja najdroższa i jedyna przyjaciółko.

Kazimierz".

http://rcin.org.pl

A o tem, co mi najbardziej dolegało ani słowa. Nie potrafiłem tego napisać, jak nie umiałem spokojnie myśleć o tem. Wreszcie, czyż nie powinienem był milczeć? Oto co mi pisała po tygodniu:

„Kochany Panie Kazimierzu!

Proszę mi nie brać za złe roztargnienia, z jakiem pisałam ostatni list. Gdyby mnie Pan teraz zapytał, com wtedy napisała, nie potrafiłabym odpowiedzieć. Posiadam jednakże silną naturę i przychodzę do siebie prędko, prędzej niż ciotka myślała. Żałuję bardzo, że zarzuciłam grę na fortepianie. Potrzeba mi teraz czegoś takiego... Muzyki czy też... (sama nie wiem, jak to powiedzieć). Wundta czytam, a raczej sylabizuję leniwie. A poza tem pomagam ciotce w gospodarstwie, co mnie trochę rozrywa. Na cmentarz chodzić nie mogę, gdyż spadły tu olbrzymie śniegi. Oto wszystko, co mogę powiedzieć o sobie.

Co słychać u Pana? Czy ma Pan już zajęcie? Jak silnie wierzę w mego przyjaciela, niechaj bodaj to za dowód służy, że o mały włos nie posprzeczałam się z ciotką o młodych ludzi wogóle.

Ciotka myślała zapewne o złotej młodzieży i o różnego rodzaju niedołęgach, ja zaś wyłącznie o Panu. I w imię tego broniłam bezwzględnie wszystkich młodych ludzi. A jednak jak mało

http://rcin.org.pl

u nas takich. Nic dziwnego, że o Panu mówię wszędzie jak o unikacie. Dumną jestem, że mogę się nazwać Jego przyjaciółką. Bo nią jestem i zostanę chyba na zawsze.

Sądzę, że Pan pogrążył się już w pracy i duma nad maszynami. Ja zaś pewno przeszkadzam Mu swoim listem. Dlatego też kończę z pośpiechem.

Helena".

List ten dziwnie mnie uderzył. Czytałem go kilka razy; porównywałem z pierwszym i daremnie szukałem tej nuty, co tak żywo drgała w poprzednim liście. Tu zaledwie małe źdźiebełko tego znalazłem i ustęp ten umiem na pamięć: „Potrzeba mi muzyki lub czegoś takiego. Sama nie potrafię określić, czego mi brakuje".

I jak ona we mnie wierzy, jak niesłychanie wierzy! Spodziewa się, że pracuję już w fabryce, a ja szukam zaledwie zajęcia i to wcale nie z największym wysiłkiem. Przychodzą mi przytem różne zamiary do głowy. Jeden z nich zadziwił mnie tak dalece, że gotówem przysiądz, iż poddał mi go kto inny.

„Gdyby tak wziąć się do czego innego".

Wnet się jednak zmitygowałem.

Nigdy w życiu tego nie zrobię. Wszak przysięgałem sobie, że gdy wytrwania nie starczy, uporem pokonywać się będę. Czego mi odmówiła natura, to zdobędę pracą i wytrwaniem. Któż mi

http://rcin.org.pl

wreszcie zaręczy, że Szwineiger umyślnie nie kłamał?

Takem rozważał, pisząc list do pana Kwaśniewskiego o wyszukanie mi zajęcia. Odpowiedź przyszła na drugi dzień; mieściła w sobie jednak tylko przyrzeczenie i prośbę odwiedzenia starych znajomych.

Włóczę się tedy po mieście i wlokę za sobą przykre myśli. O pożarze, o śmierci Walickiego i o radiometrze prawie, że nie myślę. Uczuwam tylko nudę, przygnębiającą, straszną nudę. Wrażenia, które, zdało się, w pamięci na zawsze pozostaną, rozwiały się w szarej mgle. Chodzę po kantorach fabrycznych, wyleguję się na łóżku, a wszystko to męczy mnie niesłychanie. Po raz pierwszy w życiu jestem bez zajęcia.

Dawniej czytałbym może; dziś, gdy spojrzę na książkę, ziewam. Najciekawsze jest to, że nie czuję najmniejszej chęci pisywania artykułów; nie rozprawiam ze sobą jak dawniej; zdania nie formują mi się w zaokrągloną stylistycznie całość, lecz rozproszone, urwane i niejasne skaczą w nieładzie po głowie.

Kiedyś wpadła mi do ręki książka zapisana na marginesach mymi frazesami o radiometrze. Przypomniałem sobie profesora i poszedłem do starej fabryki. Gruzy już uprzątnięto: po wielkim wynalazku ani śladu nie pozostało.

— Maniak — powtórzyłem słowa profesora.

http://rcin.org.pl

Chwilami budzi się we mnie energia. Przypominam ostatnie zajścia i wpadam w tragiczne usposobienie. Owocem takiej chwili był następujący list do panny Heleny:

„Czy Pani nigdy nie miała chwil takich, kiedy wszystkie myśli i cele zda się toną w rozległem, szarem jeziorze życia i gdy występuje zwykła, jako szkielet naga, rzeczywistość? Praca przed południem, obiad, praca po południu, cztery ściany pokoju, sen i znowu praca: takiem mi się nieraz życie wydaje.

Dziś siadłem zmęczony na ławce w alejach Ujazdowskich. Zamyśliłem się głęboko i nic naokoło nie widziałem. Po chwili wydaje mi się, że przechodnie, mijając mnie, zwalniają kroku, toż samo wozy i dorożki. Wir uliczny, huczący zdala, jak gdyby zastygł w tem miejscu. Wreszcie nie posuwa się dalej, lecz kołem przede mną zatacza: tworzy się powolna, leniwa karuzela. Wokoło suną przechodnie i dorożki, naokoło wloką się stójkowi, nakoniec w wir ten pochwycone zostają domy, drzewa, kioski: wszystko się obraca, zrazu wolno, potem pędzi i miga mi przed oczyma. Ja jakoś pozostaję nieruchomy.

Oto co obecnie odczuwam!

Roboty jeszcze nie mam i chodzę jak włóczęga z fabryki do fabryki. Traktują mnie nie zawsze najlepiej, niewiele sobie wszakże robię z te-

http://rcin.org.pl

go. Ale, gdy wracając, spostrzegę po drodze grupy studentów, coś kipić we mnie zaczyna. Czyżby to była drobna zazdrość? Nie wiem.

Nie dobrze robię, przyznając się do tej brzydkiej wady, ale dziś powstrzymać siebie nie potrafię i wszystko wypowiem. Bo dlaczegóż żaden z nich nie poszedł w moje ślady? Wszak oni uznają również potrzebę tego. Czyżby się bali bluzę włożyć, by nie stracić w niej kredytu „człowieka inteligentnego“, i nie stać się natrętem dla dyrektorów? Nie chcą może wyślizgnąć się ze sfery tych, co wiecznie kogoś nauczają?

Toć oni wprowadzili mnie na drogę przemysłu, oni nauczyli mnie, że czyn jest lepszym od słowa. Oni jednak muszą kruszynę swej wiedzy jak kura jaje obnosić. Mają przytem odpowiedni wyraz, mowę, ruchy: całą dekoracyę człowieka z inteligencyi.

I któż się wobec tego zdecyduje bluzę włożyć, tę bluzę, pod którą wielkiego człowieka nikt się nie domyśli? Oni wolą w tużurku pozostać i prawić o potrzebie fizycznej pracy, inteligentnych fachowcach i t. d.

Zawsze to co innego mówić komuś: „idź buty szyć”, a samemu zasiąść do kopyta.

Nie wiem, skąd mnie te myśli nachodzą. Być może, iż chciałbym więcej takich widzieć koło siebie. Wtedy naradzilibyśmy się wzajemnie i szlibyśmy do celu z wyraźniejszym planem. Ostatnie

http://rcin.org.pl

słowo wypisałem prawie niechcący, a ono wszystko wypowiada. Tak—z wyraźniejszym planem...

Dosyć tego!.. Niechaj mi Pani za złe nie bierze, iż jej wszystkie swe wątpliwości wypowiedziałem. One już dawno, bardzo dawno mnie męczą. Dziś wszakże dopiero zdobyłem się na odwagę, by się z Tobą, droga, jedyna przyjaciółko, swemi myślami podzielić.

Kazimierz".

W list ten włożyłem całą duszę i z szalonym niepokojem wyczekiwałem odpowiedzi. Jak ona przyjmie to wszystko? Wszak to było całą moją istotą, całym dobytkiem wiedzy i doświadczenia. Po tygodniu otrzymałem taką odpowiedź.

„Kochany towarzyszu!

Role nasze, jak widzę, zmieniły się. Podczas gdy ja odzyskuję powoli równowagę, Wy wpadacie w pesymizm. Ostrożnie, bo ta droga do kościoła prowadzi! W tem, co piszecie, jest dużo racyi (czytałam już nawet podobne sądy), ale jest też i jeszcze więcej przesady.

Drażni Was bezczynne życie: w tem sekret cały. I ja myślę najdalej za trzy lub cztery tygodnie zawitać do Warszawy i rozpocząć na nowo swój zawód nauczycielski. Pisał do mnie Zanicz, i jak zwykle poruszał bardzo ciekawe sprawy. Co to za ruchliwy umysł! Przyznam się je-

http://rcin.org.pl

dnak Wam, że wolę otrzymywać Wasze, nawet pesymistyczne listy, wieje od nich coś męskiego, podczas gdy... Ot i o mały włos nie skrzywdziłam Zanicza. Życzę Wam, byście jak najprędzej znaleźli robotę, to Was najprędzej wyleczy. Wstyd, by człowiek tego rodzaju mógł wpadać w takie usposobienie. O, niedobrze! Żądam od Was poprawy. Ciotka zawstydza mnie przypominaniem tych dziwactw, jakie wyprawiałam tu z początku. Dzięki silnej woli potrafiłam i ja przyjść do równowagi po tym okropnym ciosie, jaki mnie spotkał. Możecie brać ze mnie przykład.

Ściskam serdecznie dłoń Waszą

Helena Walicka".

P. S. Wundta skończyłam. Wspaniała rzecz! Radzę Wam przeczytać".

Nazajutrz po otrzymaniu tego listu poszedłem do fabryki. Znalazłem wreszcie zajęcie, dzięki staraniom pana Kwaśniewskiego. Przyszło to w porę, gdyż zadłużyłem się u moich krewnych na całe dwadzieścia rubli.

Będę pracował i zapracowywał się, postanawiałem sobie. To najlepsze lekarstwo, by zapomnieć o tem, o czem myśleć się nie chce.

„Ona czytała już takie sądy". To zdanie prześladuje mnie na każdym kroku. Pierwszy i ostatni raz pisałem w ten sposób do panny Heleny. W niej kryją się jakieś dwie istoty: jedna taka sympatycz-

http://rcin.org.pl

na, taka mi droga, jak nic na świecie, druga zagadkowa i nieprzyjemna. Lepiej zatem milczeć, jeśli się nie wie, do której z tych dwuch istot się trafi. A przedewszystkiem lepiej pracować.

Próbuję powrócić do dawnego trybu życia; niestety z małem powodzeniem. Czytywać wieczorami nie mogę i, mimo największych wysiłków, nie potrafię zmusić się do pracy umysłowej. Najczęściej kładę się do łóżka natychmiast po odbytej lekcyi z Michasiem. Śpię przytem jak kamień, snem ciężkim, bez sennych obrazów. Nieraz odwiedzam swych dawnych znajomych i kolegów, zachodzę do Zanicza wprost dlatego, że w domu wysiedzieć nie mogę. Dzięki przyzwyczajeniu zadaję sobie codzień pytanie: co będę czytał? a kończę drugiem: dokąd pójdę? Gdy wszystkich znajomych obejdę po kolei, chodzę do poblizkiej cukierni i spędzam tam cały wieczór.

Artykułów jednak nie czytuję: męczy mnie to i nudzi, a najczęściej po przeczytaniu nie wiem, o co idzie. Zajmują mnie za to „Wiadomości z miasta“, rubryka wypadków i felietony, o ile nie są na zbyt moralizatorską nutę nastrojone.

Niemałą rozrywkę sprawia mi stary emeryt, udzielający mi codzień na ucho jakąś nowość polityczną. Po kilku dniach poznaliśmy się tak dobrze, że siadamy zwykle przy jednym stoliku. Gdy wejdę do cukierni, słyszę już w progu głos staruszka:

http://rcin.org.pl

— Panie te! Chodźno pan.

Lubię z nim rozmawiać, chociażby dlatego, że nie potrzebuję niczego dowodzić, ani też zażarcie bronić swego stanowiska. Uległość staruszka oddziaływa i na mnie. Tak, to tak, a nie, to nie: w ten sposób rozmawiamy z nim.

—Pan mi się podobasz — mówił nieraz. — Widzę, żeś rzemieślnik, ale interesujesz się pan tem i owem i za trzy grosze pana nie sprzeda. Przyjdzie sobie, panie dziu, do cukierni, przeczyta *Kuryerek*, dowie się, co słychać tudy — siudy. To mi się podoba.

Nie zawsze słuchałem tych uwag z największą ciekawością i nieraz zerkałem jednem okiem w gazetę. Wtedy starowina kładł na stół kościste ręce i, zmuszając mnie do podniesienia wzroku, prawił dalej, postukując od czasu do czasu palcem:

— Słuchajno! za granicą, uważasz, każdy dorożkarz czyta gazetę. Tak panie! Stróże siedzą przed bramą z cedułami w rękach, a kto nie ma na gazetkę, stanie przed redakcyą i bodaj wypadki sobie przeczyta. Chociaż ja tego nie pochwalam. Nie. Podług mnie (dajże pan spokój gazecie i słuchaj, co ja gadam!). Otóż podług mnie tak: Żyj jak potrafisz, ludzi nie oszukuj, chwal Pana Boga jak umiesz, w politykę się nie wtrącaj, i dosyć. No co, nie? A widzisz pan, że i od starego można się czegoś nauczyć. He... he...

http://rcin.org.pl

No czytajże, czytaj swoją gazetkę; i ja kroniczkę przejrzę. He... he... he...

Po kilku minutach zwraca się znów do mnie.

— Słuchajno pan, co ten tu wypisuje. Zobacz tylko, czy kobiet w blizkości niema, bo strasznie tłusty kawał. Uważasz tak: „Złowrogie wieści niosą, że krynoliny mają być zupełnie skasowane". Uważasz?

Skurczył się na swem krześle i zakrywszy twarz ręką, śmiał się cieniutkim, cichym dyszkantem.

— Gdzież tu dowcip?

— Jak to gdzie? Poczekaj, niechaj się wyśmieję.

— Ja tu nic śmiesznego nie widzę.

— Nie widzisz? Toć to, panie, pęknąć ze śmiechu.

Innym razem mówił wprost:

— Złóż pan gazetkę, pogawędzim trochę.

I, jakby przewidując opozycyę, brał mi gazetę z ręki i kładł ją na stoliku.

— Powiedz mi pan, jakiegoś pan fachu?

— Slusarz — mówię, śmiejąc się ze starego gaduły.

— A szpruch jaki macie?

— Nie mamy żadnego.

— Jak to nie macie? A jak na wędrówkę pójdziesz?

— Nie pójdę na żadną.

— Kubek dasz do cechu? A jak się z czeladzią porozumiewasz?

http://rcin.org.pl

— Panie kochany, dawne czasy! U nas niema ani czeladzi, ani kubków, ani cechów, jest tylko fabryka.

— No, a kto robotę robi?

— Robotnicy.

— Ale skąd się oni biorą?

— Zewsząd: ze wsi, z miasta.

— Takie sobie wycirkąty, szmiruchy?...

Przez kilka wieczorów tłumaczyłem mu nasze stosunki. Starowina wierzyć nie chciał.

I ten naiwny dziadek stał się dla mnie sympatyczniejszym od naładowanego teoryą Zanicza i od poważnych jego kolegów.

Panna Helena powróciła wreszcie do Warszawy i pierwsza przyszła mnie odwiedzić. Rozumie się, że jej wejście zelektryzowało mnie tak dalece, że ponad okrzyk radości, nic innego wydobyć z siebie nie potrafiłem. Chwytam za krzesło i, kręcąc się koło niej, proszę zadyszanym głosem, by siadła.

— Panno Heleno, proszę usiąść. U mnie trochę po kawalersku, ale... Niech pani siądzie, panno Heleno.

— Toć mnie pan na środku pokoju nie posadzi. Jakiż pan zabawny z tem roztargnieniem. Siądziemy razem na kanapie.

Zacząłem zdejmować jej rękawiczki, nie wiedząc sam poco, chyba dla okazania swej gościnności. Ściągnąwszy jedną nie wytrzymałem i po-

http://rcin.org.pl

całowałem ją w rękę. Wyrwała mi ją natychmiast.

— Nie róbcie tego.

— Panno Heleno, ja jestem taki szczęśliwy, tak bardzo szczęśliwy, że musi mi pani...

— Więc znów jesteśmy na pan i pani.

— Nie, niech Bóg broni. Żebyście wiedzieli, jaki ja dziś jestem kontent. Wiecie co? Tak mi było przykro przez ten czas, że rady dać sobie nie mogłem. Tak się jakoś nie wiodło... Ale to głupstwo! Wiecie? pesymizm już pierzchł... Ale ale... chciałem wam powiedzieć, że z tym radiometrem to jeszcze nie przegrana sprawa. Oho! niewiadomo. Tam pewno w fabryce są jakieś rysunki. Napewno. Zanicz pytał się o was. Ale wiecie, co on o was mówił? Powiedział, że macie transcedentalną głowę.

— Głupi on jest.

— Prawda, jaki on głupi? jaki śmieszny? Ale tego... Jakiż ja dziś jestem szczęśliwy!

Ukradkiem pocałowałem ją po raz drugi w rękę.

Panna Helena powstała z miejsca.

— Dajcież pokój, bo wyjdę w tej chwili. Że też wy wszyscy jesteście jednakowi. To, że przyszłam do was nie upoważnia...

Jak oparzony cofnąłem się na drugi koniec pokoju.

— Przepraszam — bąknąłem.

http://rcin.org.pl

— Już się obraził!

— Ja nie jestem taki, panno Heleno.

— No widział to kto? Więc ja was przepraszam. Siądźcie tu i pogadamy rozsądnie.

Tem ujęła mnie natychmiast. Usprawiedliwiałem się przed nią, że to był tylko waryacki napad radości.

— Jak ja się cieszę, to już granic nie znam.

Ona przerwała mi to tłumaczenie i zaczęła poważnie:

— Wspomnieliście coś o radiometrze. Niestety i ja w to wierzyć przestałam.

— Taak?

— Słuchajcie, co powiem. Przeprowadziłam obszerną korespondencyę z Zaniczem, z kilkoma studentami fizyko-matematycznego wydziału, napisałam nawet do profesora z Berlina. I ot czego się dowiedziałam: siła tarcia jest to przeszkoda nieprzezwyciężona wobec wielu maszyn; zwyczajny motor, naprzykład, traci prawie połowę siły na pokonanie tarcia; gdyby nie tarcie, kula rzucona po gładkiej powierchni toczyłaby się bez końca. Rozumiecie?

— Rozumiem.

— Matematycznie da się wyliczyć, ile w najlepszym razie może otrzymać radiometr (tylko podczas słonecznego dnia), a ile straci na tarcie. Następnie...

— Ależ tamto było właśnie wynalazkiem.

http://rcin.org.pl

— Można się wszakże przekonać, czy to wogóle możliwe.

— A pani ojciec?—przerwałem.

— A fizyka?

— Prawda, fizyka. Więc da się wyliczyć?

— Matematycznie.

— Biedny pan Walicki.

— Oj, biedny...

W uszach zadźwięczała mi, jak odległe echo, przysięga Walickiego: „to nie obracała dynamomaszyna“. Pomimo wszystkich argumentów panny Heleny, nie potrafiłem jej potakiwać. Przerwałem tedy uwagą:

— Nie myślmy o tem.

— O tak, nie myślmy.

Przesiedzieliśmy, milcząc, obok siebie dobry kwadrans.

Wreszcie ona się odezwała.

— Od dziś dnia zaczynam nowe życie dla siebie. Sama jedna.

To druga struna jej duszy zadrgała w tych słowach i dziwnie zmieniła jej twarz. Była to wprost inna kobieta, nie mająca żadnej wspólności z tą, co przed chwilą powoływała się na matematykę i dowodziła z elementarza fizyki.

— Wszak niezupełnie sama — wtrąciłem. — Czytaliście ostatnie jego słowa.

— Umiem je na pamięć.

— On kazał mi o pani... O was pamiętać.

http://rcin.org.pl

— Mój drogi, cóż wy mi pomódz możecie...

— Zapewne niewiele. Ale jabym z całej duszy chciał.

Uśmiechnęła się smutnie i odparła:

— Dziękuję wam.

Poczem wstała, by mnie pożegnać.

Teraz oto najlepsza chwila, pomyślałem. I, gdy była już przy drzwiach, zawołałem niespodziewanie:

— Ja przed wami coś ukrywam.

— Przede mną?

— Tak.

— Co wam się stało?

— Ja muszę coś powiedzieć...

— Ależ co?

— Ja.. was kocham...

Stało się—powiedziałem. Ona stanęła jak porażona tą niespodzianką i nic mi nie odpowiada. Ja zaś spuściłem wzrok ku ziemi i czekałem jej wyroku. Długo trwało milczenie. Wreszcie ona kładzie mi rękę na ramieniu.

Żachnąłem się:

— Tylko nie tak! Nie tak! Ja tego nie zniosę! Niech pani lepiej nic nie mówi.

Ręka jej opada i powtarza się po raz drugi milcząca scena.

Wreszcie pyta szeptem:

— Czy my dziś nie możemy pożegnać się jak bracia?

http://rcin.org.pl

— Nie.

— Panie Kazimierzu!...

Nic jej nie odpowiedziałem.

— A ja nie potrafię panu odpowiedzieć. Ja nie myślałam nad tem, ja znam siebie za mało. Wreszcie jestem teraz w żałobie. Mam dla pana dużo sympatyi, ale dotychczas o innych rzeczach myślałam. Ja nad tem się nigdy nie zastanawiałam... Ja...

Tu łzy jej pociekły po twarzy. I, jakby w poczuciu własnego niedołęstwa wobec pierwszego pytania życia, błagała prawie pokornym głosem:

— Niech się pan nade mną nie znęca.

I wysiłkiem woli wstrzymując się od płaczu, wyszła, nie oglądając się za siebie.

---

http://rcin.org.pl

III

Pracuję przy bormaszynie. Robota nudna, jednostajna i ogłupiająca, ma jednak to do siebie, że usuwa wszelkie fuszerki. W dwa dni nabyłem trochę wprawy i robię zupełnie mechanicznie, pozwalając myślom bujać, gdzie im się podoba. Gdzieś w głębi duszy budzi się sceptycyzm i zadaję sobie następujące pytanie:

— Czy dobrze wytresowany szympans nie mógłby z równym skutkiem pracować przy owej bormaszynie.

Prosiłem dyrektora, by mi dawano inne roboty.

— Już o płacę mniej mi idzie — mówiłem. Drżałem wszakże, by mi nie zechciano uskubnąć co z mych czterech złotych.

Dyrektor obiecał, że przy pierwszej sposobności poleci mnie majstrowi. Obietnica pozostała obietnicą, a ja wciąż pracuję przy bormaszynie; właściwie zaś podnoszę i opuszczam rączkę, co

http://rcin.org.pl

wprowadza w ruch ciężki świder, wyżłabiający w żelazie okrągłe dziury.

Przy tem można ostygnąć. To też z dnia na dzień staję się bardziej opieszałym i leniwym. Dawniejszą żywość zamieniły ruchy miarowe, jak w zegarze. A co najważniejsza, nie mogę czytywać wieczorami. Litery skaczą mi przed oczyma, zdania harcują po głowie w bezmyślnym nieładzie. Wiele rzeczy, które dawniej mnie zajmowały, teraz nudzić poczynają. *Kuryerek* czytuję raczej z przyzwyczajenia, niż z ciekawości.

Szukam przyczyny tej zmiany i różne przypuszczenia przychodzą mi do głowy.

Czyżbym ja za dużo pracował wprzódy? Lub, co gorsza, może praca książkowa z pracą przy bormaszynie pogodzić się nie dadzą? Kończę tem, że wieczorami wcale już w domu nie siaduję. Natychmiast po skończonej lekcyi z Michasiem biorę czapkę i zaczynam wędrówkę po mieście.

Kilka miesięcy minęło od czasu, gdym jej wyznał me uczucia, a ciągle jeszcze pokutuję za to. Jestem wobec niej onieśmielony, niezgrabny, małomówny i wprost głupi. Coś mi usta zamyka, gdy mam się bodaj słówkiem odezwać o sobie. Słucham tedy z cierpliwością obojętnych dla mnie rzeczy i powracam do domu. Zauważyłem i to jeszcze, że chwilami oczekuje ona czegoś ode mnie: jakiejś wiadomości nadzwyczajnej, heroizmu,

http://rcin.org.pl

czy wielkiego czynu. Czy ja wiem wreszcie, czego ona chce?

Nieraz rzuca mi naprzykład zagadkowe pytanie:

— Czy jeszcze pracujecie przy bormaszynie?

— Aha.

— No?

Co ma znaczyć owo „no?“—nie wiem. Czasem, gdy wpadnę do niej zaczerwieniony od chłodnego powietrza, pyta z pośpiechem:

— No?

Wyraźnie spodziewa się czegoś ode mnie. Może również jakiego wynalazku?

Cóż zatem dziwnego, że chodzę do niej coraz to rzadziej i, chociaż ból sobie sprawiam każdego wieczora, w którym jej nie widzę, idę do cukierni pogadać z emerytem. Ten bo zawsze jednakowo mnie przyjmuje.

— Cóżeś pan tak dawno nie był? hę?

Albo też:

— O gazetkach zapomina się powoli. Pewno kobieta wlazła w drogę.

Opowiadał mi o swojej rodzinie, o tem, jak dnie spędza, jak chodzi na kawkę do ogrodu, a na mleczko do Henneberga, uskarżał się, że chłopcy ogród Saski zniszczą niezadługo, że mu stróżka psa struła surowem mięsem.

Raz zastałem go bardzo zamyślonego. Chrzą-

http://rcin.org.pl

kał bez ustanku, wyciągał z kieszeni olbrzymią płachtę czerwoną i ucierał nos niezwykle długo.

— Co panu?—pytałem.

Spojrzał na mnie bystro i rzekł tragicznym głosem:

— Wyprowadzam się.

— Tak?

— Dwadzieścia pięć lat mieszkałem.

— Więc czemu się pan wyprowadzasz?

— Dwadzieścia pięć lat...

— Ot! Tyle zmartwienia dla głupstwa.

— Jak to głupstwa? Panie, słowika mają!

— Co takiego?

— Słowika—powtórzył rozpaczliwie.

Spostrzegłszy moje zdziwienie, dodał, uderzając ręką w stół:

— Toż to panie okropne jest zwierzę.

— Słowik?

— A rozumie się. Całusieńką noc: tiu-tiu i tiu-tiu... Panie kochany, toć to bzika można dostać... A tak, śmiej się pan, śmiej ze starego. Rozumie się... To bardzo śmieszne, bardzo śmieszne.

Pośpieszyłem naprawić swój błąd.

— Ja panu wynajdę mieszkanie.

— Mój kochany, zrób to. Mój złoty człowieku... Ja bo, widzisz, jużem zniedołężniał, zestarzał się...

Omal, że nie rozpłakał się z wdzięczności.

http://rcin.org.pl

— Słowika musiała sobie bestya zafundować. Jakaś lafirynda, szelma. Bodaj jej Pan Bóg tego nie spamiętał.

Wynająłem mu dwa pokoje w moim domu, o piętro niżej, i od tego czasu otrzymuję prawie codziennie jego wizyty. Tą drogą doszedłem do urozmaicenia sobie wieczorów. Urządzam mianowicie herbatki, spraszam na nie swoich przyjaciół: Andrzeja i pana Zakrzewskiego (tak się ów emeryt nazywa). To zachęca ich obu do zawiązania ze mną bliższych stosunków. Pan Zakrzewski zagląda, by zapytać: „jakże zdrówko?“; Andrzej — tak ot: „by ino zajrzyć“.

Skromne są te nasze kolacyjki, a przytem niesłychanie nudne, jakem się niezadługo o tem przekonał.

Pan Zakrzewski zjawia się z punktualnością zegarka o 9 godzinie i z dokładnością pozytywki pyta we drzwiach:

— Co słychać, Andrzeju?

Andrzej odpowiada z niezwykłą rozmaitością słów i myśli:

— Beczka z gnojem wylała się.

W ustach Andrzeja jest to satyrą na codzienność życia. Staruszek nie rozumie tego, czy też udaje codziennie, że nie rozumie — dość, że pyta:

— He, he! Gdzież to się stało?

Andrzej dla urozmaicenia swego humoru, po-

http://rcin.org.pl

daje codzień inny adres. Raz stało się to na Marszałkowskiej, to znów na Brackiej lub za Żelazną Bramą i tak dalej. Nieraz, gdy chce dociąć Zakrzewskiemu, mówi:

— Na Powązkach.

I ta nieszczęśliwa beczka na ulicy Marszałkowskiej sprowadza nas codziennie na tematy jak najnudniejsze. Czasami (od święta rozumie się) wszczynamy dysputę religijną. Ja biorę w niej mało udziału. Słucham wymyślań Andrzeja i gderań pana Zakrzewskiego, jak się słucha monotonnego uderzania fal morskich lub kołatania maszyny w fabryce.

Początkową stacyą tych sprzeczek jest znowuż beczka na Powązkach.

— Dalibyście Andrzej pokój—oburza się pan Zakrzewski. — Z kościoła będzie drwił. Czyście wy może luter, albo co?

Mówi tak umyślnie, bo wie, że Andrzeja to gniewa najbardziej.

— O, luter! Widzisz go?

Pan Zakrzewski korzysta ze szlachetnego uniesienia i zaczyna swój wykład o tem, jak to „człek powinien Pana Boga nie obrażać, kościół szanować i do spowiedzi chadzać".

Andrzej słucha zrazu uważnie, wtrącając od czasu do czasu swoje:

— Juścić...

Gdy jednak kazanie przybierze zbyt pobo-

http://rcin.org.pl

no-sentymentalną formę, zrywa się z krzesła i woła:

— Ee, gadanie!...

Takie jest moje towarzystwo!

Któregoś dnia pożyczyłem od dawnego kolegi tużurek (gdyż moje ubranie było już bardzo zniszczone) i wybrałem się z wizytą do państwa Kwaśniewskich. Ten bo nic się nie zmienił. Przytył może trochę i zleniwiał w ruchach, a poza tem pozostał, jakim był.

Ledwie że zdążył przywitać się ze mną, zawołał:

— Artykuł pański, rozumie się, czytałem.

— Mój artykuł?

— A co? Ukrywałeś się pan, alem się od redaktora dowiedział.

— Już zapomniałem o nim.

— Piękna rzecz, bardzo piękna. Z pana będziemy mieli pociechę.

Uśmiechnąłem się niewyraźnie i zapytałem grzecznie, lecz dobitnie.

— Słowa te słyszałem już raz od pewnego studenta. Zechce mi pan wytłumaczyć, kto mianowicie będzie miał ze mnie pociechę?

— No my, ludzie pracy. My, którzy cywilizacyę w kraju naszym posuwamy. Nie zapieraj się pan. Co tu gadać! Ja tak w pana wierzę, że szyję dam za to.

http://rcin.org.pl

Ujął mnie za ręce i śmiał się basowym głosem:

— Ale, ale—krzyknął potem. Wiesz pan co? Możebyśmy sobie poszli na miasto? Siądziem w jakim skromnym lokalu i pogawędzimy trochę. Tak się, panie, u nas rzadko widuje człowieka do rzeczy, że chcę sobie choć raz sprawić ucztę duchową.

— Bo wiesz—dorzucił po chwili—w naszych uczonych ja nie gustuję.

Zaprowadził mnie do handelku, gdzie, jak powiedział, zbiera się świat finansowy. Widząc, jak ciekawie oglądam się naokoło, pośpieszył ze swemi objaśnieniami.

— Widzisz pan tego na rogu? To Strum, fabrykant wstążek gumowych. Bardzo obrotny człowiek.

— Dobry wieczór, panie Strum—wołał, podchodząc ze mną do stołu.

— Dobry wieczór — odpowiedział pan Strum mocno niemieckim akcentem.

Pan Kwaśniewski przedstawił mnie jemu z taką miną, jakby chciał powiedzieć:

— Ja cię ze wszystkimi zapoznam. Stosunki ci wyrobię.

Pan Strum powstał z miejsca i złożył mi ten specyalnie niemiecki, przesadny ukłon.

— A, pan Zaliwski. Słyszałem już...

Zwrócił się do Kwaśniewskiego:

http://rcin.org.pl

— Takich nam panie fachowców więcej, a dokąd my nie zajdziemy... Cóż u pana słychać?

— Te—odparł z grymasem Kwaśniewski.

— A jakże wyżymaczki?

— Ładnie idą, ładnie. Nie mam powodu do uskarżania się.

— A co, nie mówiłem? Piękny interesik.

Mlasnął przytem językiem, aż echo rozniosło po sali.

— A jakże u pana? — zapytał z kolei Kwaśniewski.

— Znakomicie.

— Chwała Bogu.

Następuje pożegnanie, przy którem panowie wymieniają sobie nowości dnia.

— Beistein, klapa. Wiesz pan?

— Panie, co się teraz z rublami dzieje. Strach.

Usadawiamy się wreszcie w kącie przy okrągłym stoliku. Pan Kwaśniewski kazał przynieść butelkę wina.

— Jakże się panu podobał Strum? — zapytał po cichu.

— Tak sobie. On także fachowców potrzebuje.

— Rozumie się. My wszyscy potrzebujemy. Ale zauważył pan, jak on skwapliwie zachwalał swe interesy. Kredytu szelma potrzebuje.

— A zatem kredytu i fachowców.

http://rcin.org.pl

— Wytrawne węgierskie! — krzyknął Kwaśniewski na kelnera i zwrócił się do mnie.

— Ten pan przy drugim stoliku, to Majchert... Dzień dobry panie M.!

— Dzień dobry. Jakże wyżymaczki?

— Jakoś tam idą.

— Powinszować.

Wymieniwszy jeszcze kilka słów, objaśniał mnie znowu:

— Zakupił, uważasz pan, przed trzema laty grunta pod Mokotowem za bajecznie tanią cenę. Dziś sprzedaje po szesnaście rubli za łokieć. Bardzo dzielny człowiek.

— Dzielny? Czy tem się tylko wsławił?

No, w historyi miejsca może nie znajdzie, ale jako sumienny pracownik u podstaw społeczeństwa... Czego pan wreszcie chcesz? Oj, panie Kazimierzu, pan się zaczynasz idealizować.

Jeszcze kieliszek wina.

Następuje dalsza historya gości. Pan Kwaśniewski nie szczędzi mi swych wiadomości, wskazując brodą na coraz kogo innego, opowiada mi o każdym z nich najrozmaitsze szczegóły.

Ten, pod piecem — to dostawca skór, obok niego — właściciel tartaków, tam — przyszły spadkobierca dystylatora Starckmanna, przy nim właściciel dwuch browarów, dalej — agent firmy berlińskiej: Wendrisch i Sikora, dyrektor lombardu

http://rcin.org.pl

akcyjnego. A niejeden wprost: znany i ceniony kapitalista.

Rozejrzawszy się w tem Eldorado pracowników u podstaw, zapytałem pana Kwaśniewskiego, co znaczą te wyżymaczki, któremi się tu wszyscy interesują.

— Pii... — zawołał—toż to cały romans. Dasz pan wiarę, że do zeszłego roku nie było ani jednej wyżymaczki krajowego wyrobu. Z Ameryki wszystko sprowadzono. Toż to każda praczka potrzebuje. Obliczże pan zatem, ile to ciężko zapracowanego grosza naszego ludu wychodzi za ocean. Ile to krwawego potu i znoju w tem się mieści. Otóż, zeszłego roku postanowiono założyć fabrykę. Interesik, jak pan widzisz, buzi dać! Koniec końców kapitał się znalazł i rzecz poszła w ruch. Po pół roku, wierz pan lub nie wierz (ja przecież nie mam racyi przesadzać), dawał ośmnaście procent dywidendy. Ośmnaście! Rozumiesz pan, co to znaczy? Ja sobie zatem tak kalkuluję: amerykańska (to jest niby wyżymaczka) kosztuje dwanaście rubli, krajowa dziesięć. Myślę, myślę, ażem swoje zrobił.

Ujął się pod boki i zawołał z tryumfem:

— Ja sprzedaję za sześć! I co pan powiesz na to? Ta biedna praczka ma teraz dwa ruble w kieszeni. Jakby znalazł.

Szeroko otworzyłem oczy z podziwu, słuchając jego rezolutnej mowy. Gdy skończył, wypad-

http://rcin.org.pl

ło mi z ust prawie bezwiednie krótkie i suche pytanie:

— Toż pan tamtym konkurencyę zrobił?

— No, i jaką jeszcze! Po trzech miesiącach musieli zwinąć swoje... Ba, pan się krzywisz. Ale ja zapytam pana, na czem świat dziś stoi? Na co tu dużo gadać? Co największe czyny stwarza, co arcydzieła do życia powołuje, co geniuszów na świat wyprowadza, jeśli nie konkurencya (panowie młodzi nazywacie to walką o byt)? Bez konkurencyi płaciłbyś pan za swą czapkę akurat tyle, ile wynosi pańska pensya miesięczna, a za miskę soczewicy kazaliby ci sprzedać rodzonego brata. Dziś płacisz za nią sześć groszy.

Więc *to* tak wygląda? — pomyślałem. Wino mi chyba głowę zamroczyło i ja go źle rozumiem. Przecież to nie możebne, by to był nasz ideał? To nie podobna, byśmy się tego z taką zażartością dobijali, bym ja tam poszedł dlatego, że pan Strum fachowców potrzebuje?

Pan Kwaśniewski nalał mi kieliszek wina i zmusił prawie do wypicia.

— Cóż panie — ciągnął dalej — kiedy kapitał u nas drogi.

— Nie rozumiem.

— To jasne. Gdzieindziej płacą za niego trzy, dwa procent; tutaj pięć, owszem, a nieraz i dwanaście. Tyle się o tych rzeczach pisze, tyle gada, a tego nikt nie poruszy.

http://rcin.org.pl

Pociągnął łyk z kieliszka i mówił protekcyjnym, napół żartobliwym głosem:

— Pan, panie Kazimierzu, jesteś w tem szczęśliwem położeniu, że, jako członek tego olbrzymiego ciała, będziesz znał jego potrzeby i będziesz mógł...

— Ja?!

— I czego się pan dziwisz? To właśnie jest zadaniem i obowiązkiem prasy. Przyznać muszę, że prasa była dotychczas... no, jeśli nie najlepszą, to zawsze jakoś znośną. Tylko górnolotne frazesy nierazbym powykreślał. Ale w ostatnich czasach psuć się coś zaczyna. Bredzą, jak we śnie. Gada się naprzykład: „inicyatywa bez poparcia—to chroniczna choroba nasza". Naco tyle pięknych słówek, kiedy można jasno i wyraźnie powiedzieć: kredyt dwuprocentowy.

Nalał wina i, pociągnąwszy z kieliszka, mówił, obcierając z rozkoszą usta:

— Tu trzeba, by specyalista zabrał głos.

— Pan się cokolwiek myli — odparłem. — Ja jestem tylko robotnikiem. W najlepszym razie mogę być werkmajstrem, nigdy literatem.

— A ów artykuł? Pan jesteś tem, co Anglicy nazywają *all round man*. I dlatego, powtarzam, że my się z pana doczekamy pociechy.

— O, wątpię, bardzo wątpię. Zwłaszcza, że nic wiedzy nie przybywa, ale...

Było to ostatnie rozsądne zdanie, jakie po-

http://rcin.org.pl

wiedziałem. Wino już dobrze skutkować zaczęło i czułem, że gdy dalej będę mówił, głupstw naplotę.

Jeszcze kilka kieliszków wina, a zapomniałem o swem rozgoryczeniu.

— Pan Zaliwski!—zawołał ktoś za mną.

Odwracam się i widzę Borwicza, silnie już podchmielonego. Podał mi obie ręce i witał, jak starego przyjaciela.

— Jaka to szkoda, żeśmy pana stracili.

Usiadł przy naszym stole i zaczął mnie obsypywać pochwałami.

— Pyszny człowiek — mówił do Kwaśniewskiego. — Po skończeniu gimnazyum... Ciekawa historya, panie tego... A to zabawa! Po skończeniu... No... Ciekawy kawał!

Mówił tak głośno, że zwracał ogólną uwagę. Goście spoglądali na nas z początku ze zdziwieniem, a potem z pewnem zainteresowaniem. Borwicz, który musiał tu być, jak u siebie w domu, zwrócił się do publiczności i, przechylając się przez krzesło, wołał pijanym głosem:

— Panowie, uważacie: facet z uniwersytetu... tego do fabryki. To pycha, panowie...

Podszedł do nas pan Strum i począł ze mną rozmawiać; za nim przyszedł Majchert i powoli utworzyło się przy nas małe kółko. Pan Kwaśniewski dowodził coś o mych cnotach obywatelskich.

http://rcin.org.pl

Ktoś podał myśl zsunięcia kilku stolików, co też niezwłocznie wykonano.

— Sześć szampańskiego!—zawołał Kwaśniewski na kelnera.

Ja staję się czuły i uległy, jak baranek. Uczuwam rzewną wdzięczność do Borwicza, który wiedział chyba o mych fuszerkach fabrycznych, a teraz owacyę mi oto wyprawia. Odpowiadam na życzenia pijanym uśmiechem, niezręcznym ukłonem, uściśnięciem ręki i jestem do głębi wzruszony.

Strzeliło kilka korków i wysokie kieliszki na stole napełniły się musującym płynem. Gdy wszyscy ucichli, zabrał głos pan Kwaśniewski:

— Panowie! piję zdrowie młodego pokolenia. Niech żyje nasz przyjaciel, pan Kazimierz Zaliwski.—Szczęk szkła, uśmiechy do mnie skierowane i kilka komplementów,—potem znów ucichło: siadamy na miejscu.

Łzy pijanego rozrzewnienia staczają mi się po twarzy. Wstaję z krzesła i opieram się o ścianę, gdyż trudno mi stać. Unoszę kieliszek: cisza.

— Panowie, — zacząłem — panowie, ja jestem głęboko wzruszony, panowie... Ja wam, panowie, w krótkich słowach za to życzliwe przyjęcie...

Tu znów kilka łez stoczyło mi się po twarzy.

— Dziękuję... za... Panowie! Niech żyje sprawa postępu... niechaj żyje konkurencya!

http://rcin.org.pl

— Wiwat!

Znowu szczęka szkło i grupa ludzi stoi przede mną. Z kąta słyszę głos Borwicza:

— Strąbił się trochę młody człowiek. Ale to nic... Chrzest!

— Chrzest — potwierdzam, zwracając się do Borwicza i śmieję się tak rozkosznie, że aż zęby wyszczerzam.

Podobnym uśmiechem wtóruje mi towarzystwo.

Po niejakim czasie panowie się rozchodzą. Jedni idą do domu, drudzy powracają do swych stolików. Pan Kwaśniewski począł mi rozwijać swe plany. Mówił coś o galanteryi żelaznej, o zużytkowaniu odpadków...

— Panbyś tą rzeczą wspaniałe pokierował. Zamawiam też sobie pana na dyrektora... Fatałaszki — ciągnął dalej — breloki, fantazyjne rączki do lasek. Toby się wspaniale rozchodziło.

Roześmiałem się sam, rozumie się, nie wiem z czego.

— Jeszcze buteleczkę! — zawołał pan Kwaśniewski.

Mówiliśmy potem o czem innem. O czem, tego dobrze nie pamiętam.

Wypróżniwszy butelkę, wyszliśmy wreszcie z handelku, ująwszy się pod ramię; lawirowaliśmy między rynsztokiem a murami kamienic. Po drodze zatrzymujemy się bez widocznej przyczyny.

http://rcin.org.pl

— Panie Kazimierzu — mówi Kwaśniewski — dajmy sobie buziaka na zadatek przyszłej przyjaźni. O tak, z dubeltówki!

Zaledwie uszliśmy kilkanaście kroków, a stanął znowu, rozkraczył nogi i nachylając się nade mną, wołał już zupełnie nieprzytomnie:

— Bu-zi...

---

http://rcin.org.pl

IV

Przebudziwszy się koło południa, przypominam sobie z mozołem wczorajsze zajście. Zagmatwane myśli rozplątuję jako motek jedwabiu, starając się nie zerwać nici. W miarę jak dumam, w głowie kołować mi się zaczyna. Mam wrażenie, jak gdyby ziemia rozstępowała się pode mną i wpadam w przepaść bezdenną. Walę głową na dół, lecę bez końca i dna dosięgnąć nie mogę. Już nie rozróżniam, gdzie dół, gdzie góra; jako kamień rzucony nabieram coraz to większej szybkości, rozpruwam swą masą powietrze, lecz coraz to prędzej i wciąż jeszcze nie upadam.

I rzeczywiście: nie wiem, gdzie jestem, czem byłem, czego chciałem i czego chcę teraz.

I ja tym ludziom dałem się otumanić, taką małpę, takiego poliszynela z siebie zrobić? A, jakże oni śmiać się ze mnie mogą. Toć ja na ich cześć bajki układałem, a gdym je czytał, głos drżał mi ze wzruszenia!

http://rcin.org.pl

Tamten w gazecie miał racyę: ja świstałem na groszu. Nie na swoim, bom go nigdy nie miał, mnie cudzy grosz w zęby wsadzono i ja czułe na nim wygwizdywałem romanse. A jednak niechaj mi Bóg będzie świadkiem — ja myślałem, iż robię to krajowi na pożytek.

Teraz już nie wiem, co jest moją wiarą, co zaś we mnie wełgano, co jest prawdą, a co pokryciem wstrętnej obłudy. To najpewniejsze, że własnej wiary nie miałem nigdy, tak, nic własnego nie miałem. Wszystko było we mnie pożyczanem, wszystkiego wyuczyłem się, jak papuga na pamięć i powtarzałem za drugimi. Samym sobą nigdy nie byłem. Ani jednej myśli, ani jednego uczucia nie miałem, o którem mógłbym powiedzieć: mojem jest ono. Żyłem ich słowem, ich myślą, ich teoryą, książkami, głupotą — wszystkiem, wszystkiem! Nawet ruchy ich i mowę małpowałem—ku dobru społecznemu.

Stanąłem już na tej granicy, gdzie bać się swych myśli zaczynam. Nigdym nie odczuwał tak piekącej potrzeby uskarżenia się przed kimkolwiek. Już nie rzucam na nich i na siebie piorunów, ale skarżę się przed kimś półgłosem. Oto wyciągam ręce przed siebie i mówię do swego mistycznego powiernika:

— Patrz i przyjrzyj się, co ze mnie zrobili!

Nad wieczorem wyszedłem, by odnieść tużu-

http://rcin.org.pl

rek znajomemu. Oddaję mu zawiniątko i mówię wyjątkowo rzewnie:

— Dziękuję wam, moi drodzy, serdecznie dziękuję za tużurek.

— Ot głupstwo — odpowiada tamten. — Ale cóż to wy jakiś nieswój?

— A wiecie, przykrość miałem.

— No?

— Rodzinną.

— Oo!... To niemiłe rzeczy.

— Bardzo niemiłe.

— Nie powinniście tego do serca tak brać.

— Macie racyę, macie racyę. Do widzenia wam, moi drodzy. Dziękuję za tużurek.

— Do widzenia. Ale zapomnijcie o swojej przykrości. Głupstwo!

— Zapomnę, zapomnę, moi drodzy. Dziękuję za tużurek.

Dwie godziny spacerowałem po mieście, a wróciwszy do domu, zastałem u siebie obu moich przyjaciół: Andrzeja i pana Zakrzewskiego.

— Będzie herbatka? — zapytali prawie jednocześnie.

— Nie.

Obaj spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Pan Zakrzewski przeżegnał się nawet.

Wybaczcie—mówię—ale dziś jestem nieusposobiony.

— Nieusposobiony — przedrzeźnia Andrzej.—

http://rcin.org.pl

Jakie to słówka francuskie jucha wynajduje. Gadaj wprost, że nie chcesz.

— Nie mogę...

— Nie mogę—drażni Andrzej.

— A milcz, bo!..

— Hola, paniczu! Niech ino panicz za gębę się złapie. Ja nie jestem zwyczajny do milczenia. Jak gadać chcę, to będę, a zabronić mi nie masz nijakiego prawa.

I pan Zakrzewski czuł się prawie obrażonym i wtrącił swoje trzygrosze w kłótnię. Mych przyjaciół nie można było łatwo się pozbyć.

— Czego wy ode mnie chcecie?—zawołałem, rozkładając ręce.—Czego? Że też nie można chwili spokoju znaleźć!

— Dam ja ci spokój, dam! uczony ślimaku.

Nacisnął demonstrancyjnie czapkę na uszy i kiwnął na Zakrzewskiego.

— Chodźmy, kiej nas nie chce.

— Panie Zakrzewski — zacząłem. — Nie bierz mi pan za złe, i ty, Andrzeju. Ja miałem dziś przykrość i z wami pozostać nie mogę. Zlitujcie się nade mną.

To zastanowiło Andrzeja.

— Przykrość? Naurągał ci kto? Bij w pysk i tyle.

I, widząc zakłopotanie, stara się załagodzić swe poprzednie wystąpienie.

— No, siedźże sobie, kiedy chcesz. Jak mnie

http://rcin.org.pl

robak gryzie, idę do szynku. Ty lubisz książkę, czytaj. Może sobie wyślabizujesz pociechę... Ale ale, przyniosłem ci przyciśnik. Widzisz? Żebyś nie myślał, że ja ino na wyżyrkę do ciebie przychodzę.

Wyjął z kieszeni przycisk żelazny i postawił go na stole.

— A ładne jest, widzisz? Slusarz mi zrobił w fabryce.

Poczem wyszedł, mówiąc, iż zajrzy do Walerki.

Pan Zakrzewski poczuwał się do obowiązku pocieszania mnie. Został tedy i począł dopytywać, co się stało. Odpowiadam mu krótko i opryskliwie, chcąc się go pozbyć jak najprędzej. On zaś, niezmordowany w swej troskliwości, westchnął smutnie:

— Do spowiedzi, do spowiedzi. Ot, czego panu potrzeba.

— Daj mi pan święty spokój. Wyjdźmy gdzie, bo ja w domu bzika chyba dostanę.

— A no, chodźmyż tedy na gazetki.

Tak też i zrobiliśmy. Mijając po drodze jakąś olbrzymią cukiernię, zaproponowałem, byśmy poszli tu dla odmiany.

— Na co? po co? Żeby się na przykrość narazić!

— Jaką przykrość?

http://rcin.org.pl

— Spojrzyjno pan na swe ubranie. Chodźmy lepiej do swej dziury.

Poszliśmy tedy do starej cukierni i kazawszy sobie podać po szklance herbaty, zaczęliśmy przerzucać gazety. Pochwyciłem kilka zdań ze środka wstępnego artykułu, kawałek jakiegoś opowiadania, sprawozdanie z taniej kuchni i złożyłem gazetę.

— Panie Zakrzewski — zwróciłem się do starego — czy moje ubranie bardzo brudne?

— Nie najpiękniejsze.

— Czy ja wyglądam jak włóczęga?

— Co za gadanie. Posłuchaj pan lepiej, co ten pisze.

Przeczytał mi kilka wierszy. Spostrzegłszy wszakże w porę, że nie zadaję sobie trudu wysłuchania tego, umilkł.

— Ja czytam, czytam, a ten much szuka po suficie.

— Panie Zakrzewski, czy ja wyglądam na zwykłego robotnika?

Ale... Toć po twarzy poznać.

Po twarzy? Jednak w przyzwoitych lokalach, mówisz pan, pokazywać się nie należy?

— Bo ludzie są głupi.

— A gdybym poszedł?

— O, nudny się pan robisz. To pana za drzwi wyrzucą.

Ażem na krześle podskoczył.

http://rcin.org.pl

— Panie Zakrzewski? Co pan sobie wyobraża? Co mają znaczyć te słowa?

— W Imię Ojca i Ducha Swiętego. A co temu się dziś stało?

— Ja zastrzegam sobie więcej szacunku, panie Zakrzewski. Nie zniosę podobnych uwag i nie życzę ich sobie.

Rzuciłem kelnerowi dziesiątkę i wyszedłem z cukierni. Zły, rozdrażniony biegałem po ulicach i zaglądałem w oczy przechodniom, jakby chcąc w nich wyczytać ten wyraz niezadowolenie czy niesmaku, z jakim, wyobrażałem sobie, witać muszą takich, jak ja włóczęgów. Zastępowałem niektórym umyślnie drogę i spoglądałem badawczo w twarz. Ludzie mijali mnie, nie domyślając się nawet mej waleczności.

Chcąc się widocznie bardziej podrażnić, przechodzę kilka razy koło wielkiej cukierni.

A gdyby tak wejść?

Ta myśl sprawia, że dostaję gwałtownego bicia serca. Powtarza się ono za każdym razem, ilekroć przejdę koło cukierni. Nie zapuszczam się już dalej w ulicę, lecz spaceruję tam i z powrotem przed oknami. Gdy jestem od niej odległy o jakie dwadzieścia kroków, postanawiam wejść, przyspieszam kroku i — mijam wejście.

— Niech tylko spróbują!

Wnet jednak mitygują się, że w ten sposób wystąpię jako rzeczywisty cham fabryczny.

http://rcin.org.pl

— Pokonam ich dystynkcyą. Wszak Zakrzewski mówił, że po twarzy poznać? Rozumie się, że poznają, kim jestem.

Zatrzymuję się przed otwartym sklepem i przeglądam się w szybie.

— To niemożebne! To fizycznie niemożebne, by mnie wzięto za włóczęgę.

Przybieram energiczny chód, podchodzę do cukierni i znów ją mijam. Nieszczęście chciało, iż w tejże chwili wyszedł stamtąd Zanicz z kilku kolegami.

Spoglądam im arogancko w oczy i ani myślę zdjąć czapki.

— Chwała Bogu ukłonili się pierwsi.

Więc jestem gorszy? — pomyślałem. Więc mnie nie wolno, gdy tym małpom...

Pójdę!

Zawracam się i wchodzę zamaszystym krokiem. Gdym jednak próg przestąpił i znalazł się pośrodku sali, odwaga mnie opuściła.

— Tylko z dystynkcyą — powtarzam po cichu, aby dodać sobie odwagi. — Tylko skandalu nie robić.

Waham się i byłbym może wyszedł, gdyby mię wstyd nie zatrzymał. Siadam przy stoliku w środku sali i to mnie jeszcze bardziej onieśmiela. Oglądam się podejrzliwie naokoło i wsuwam ukradkiem swoją czapkę za pazuchę, by nie poznano robotniczej maciejówki.

http://rcin.org.pl

— Czarnej kawy! — wołam na kelnera basowym głosem.

Ten zmierzył mnie od stóp do głowy i mruknął.

— Niema kawy.

Coś w piersi mnie ukłuło.

— Prosiłbym w takim razie, jeżeli można, o szklankę herbaty — mówię grzecznie, starając się opanować drżączkę w głosie.

— Niema herbaty.

— Niema? To szkoda.

Wskazuję brodą na tacę, zacieram ręce i staram się grzecznie uśmiechnąć.

— Prosiłbym zatem ciasteczek.

— Niema ciasteczek.

Wstaję z krzesła, chwiejnym krokiem podchodzę do bufetu i wskazując palcem na tacę, powtarzam:

— Tych ciasteczek.

— Niema tych.

Czuję, że muszę być blady, jak trup. Robię niewyraźny ruch ręką (mający widocznie oznaczać dystynkcyę) i mówię wolno:

— Ja mam pieniądze.

— Czego pan tu szukasz? — huknął na mnie kelner. — Wynoś się pan. Tu nic pan nie znajdziesz!

Przy tych słowach popycha mnie ku drzwiom.

Czy mi się w głowie pomieszało, czy też zidyociałem pod wpływem tego obejścia, dość, że

http://rcin.org.pl

zachowuję się skandalicznie. Dystynkcya pierzchła, pozostał zamiast tego jakiś dziecięcy upór.

— Ja, panie, zapłacę, z góry zapłacę — wołam, młynkując naokoło kelnera.

Wnet przypominam sobie swoją dystynkcyę, mierzę go wzgardliwem spojrzeniem i zwracam się, niby od niechcenia, do poważnego pana w cylindrze.

— Tu, panie ubranie więcej szanują...

Poważny pan zmarszczył brwi i rozkazał majestatycznym ruchem ręki, bym mu z drogi ustąpił.

Ja naśladuję tenże ruch przed kelnerem i wychodzę z cukierni. Wracałem do domu z gołą głową, trzymając pod pachą moją maciejówkę.

Łkałem po drodze.

Miałem nad czem rozmyślać przy swej bormaszynie. I dziwnie zaczęły się te myśli układać: Gdy koło osiowe obracało się równo i powoli, maszyna monotonnem uderzeniem kuła w żelazo — słowa w podobnemże tempie, równo, silnie i dobitnie, jak uderzenia zegara, wybijały mi w głowie. Niechaj jednak zrzucę transmisyę, a tem koło u sufitu w wartki ruch wprawię — wnet myśl moja galopem biegnie i wpada w rytm koła; tworzy się jakiś kołowrotek, jakaś wściekła gonitwa słów bez sensu, bez treści, bez myśli; aż póki koło znów nie zwolni, maszyna w miarowe przejdzie uderzenia. Posłuszna myśl dobiera słów krótkich, urywanych, rytmicznych, jak uderzenia młota.

http://rcin.org.pl

Gdym to po raz pierwszy zauważył, zląkłem się o swe władze umysłowe. Uspokoili mnie jednak moi towarzysze, mówiąc, iż oni nieraz tego doświadczają, zwłaszcza gdy są zmęczeni.

— Tu człowiek jest tak zależnym od tych potworów — mówił mi majster — że nie tylko rusza się, jak maszyna, gada i oddycha w jej takt ale nawet myśleć tak musi, jak ona mu każe.

Przez cały tydzień urozmaicałem sobie wieczory zmyślonemi epizodami w cukierni.

— Kelner, kawy! — wołam, opuszczając rączkę od maszyny.

— Słucham! — odpowiada mi młot, uderzając w kawał żelaza.

— Przynieś mi, mały, gazetkę — fantazyuję dalej, przesuwając z mozołem płytę.

Lub też innym razem:

— Kelner! prędzej, prędzej!... Co za harde fagasy!

— Lecę, lecę, lecę! — odpowiada mi koło u sufitu.

Pod wieczór jestem tak zmęczony, że ledwo do domu się dowlokę. Zaszedłszy na poddasze, snuję dalej to samo na inny trochę sposób. Tu jestem waleczniejszy: wszczynam bójkę z kelnerem i tłukę go bez miłosierdzia.

— Kazik — zapytał mnie kiedyś Michaś — powiedz mi, czem ty jesteś.

— Czego ty chcesz ode mnie?

http://rcin.org.pl

— Nie, bo widzisz, pan się pytał.

— Powiedz zatem, że twój brat jest robotnikiem.

— Ii...

— Słyszałeś?

— Kiedy bo... śmiać się będą.

— Kto się będzie śmiał?

— Chłopcy w szkole...

— Milcz! — wrzasnąłem — bo ci kości połamię.

---

http://rcin.org.pl

V

Słuchaj, mały — zawołałem raz na Michasia, przyszedłszy wieczorem do domu. Powiedz w szkole, że twój brat jest urzędnikiem w banku.

Dzieliłem się w ten sposób swojem nieodwołalnem postanowieniem. Że krzyk z tego powodu podniosą, wiedziałem aż nadto dobrze, spodziewałem się nawet, że panna Helena pierwsza w alarmujący dzwon uderzy. Ale było to, jak powiadam, postanowienie nieodwołalne.

Więc takiem tylko jest życie?—myślałem. Zaprzągnijmy się zatem do lżejszego pługa. Jeśli mam być wołem, nie chcę przynajmniej kamieni ciągnąć.

Zamiar porzucenia fabryki nie jest bynajmniej owocem jakiegoś buntu moralnego, chęci zreformowania swej egzystencyi; jest on raczej spekulacyą cierpliwego wołu. Czy tu, czy też tam jednakowy mnie los czeka. Zamienię conajmniej młot na pióro, a tokarnię na biurko. Marzyć oduczyłem

http://rcin.org.pl

się na zawsze i myśli moje nie wybiegają poza codzienne kłopoty, arytmetykę wydatków i złorzeczenia wszystkiemu i wszystkim. Myślę przy robocie, tak jak i moi towarzysze warsztatowi.

Zanicze dosyć długo grzebali w moim mózgu, dosyć długo pracowała nad nim maszyna, dosyć go namęczyła panna Helena. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę wyjmowano mi po małej szczypcie rozsądku, po tak drobnej i niepostrzeżonej jak ziarnko piasku; aż póki powoli i niepostrzeżenie nie wyjęto mi wszystkiego, pozostawiając akurat tyle, ile potrzebuje maszyna. Dzieła społecznego dokonano. A jeśli tam gdzieś w zakątku serca lub mózgu tli się jakaś iskierka, to wiem, że i tę mi zagaszą i to uczucie wydrą.

Taką iskierką jest myśl o Heli. (Straciłem już galanteryę myślową i wspominam ją zwykle po imieniu). Nim też mój zamiar w czyn wprowadziłem, poszedłem ją uprzedzić o tem.

Z jak płaską pokorą szedłem do niej, tego wypowiedzieć nie potrafię. Zdaje mi się, że skurczyłem się w pałąk i że oczu na nią podnieść nie śmiałem.

— Nie jestem do tego zdolny — powiedziałem jej.

— Co się z wami stało? — zapytała tonem, przez który dosyć wyraźnie przebijało oburzenie.

— Nic się nie stało, tylko że wstępuję do banku.

http://rcin.org.pl

— Ale skąd tak nagle?

— Nie mam zdolności.

— Kto wam to powiedział?

— Ja sam.

Potrząsnęła energicznie głową i porywając się z krzesła zawołała:

— Ot, głupstwa gadacie.

— To nie głupstwo. To nieodwołalne postanowienie.

— Więc wszystkiego już się wyrzekacie?

— Czego mam się wyrzekać?

— A, Boże wielki! Chociażby ideałów.

— To było dzieciństwo.

— Taak?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i powtórzyła po raz drugi, uśmiechając się złośliwie:

— Tak?

— Chciałem panią uprzedzić i prosić...

— O co?

— O... o wyrozumiałość.

Pocałowałem ją w rękę z taką pokorą, jak żebrak, gdy dwa grosze dostanie. Rozumiałem wszakże, co robię i to boleśnie rozumiałem.

Była to rola niegodna... Kogo niegodna? Czy takiego wołu, jakim ja wtedy byłem?

Gdybym miał przed kim prawdę wyznać i gdybym przysięgać się umiał, takbym może wtedy powiedział:

http://rcin.org.pl

Swego postępowania nie wytłumaczę, nie dowiodę, ale ja je czuję, głęboko czuję. Tylko, że wygadać się nie potrafię... Nie umiem ładnie mówić... Ja nie chcę stracić Heli, jak pragnę wiecznego spoczynku mojej matki!

Zmiana zajęcia nie poszła wszakże tak łatwo, jakem sobie wyobrażał.

W kantorze bankierskim powiedziano mi, że będą płacili dopiero po roku; na kolei, że „ani marzyć o miejscu“; w biurze kanalizacyjnem, że „może kiedyś“.

Zrozumiałem, że ja mniej, niż kiedykolwiekbądź, mogę liczyć na posadę urzędniczą.—„Gdzieś pan był przedtem?“ — zapytają. „W fabryce“. — „Coś pan robił?” — „Pracowałem przy bormaszynie“. Widzę zdziwienie, malujące się na ich twarzy, widzę, jak kiwają głowami, słyszę, jak mruczą coś pod nosem i żegnają mnie obietnicą, „jeżeli coś... tego... w przyszłości“. I ci panowie wiedzą, co znaczy bormaszyna. A to, że tam kiedyś byłem w gimnazyum, to wprost śmiechu warte. Wszak ja piszę już tak, jakbym w elementarnej szkółce abecadła się uczył.

Mówiono mi dawniej o pewnym dyrektorze banku, jako o człowieku bardzo wpływowym. Przypomniałem sobie o nim i poszedłem z prośbą o protekcyę.

— Coś pan skończył? — pyta mnie.

— Gimnazyum.

http://rcin.org.pl

— Znasz pan języki?

— Trochę niemieckiego i trochę francuskiego. Jak to ze szkoły.

— Panie, mam już dwudziestu takich kandydatów.

Dla potwierdzenia tych słów wyjął notatnik i pokazał mi długą litanię nazwisk. Spostrzegłem tam imiona kilku moich kolegów.

— Przepraszam zatem — bąknąłem, powstając z krzesła.

— Wszakże i pańskie nazwisko zapiszę. Ale, jak powiadam, u nas są całe legiony takich, co...

— Niech pan dyrektor nie kończy. Już ja wiem jakich.

Skończyło się na tem, że wróciłem do fabryki.

Lasciate ogni speranza — zdawał się mnie witać dzwon fabryczny.

Rozpocząłem swój powrót z prośbą o forszus. Inaczej prosiłem wtedy, niż o zwrot kaucyi i spostrzegłem, że to wcale nie tak trudno, gdyż po miesiącu, zmuszony warunkami, powtórzyłem swoją prośbę. Wtedy postanowiłem sobie, że robię to po raz ostatni. I byłoby tak może, gdybym sam był na świecie.

Któregoś dnia uskarżał mi się Michaś, że koledzy śmieją się z jego dziurawych spodni. Proste były słowa Michasia, a jednak nic w życiu tak silnie na mnie nie podziałało.

http://rcin.org.pl

— Kazik — mówił — widzisz jakie porty? A tak się śmieją!

Wszystko zniósłbym cierpliwie, ale by mego malca chlastano tymże biczem i to dzięki mojej głupocie, na to pozwolić nie mogłem.

Pogłaskałem Michasia po głowie i pobiegłem po forszus, jak po swoją prawną należność. Gdym podchodził do fabryki, dyrektor siadał właśnie do powozu.

— Cóż tak późno? — wołał, nieodwracając głowy.

Energicznym krokiem zbliżyłem się do niego i powiedziałem krótko suchym tonem:

— Prosiłbym pana o forszus.

Nie było tu ani śladu pokornej prośby, jak za pierwszym razem. Było to raczej żądanie.

On odpowiedział mi ironicznie:

— Tak?

— A jakże. Ja to przecie odrobię.

— Proszę...

— Brat chodzi do szkoły i nie ma ubrania. Ja nie przychodzę prosić pana jak zwykły robotnik. Ja, panie, gimnazyum skończyłem.

— Otóż to, brat nie ma ubrania, pomimo że pan gimnazyum skończyłeś. A ile to razy powtarza się wam: oszczędzać! oszczędzać! A wy: nie i nie! Trudna rada, panie kochany, to musi raz mieć swój koniec.

http://rcin.org.pl

Byłem więcej oszołomiony niż zagniewany temi słowami.

Wszak ja mu powiedziałem, kim jestem, a on mię precz jak chłopa traktuje.

Zdziwienie pierzchło jednak natychmiast, gdym mu w twarz spojrzał. On patrzał na mnie z tymże grymasem, co poważny pan w cukierni i co ów kelner.

Złąkł się mnie, czy też zlitował (trudno mi to słowo wypowiedzieć), dość, że sięgnął po pugilares i wyjął trzyrublówkę.

— Masz pan — mruknął, wyciągając rękę i odwracając głowę ode mnie.

Więc ja całe życie mam być poniewieranym? przemknęło mi w myśli. I przemówił do mnie instynkt samoobrony, ten, co każe nie tylko swego ciała, lecz i swej godności bronić.

— Masz! — krzyknąłem, ciskając mu trzyrublówkę w twarz.

W tejże chwili świsnęło mi coś nad uchem i bicz oplątał się koło mej szyi. Odskoczyłem obok. Świsnęło po raz drugi i jakby rozpalone żelazo prysnęło mi w twarz.

Stangret stał na koźle i chłostał mnie biczem. Ból i wściekła rozpacz głos mi zatamowały. Rzuciłem się na niego jak tygrys, lecz on śmignął raz jeszcze batem i trafił mnie w oczy. Gdym je roztworzył, powóz był już daleko. Skoczyłem za

http://rcin.org.pl

nim, lecz wnet potknąłem się i upadłem na środku ulicy.

— Ty...y, psie! — wyłem w poczuciu swej bezsilności, wyciągając rękę w kierunku powozu.

Jakem zaszedł do domu, nie wiem.

Upadłem na łóżko i wiłem się po niem jak wąż, gryzłem poduszkę i wydawałem nieludzkie dźwięki. Co chwila zeskakiwałem na ziemię, podchodziłem bez widocznej przyczyny do okna, zawracałem natychmiast, by, upadłszy znowu na łóżko, skomleć jak obite szczenię.

Jak to było? Mówię mu, że Michaś nie ma spodni, a on wyjął trzyrublówkę. Ze swoich pieniędzy dał, nie z kasy, jak żebrakowi dał... Ja mówię, że Michaś...

Kilka godzin z rzędu powtarzam to zdanie. Nadszedł Michaś i spojrzawszy na mnie, zląkł się i uciekł z pokoju. W pół godziny powrócił z Andrzejem. Ten chciał mnie widocznie dopytywać o coś; schwycił mnie za ramię i domyślił się, o co idzie.

— Kto? — krzyknął.

— On.

— Kto?...

— On, on... dyrektor.

— Jak się nazywa?

— Werkmann.

— Gdzie mieszka?

— Na Długiej.

http://rcin.org.pl

— Ty mi się stąd nie ruszaj.

I z temi słowami wybiegł.

Ja uspakajam się powoli i powstawszy z łóżka, biorę lustro do ręki. Tu zaczęła się cicha, dręcząca męka. Blizny na twarzy, prawdziwe blizny od bicza — one nie pozwalają mi odłożyć lustra na bok. Położyłem zwierciadło na stole i oparłszy się na łokciach, patrzę w nie bez przestanku; nawet oczyma nie mrugnę.

Było już późno wieczorem, gdym obudził się z tego odrętwienia. Michaś siedział jak trusia w kącie pokoju i nie spuszczał oczu ze mnie.

— Kazik— rzekł, widząc, że powstaję z miejsca.

— Czego?

— Nic. Tylko tak.

Wziąłem kij w rękę, nasunąłem czapkę na uszy i wyszedłem do sieni. Tu spotkałem się oko w oko z Andrzejem.

— Zrobiło się! — zawołał. — A ty, Kazik, dokąd?

Kij wypadł mi na ziemię, ręce obwisły bezwładnie. Nawet mu głową na podziękowanie nie kiwnąłem. Zdobyłem się zaledwie na przeciągłe:

— Taak?

— A juści — odparł. — Caluchne trzy godziny warowałem, ażem ci go wreszcie przydybał.

— Tak? — powtórzyłem po raz drugi.

— Wylazł z bramy — ciągnął Andrzej dalej — a ja do niego. „Pst! panie, jak się pan na-

http://rcin.org.pl

zywasz?“ Zląkł się i powiada. A ja: „tak się, jucho, nazywasz?“ i bęc! On: „ratujcie!“ krzyczy. A ja: „piszczysz?“ i bęc drugi raz. Jakem się rozhuśtał, to mi ino łapa latała. Oo!... potyrałem.

Spojrzał potem na mnie i pokiwał głową.

— Fiu, fiu!.., Ten cię zdrowo podrapał.

Nic mu na to nie odpowiedziałem.

— A boli?

Tu, jakby mnie kto ukropem oblał. Zagryzłem wargi aż do krwi.

— To on cię tak: prosto batem?

— Andrzej! — żachnąłem się rozpaczliwie.

— No co? O jej! Że też takie ceregiele, jak z chorym. Idę sobie, idę. Ino, że mam do ciebie interes.

— Jaki? — pytam oschle.

— Mnie uważasz, Kazik, wezmą pewno do rataja za obrazę (niby cielesną...) Czego się dziwisz?... Idź, uważasz, na tej ulicy, co fabryka stoi, pod numer piąty (ja tu wszystko wypisałem: co i jak). Tam, niby w oficynie, zapytasz o panią Józefową i powiesz, że Andrzej grzecznie się kłania i pyta o pannę Walerkę. Jak ona (niby Walerka) jest w domu, to powiedz, że także się kłaniam i że jestem zdrów i dobrze mi się powodzi. ino, że za obrazę wzięli mnie do rataja i bez to mnie niema. Rozumiesz?

— Andrzej! — zawołałem chwytając go za rękę — to za mnie.

http://rcin.org.pl

— Co za ciebie?

— Za mnie będziesz siedział.

— Ee!... Austryackie gadanie...

Zbiegł ze schodów. Na dole zatrzymał się i wołał ku mnie przez dłoń:

— Kazik! a natrzyj se pysk sadłem; prędzej zelży.

Podjąłem kij z ziemi, obracałem go czas jakiś w ręku; potem, nie wiedząc sam, co robię, oparłem o kolano i złamałem na dwoje.

---

http://rcin.org.pl

VI

Minął wreszcie ten dzień. Poza głuchą goryczą, ukrytą gdzieś na dnie serca, posiadam zaiste ślimaczy spokój. Opatrywałem swą twarz z zupełnym spokojem, nawet z pewną pedanteryą. Z angielskiego papierka wykrajałem tasiemkę i zalepiłem nią pręgę na policzku, pokryłem to watą i przewiązałem twarz chustką. Pierwszemu ze znajomych, jakiegom spotkał na ulicy, zacząłem się uskarżać na ból zębów.

Robotę znalazłem tym razem prędko i wszedłem po kilku dniach w zwykłą kolejkę. Brak mi ludzi jak zwykle, a właściwie bardziej niż zwykle, gdyż do panny Heleny za karębym nawet nie poszedł i za podobne zachcianki karcę siebie zmudnem i niemiłosiernie złośliwem przypominaniem swego upokorzenia. Andrzej siedzi w kozie, i nie mam o nim żadnej wiadomości. Zakrzewski obraził się na mnie wtedy w cukierni i nie kłania mi się nawet na ulicy.

http://rcin.org.pl

Wieczorami odwiedzam na stary sposób swych znajomych i wizyty te stają się plagą dla pilnych ludzi. Uciekam z domu już nie tyle z obawy nudów, jak wprost z litości nad samym sobą. Co ja za awantury nad książką wyprawiam! Chcę czytać, a nie mogąc zrozumieć najprostszego zdania, gryzę ze złości własne ręce. Wreszcie ciskam książkę i wybiegam szukać ludzi. Za mną goni jakaś mara i szepcze mi ciągle do ucha:

Idyociejesz — idyociejesz!...

W narożnym domu, tuż obok, mieszka Borowicz. Znam go wprawdzie mało i nie lubię takich kretów, jak on. Zresztą wszystko mi jedno. I do dyabłabym zaszedł, byle nie zostawać z samym sobą. Wchodzę zatem do niego i pytam ze słodką miną:

— Nie przeszkadzam?

— Nie bardzo.

— Ja na chwileczkę tylko, zobaczyć, co u was słychać.

— Nic nowego. Zajęcia dużo.

— Tak?

— Aha.

— Bo za dużo pracujecie.

(To zdanie powtarzam ze szczególną satysfakcyą każdemu. Bodaj że szukam w tem usprawiedliwienia, iż sam w domu nad książką nie siedzę).

— Macie jaki interes? — zapytuje Borowicz.

http://rcin.org.pl

— O nic ważnego. Tak tylko.

Milczymy obaj. On bębni z niecierpliwością po stole, ja zaś pocę się nad wymyśleniem jakiego pretekstu, któryby mi pozwolił dłużej u niego pozostać.

— Wiecie, Modrzejewska przyjeżdża — zacząłem ni stąd, ni zowąd.

Powstał z krzesła i zaczął biegać z niecierpliwością po pokoju.

— Jutro mam egzamin — zawołał, zatrzymując się przede mną.

— Tak?

— A jakże. I nic nie umiem.

— Ja przeszkadzam zatem?

— No, tak... chociaż, dalibóg... Wybaczcie. Mam jednak nadzieję, że... Wszak my w sąsiedztwie mieszkamy?

Biegnę do drugiego. Tu powtarza się prawie to samo. Zachodzę wreszcie do Zanicza. Ten bo najcierpliwiej znosił moje wizyty.

— Co słychać?

— Czytam właśnie.

Siedzę znowu w kłopotliwem milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Nudno w Warszawie? — zapytuję.

— O, nudno.

Przeciągnął się tak, aż mu w stawach zatrzeszczało. Nuży go wkrótce ta rozmowa i zaczyna przewracać kartki w książce.

http://rcin.org.pl

— Co czytacie obecnie? — pytam.

Zanicz spojrzał na mnie od niechcenia i wyrecytował jednym tchem:

— *The economical princips in the evolution of the human society.*

— Po angielsku?

— Aha.

— To wy umiecie po angielsku?

— Umiem.

I to się urywa. Spoczął wzrokiem przez chwilę na książce, odrywa go wszakże śpiesznie, by rzucić mi zdawkowych kilka słów:

— Bardzo łatwy język.

Po niejakim czasie przestaje się krępować i czyta, nie odrywając oczu. Z początku siedzi jeszcze bokiem do książki, później i ten mały wzgląd uważa za zbyteczny. Opiera łokcie na stole i odwraca się do mnie tyłem.

— Jeżeli sądzisz, że mnie w ten sposób wyrzucisz — pomyślałem — to się grubo mylisz. Zostanę tu, choćbym ci się najwstrętniejszym natrętem wydał. Zostanę, bo mi tu nawet lepiej niż w domu; bo choć gardzę tobą, czuję jednak przy sobie żywą istotę. A ty możesz myśleć, co ci się żywnie podoba.

Przesiedziałem u niego całą godzinę, aż wreszcie samego mnie to znudziło i wyszedłem na ulicę.

I gdzie ja teraz pójdę — co zrobię z sobą?

http://rcin.org.pl

Wracać do domu? Wszak nie zasnę przed północkiem? Siedzieć zatem i dumać? Za nic w świecie! Wolę iść tam, dokąd mnie pan Kwaśniewski niegdyś zaprowadził. Tam są również ludzie.

Niedługo namyślałem się.

Chodzę tam coraz to częściej. Jest to jedyna moja ucieczka przed samym sobą i przed Michasiem, gdyż na tego chłopca już patrzeć nie mogę.

Którejś niedzieli wrócił Andrzej i wprost z kozy zaszedł do mnie. Nieraz zastanawiałem się nad tem, co my za wspólność mieć możemy i co nas łączy. Czyżby to znowu maszyna robiła? Nie wiem, nie rozumiem. A jednak jakąż mi radość sprawił jego rubaszny głos!

— Kazik — wołał jeszcze na schodach. — Jak się masz! Co malec porabia? Jakże go tam? Michaś, co?...

Spostrzegł Michasia i obdarował go natychmiast piernikiem.

— Na — mówił. — Nie bój się, to nie z ratusza. Tam ci takich specyałów nie dają.

— To ty Andrzej całe dwa miesiące siedziałeś? — pytałem, ściskając go serdecznie.

— Jakbyś zliczył. Caluchne dwa miesiące... A to bez tego sędziego. Bo ja ci opowiem, jak to było.

Michaś rozbawiony gestykulacyą i mową Andrzeja, pokładał się od śmiechu.

— A ty, czego się śmiejesz? — huknął na

http://rcin.org.pl

niego Andrzej. — Obaczysz... sam wlecisz jeszcze do ula. Jeno wyrośnij, bo teraz to ci ino w skórę dadzą.

Musiało go to szczerze zagniewać, gdyż zwrócił się do mnie z napół obrażoną miną.

— Taki knot!... Najgorsze bestyjstwo jest to, że mi do paśportu wpisali. Niby że Andrzej Młocik siedział w ulu za burdę. Z pieczęcią jest.

Tu wyjął z kieszeni brudny, pomięty świstek i pokazał ów przykry dokument.

Położyłem mu ręce na ramionach i patrząc wymownie w oczy, zapytałem:

— Andrzej, czy to warto było dla mnie?...

— Może i nie warto—odpowiedział naiwnie.— A zresztą stało się i pluć na to. U Walerki byłeś?

— Byłem.

— No?

— Powiedziałem, coś chciał.

— Zara idę do niej. Chciałem ci ino powiedzieć, że mnie już puścili, no i żem po drodze spotkał twoją kobietę.

— Moją?!

— Ano? Pannę Walicką. O... smaczna kobieta!

— Co ty pleciesz? co ty pleciesz?

— Nie twoja? Dla mnie możesz i nie spowiadać się. Prosiła tylko, żebyś zaszedł... A widzisz, jakeś pokraśniał? Aha?

http://rcin.org.pl

— Nie błaznuj, Andrzej, nie błaznuj — mówiłem spokojnie.

A jednak wargi mi drżały, gdym mu zadawał pytanie:

— Czy naprawdę prosiła?

— Jak Boga... Mnie bo do Walerki prosić nie trza. Mówiła tak: Niech Andrzej spyta pana Kazimierza (niby ciebie znaczy), czemu do mnie nie przychodzi?

Rzuciłem się Andrzejowi na szyję i pocałowałem go.

— Widzisz go, jak się gzi? Ech-te-te!... No a tera gadaj: twoja czy nie twoja?

Roześmiałem się, jak już dawno się nie śmiałem.

— No? — dopytuje upornie Andrzej.

— Moja, moja! — wołałem, ściskając go po raz drugi.

— I widzisz go! Taki ślimak książkowy i jak to się rozhuśdał. A teraz chodźmy: ja do Walerki, a ty do swojej. Jazda!

Andrzej wpadł w znakomity humor. Ujął mnie pod rękę i śpiewał przez całą drogę.

— Takiej mnie ci Stasiak piosnki nauczył, słuchaj:

„Hej panowie w górę szklanki!
Każdy zdrowie swej bohdanki,
Ty Heli, ja Walerki“ *(nie pasuje, psia kość).*

http://rcin.org.pl

Wpadłem do niej jak szalony i bełkotałem zadyszanym głosem:

— Panno Heleno... Andrzej mówił, że...

Powitała mnie tak serdecznie, jak nigdy dotychczas.

— Niedobry — mówiła pieszczotliwie i mrużyła przytem oczy. — Niełądnie... całe dwa miesiące.

Boże, jak ona to ślicznie mówiła!

— Niech pan siądzie tu, koło mnie. Zadam panu jedno pytanie. Albo nie... Niech mi pan w oczy spojrzy.

Taką radością śmiały się moje oczy, że pannie Helenie nietrudno było znaleźć odpowiedź.

— Już wiem — wyszeptała po chwili i wnet pospieszyła z usprawiedliwieniem:

— Pan mi tego za złe nie bierze? Wszak my możemy być zawsze przyjaciółmi.

— Zawsze, zawsze! — wołałem.

I jakby pod tchnieniem czarownem lub wróżki jakiej dotknięciem spadła maska, co mi twarz w kurcz bólu i zniechęcenia skrzywiła, usta uśmiechem się rozchyliły, z głowy spadł ciężar, co ją tak tłoczył, znikła ociężałość i niedołęstwo myślenia; odzyskałem całą siłę i energię dawniejszą, a obwisłe skrzydła, zda się, znów do lotu się rozpięły.

O czem myśmy wtedy nie mówili? Wspominaliśmy głupiego Kazia i jego tłustą mamusię,

http://rcin.org.pl

śmieliśmy się nawet z Zanicza i jego wielbicieli.

— Pan jest jednakże niedobry — przerywa mi panna Helena.

— A to dlaczego?

— Bo kryje się z czemś przede mną.

— No?

Wyjęła z szuflady stary numer „Postępu“ i wskazując mi na tytuł „Z krainy pięknych słówek“, zapytała cicho i pieszczotliwie:

— Kto to pisał?

— Stare dzieje.

— Tem gorzej, że dopiero od Kwaśniewskiego dowiadywać się muszę. Myślałam, że pan mi więcej dowierza, niż Kwaśniewskiemu.

— Co też pani mówi. Wstydziłem się i dlatego milczałem.

— Było też czego się wstydzić. Ale, czemu pan więcej nie pisze?

Roześmiałem się serdecznie.

— E, bo się pogniewamy — grymasiła, udając, że odwraca się ode mnie. — Musi mi nieznośny Kazio (pan się nie gniewa za to?) obiecać, że napisze coś dla mnie. Dobrze?... Tylko proszę głową nie kiwać, ja nie lubię tego.

— Czyż ja potrafię, paniusiu?

Chciałem jej odpowiedzieć również pieszczotą i zdobyłem się zaledwie na tak pokorny przydomek. Jej podoba się to wszakże, gdyż grozi mi palcem i śmiejąc się, mówi.

http://rcin.org.pl

— Taki skromniutki. Gdybym ja tak umiała, jużbym całe libry papieru zasmarowała.

Jest mi tak lekko, tak swobodnie na duszy, jak nigdy. Obiecałem jej napisać długi, nieskończenie długi artykuł i nie żałować „tych tam". Śmiałem się i dokazywałem jak dziecko. Gotówem był nawet skakać po pokoju z radości.

Trwałoby to zapewne i dłużej, gdyby nie jedno niezręczne jej słówko.

— Co pan teraz robi? — zapytała.

Odpowiedziałem jej ni to, ni owo, starając się pokryć uśmiechem niemiłe wrażenie. Od tej chwili zaczęło iść kulawo. Raz wpadłszy na tory „dnia dzisiejszego", trudno było z nich zboczyć. Z ust wyrwała mi się mimowoli jedna i druga skarga, na pytanie odpowiedziałem podobnem pytaniem, czem i ją w zakłopotanie wprowadziłem. Próbujemy być i nadal wesołymi, lecz nie udaje się to nam obojgu.

Powoli wynurza się z tej wesołości upiór dnia wczorajszego, za nim idą wypadki ostatniego tygodnia: i tak oto zacząłem grzebać we wspomnieniach. W całym nastroju powstaje wszakże niewyraźna świadomość chwilowego szczęścia, szczątek wesołości. Chwytam się tego rozpaczliwie i odpycham niemiłe myśli. Udaje mi się to w części, gdyż wpadam w jakieś senne zadowolenie. Mówić nie chcę, by nie powiedzieć lub nie usły-

http://rcin.org.pl

szeć czegoś przykrego. Jest mi dobrze i chciałbym tak siedzieć bez końca i czuć ją koło siebie.

Teraz dopiero spostrzegłem, że panna Helena ma na sobie obcisły kaftanik, który znakomicie jej kształty uwydatnia. Rękawy zagięły się jej tak, że widzę rękę aż po łokieć. Jakież ona ma białe, delikatne rączki. Nigdym przedtem tego nie zauważył.

Bezwiednie prawie kładę dłoń na jej ręku.

— O czem pan tak duma?—zapytała z cicha.

— O niczem... Tak, ot.

Podniosłem jej rączkę do ust i złożyłem na niej długi pocałunek. Potem ująłem ją w obie dłonie i zacząłem się bawić jej palcami.

Ona nie spostrzegła tego w zadumie. Oczy jej otworzyły się szeroko i patrzą błędnie w dal, policzki ubarwił rumieniec, usta rozchyliły się cokolwiek. Jakże ona piękną wtedy była!

Ośmielony jej roztargnieniem, pocałowałem po raz drugi, trzeci; ująłem za łokieć i zagiąłem wyżej jej rękaw. Wreszcie przestaję już panować nad sobą. Chwytam ją wpół i wyciskam na ustach długi, namiętny pocałunek.

Ona nie od razu się przebudziła. Odpycha mnie lekko i pochyla mi głowę na ramię.

Widzę, jak w jej wielkich, zadumanych oczach kilka łez się perli.

— Helu, Helciu!

Wyrwała mi się z rąk i odskoczyła na drugi koniec pokoju.

http://rcin.org.pl

— Co pan robi? — zawołała. — Kaziu, panie Kazimierzu!... Idź, idź... nie zbliżaj się do mnie. Nie składaj rąk, ja nie chcę widzieć tego. Jakże ty wstrętnie wyglądasz... Panie Kazimierzu, proszę natychmiast wyjść... Zaklinam pana!... Prędzej!...

Wytoczyłem się jak pijany na ulicę i ledwo że drogę do domu znalazłem.

Dawniej mogłem z nią obcować i nigdy tego nie było. Dziś jestem skończonym chamem: zdrętwiał mi umysł, poszło za nim i serce.

Z takiemi myślami kładłem się do łóżka. A jednak, usypiając, marzyłem o niej: o jej cudownych oczach, drobnej, białej rączce, o delikatnej twarzy, utoczonej piersi, o jej małej nóżce.

Inaczej dawniej o Heli myślałem.

---

http://rcin.org.pl

VII

Skąd się wziął we mnie ten gnuśny i apatyczny pesymizm. Oto na drugi dzień zadaję sobie następujące pytanie:

Co ją skłoniło do wezwania mnie? Czyżby wiadomość o mym artykule? Więc ja jej znów imponować zacząłem? Jeśli na takich podstawach przyjaźń nasza spoczywa, runie ona niezadługo z nieubłaganą koniecznością. Wreszcie jeśli mam się w piersi uderzyć i wyznać szczerze, to ja ani na chwilę nie wierzę w tę przyjaźń.

Jak jej głowa była stodołą, w którą rzucono bezładnie wszelkie śmiecia, tak i serce nabrało okruchów najrozmaitszych wrażeń i zachowawszy je w nieładzie wytworzyło węzeł tak pogmatwany, że sama rozplątać go nie potrafi. W tym składzie były szczątki wspomnień z tych czasów, kiedy moja osoba na wierzchu tego śmietnika leżała. Wystarczało tedy nawet tak miernego bodźca, jak ów artykuł, jakiegoś słabego nimbu ta-

http://rcin.org.pl

jemniczości, by wywołać zwrot wsteczny ku odległym czasom. A to że zaszła za daleko?... To był tylko słaby odgłos jej natury, spowodowany mojem zachowaniem się. A jednak i to nawet jest mi sympatyczniejszem od niej całej. To był głos tej samej natury, która, gdyby nie Zanicze, boski twór daćby mogła.

Może to owoc grymaśnego usposobienia wykolejonych natur, lub może ów jadowity skorpion sumienia podsuwa mi złość i niechęć ku tej Heli, którą wczoraj jak kochankę ściskałem.

Gdy myślę o niej, krzywię usta i czuję chęć dokuczenia jej, sprawienia bodaj drobnej przykrości. Wydaje mi się nawet, że drażnię ją jak dziecko, szczypię boleśnie i sprawia mi to pewne zadowolenie.

O tym wieczorze zapomnieć nie mogę. Przeżyłem go potem setki razy z największą dokładnością. A gdy tak marzę — płaczę, to znów śmieję się i gadam ze sobą... Nieraz zrywam się i chcę biedz do niej; jak zwykle brak i na to odwagi. Zostaję w domu, by po raz nie wiem który przeżuwać miłe wspomnienia. Dodaję do nich przeróżne waryacye i odmiany; fantazyuję na ów temat bez końca.

Niepokoi mnie to, że nie mam od niej żadnej wiadomości przez całe dwa tygodnie i chciałem już Andrzeja posłać na przeszpiegi, gdy któregoś

http://rcin.org.pl

wieczora wróciwszy z fabryki, zastałem bilecik od niej.

„Panie Kazimierzu“ — pisała. —„U Twardzickich zbiera się dzisiaj kilku naszych przyjaciół. Polecono mi Was zaprosić“.

Więc nie chce ze mną zerwać. List był krótki i suchy, zawierał wszakże cenną wskazówkę; mianowicie: słówko „wy“. Domyślam się, na jakiem staniemy obecnie stanowisku, i ta myśl wywołuje znów jadowity grymas.

Jakżebym ja chętnie powiedział jej:

— Towarzyszko Helu, chciałbym wycałować wasze szliczne, mądre oczki.

Zanim pożyczyłem tużurek i kamasze, zanim wreszcie zmyłem z twarzy i rąk gruby pokład brudu fabrycznego, minęły dwie godziny. Do Twardzickich zaszedłem zaledwie na dziesiątą godzinę.

Już z przedpokoju usłyszałem gwar i zawziętą sprzeczkę. Dawniej i ja umiałem gadać całemi godzinami, zmieniać porządki społeczne, ćwiartować Europę, fruwać po wszystkich dziedzinach ludzkiej wiedzy, rzucać cytatami, których nie pamiętałem, wywoływać cienie wielkich mężów, o których zaledwie słyszałem. Robiłem to wszystko z jednym celem: by wyjść zwycięsko z dysputy. Dziś? — Jakże mi to dziś obojętne. Ale oni nigdy się nie zestarzeją, wiecznie zostaną takimi, jak byli, póki synekurka, mały urząd lub

http://rcin.org.pl

co najpewniej bogata żona nie nauczą ich mądrości życiowej i nie każą z uśmiechem politowania mówić o czasach, kiedy to w zapalnej głowie Bóg wie co się roiło. Tymczasem wygodnie im w mundurkach; a że na świecie nudno (jak Zanicz mówi), więc też schodzą się od czasu do czasu z mocnem postanowieniem przyprawienia się wzajemnie o rozmiękczenie mózgu.

Przekonałem się nieraz, że taki wygadany młodzieniec wypowie przez jeden wieczór nie tylko to, o czem wie i nie wie, lecz i o czem wie jego ciotka, kuzynka, o czem słyszała stróżka w jego domu. Seanse te nazywają się: „herbatkami“ i sprasza się na nie młodzież płci obojga. Kobiety grają w tym turnieju językowym rolę dam średniowiecznych: dodają zapału i zarazem trochę pieprzyku do suchych i nudnych rozpraw teoretycznych.

Wsłuchuję się w ten gwar i zadaję sobie pytanie: po co ja tu przyszedłem? Naprzeciw mnie siedziała panna Helena i w tem bodaj było rozwiązanie zagadki.

Musi być wszakże w dyspucie coś zaraźliwego, gdyż po chwili odczuwam i ja potrzebę opozycyi, aczkolwiek nie wiem jeszcze, o czem tu mowa. Wsłuchuję się uważnie i chwytam zaledwie kilka napuszonych frazesów, parę nazwisk, znanych w świecie naukowym, coś w rodzaju rozumowania *contradictio in adjecto*. Nie mogę wszakże

http://rcin.org.pl

zrozumieć, o co tu chodzi. Wreszcie wyłowiłem z trudem kilka niezrozumiałych słówek: „ekspropryacya“, „pauperyzm“ i t. d.

Mówi Zanicz i okrasza swą oracyę makaronikiem angielskim, zapewne zapożyczonym z tej książki, którą u niego widziałem. Dowodzenia jego robią wrażenie nowości na słuchaczach.

Zanicz bawi się filuternie binoklami, wymachuje długimi palcami, wygina się co chwila ku pannie Helenie i mówi potoczyście, nie zająknąwszy się ani razu.

— Tak, moje panie — kończy. — Jedynie zjednoczenie sił produkcyjnych wedle pewnego planu może doprowadzić do postępu. Jednostka jest zerem.

— Zerem?—zapytałem ze zdziwieniem.

— Niestety, panie Zaliwski — uśmiecha się Zanicz, szczęśliwy, iż może mnie oślepić nowością.

— A cóż wobec tego znaczy wolność indywidualna, „szlachetne zapasy o pierwszeństwo“, ów egoizm w pojęciu dodatniem?

Nie dał mi skończyć, powtórzył kilka zdań z poprzedniej mówki i nie troszcząc się wcale o to, że ja nic absolutnie nie zrozumiałem, zwrócił się do drugiego oponenta.

Nie daję za wygraną; zbieram szybko dowody i zwracam się z nimi do Zanicza. Ten

http://rcin.org.pl

powtórzył po raz trzeci owe zagadkowe twierdzenia. Po nim zabrał głos drugi i mówiąc spokojnie i trzeźwo, z pewną miękkością w głosie, stara się mnie przekonać, że Zanicz ma racyę.

Odczuwam pewne zakłopotanie i czuję, że po ich stronie jest więcej słuszności. Ambicya nie pozwala mi wszakże przyznać się do tego. Im mniej pewny jestem, tem kategoryczniej się odzywam. Spostrzegam wkrótce, że mój sposób myślenia jest zupełnie odmienny, że z dwóch przeciwnych stron zapatrujemy się na rzecz i że wreszcie język nasz jest nawet do pewnego stopnia inny. Ja w ich sposób rozumowania wmyśleć się nawet nie potrafię i bezwiednie powtarzam całe zdania wyczytane kiedyś podczas bezsennych nocy. Uwierzyć w to nie chcę, by to, czem żywiłem mój umysł przez tyle lat, miało być czczem słowem. Po prostu brak mi argumentów.

Dziwny charakter nosi ta rozmowa: Oni zda się wypowiadają, w uczonej formie „pauperyzmów“, „ekspropryacyi“ i licho wie czego, myśli, do których ja sam doszedłem ciężką drogą życiową, kosztem własnego zdrowia, umysłu i serca. Tak, oni mówią coś podobnego, a ja im zaprzeczam.

Nawet Zanicz, ten głupi Zanicz, powiedział:

— Jednostajne i monotonne zajęcie, spowo-

http://rcin.org.pl

dowane podziałem pracy i maszyną, ogłupia człowieka.

Ja kiedyś powiedziałem, że robi małpą, a teraz zaprzeczam mu. Skąd on, skąd on doszedł do tego?

— Nieprawda! — krzyczę. — Praca uszlachetnia.

Zdanie to było wprost wyjęte z elementarza.

Ledwo Zanicz skończył, a rzuca się na mnie drugi. Mówi piskliwym, ironicznym głosem i górę dowodów stacza na mą głowę. Po nim zabrał głos poważny jegomość; radzi mi przeczytać tę i ową książkę i nie wygłaszać sądów dawno pokonanych przez naukę.

Zaczyna mi się już w głowie kręcić, tracę wątek myśli i nie wiem, co odpowiedzieć. Obsaczony ze wszystkich stron, mieszam się, i pomimo że zbieram dowody z szalonym wysiłkiem, czuję, że muszę uledz. Jak to zwykle w takich razach bywa, wpadam w złość i nie mając argumentów, zaczynam ratować się zgryźliwością.

Lecz i na tem polu mnie pobito. Po prostu kręcę się, jak piskorz w sieci. Nie potrafię już zdania rozsądnego skleić, a rumienię się przytem jak żak. Najchętniej biłbym teraz.

Otóż już mam nowy dowód, lecz zaledwie głos zabiorę, potrącę o to, com chciał powiedzieć, i zaplączę się we własne słowa; zbaczam wnet z drogi i mówię już Bóg wie o czem.

http://rcin.org.pl

Urwałbym może i zamilkłbym, gdyby nie to, że naprzeciwko mnie siedzi panna Helena.

Krążę tedy uparcie koło mej myśli, nie mogąc dobrnąć do środka, jąkam się niemożliwie, przepraszam co chwila słuchaczy, ilustruję swój sąd niedorzecznymi przykładami, powołując się na zdrowy rozsądek; aż wreszcie myśl się rozproszy i cała budowa rozumowania runie. Zaczynam pleść już koszałki.

— Ee!—grymasi zniecierpliwiony Zanicz.

— Przepraszam... bardzo proszę... Weźmy naprzykład (Niech to państwa nie nudzi). Ale weźmy dajmy na to człowieka... (Pan się niepotrzebnie krzywisz, panie Zanicz). Otóż weźmy naprzykład chłopa, który orze ziemię (Czego pan się śmiejesz?) Orze ziemię, mówię... (Czym może źle powiedział?) Orze ziemię... A drugi sadzi buraki...

Zębami zgrzytam ze złości, słysząc jak się ze mnie śmieją. O, gdybym ja ich dostał przed rokiem bodaj, dałbym sobie z nimi radę. Dziś mogą drwić bezkarnie.

— Bardzo przepraszam!—krzyczę niezmordowanie, przerywając Zaniczowi. — Weźmy naprzykład tych dwóch chłopów... I cóż?

Zanicz spojrzał na mnie z ironią i wycedził:

— Jeden orze ziemię, drugi sadzi buraki...

— Tak jest, właśnie... Otóż jeden...

— Sadzi buraki—wtrąca Zanicz.

http://rcin.org.pl

Już dygoczę ze złości i zagryzam wargi, by nie wybuchnąć. Muszę nawet zmrużyć oczy, by ukryć łzy. Spoglądam przed siebie i widzę, jak Hela mieni się na twarzy, wstydząc się za mnie. Daje mi nawet znak ręką, bym zamilkł i potwierdza ten gest zmarszczeniem brwi.

— Cóż z tego wynika? — pytam dalej, jak gdybym był gotów wyciągnąć konsekwencyę z mych słów.

Zanicz mi odpowiedział:

— Oczywiście buraki.

Tego było już za dużo. Nadomiar złego Hela, chcąc ukryć zmieszanie, zwraca się do Zanicza i obdarza go miłym uśmiechem.

Zerwałem się z krzesła i wyciągnąwszy kułak ku Zaniczowi, krzyknąłem:

— Ja ci, szelmo, zęby kiedyś powybijam!

Zapanowała cisza grobowa. Ja oprzytomniałem i wymykam się z sali. Z przedpokoju pochwyciłem jeszcze te słowa:

— Trudno, i demokratyzm ma swoje niemiłe strony.

Wybiegam na dwór i staję na środku ulicy. Nie mogę się zoryentować, gdzie się znajduję, w której stronie mój dom. Nagle, jakby myślą jakąś porażony, biegnę co sił, wpadam do bramy, przeskakuję po kilka schodów naraz: już jestem u siebie. Drżącą ręką zapalam lampę i chwytam pierwszą książkę z brzega.

http://rcin.org.pl

Uczułem szaloną i waryacko nagłą potrzebę nauki. Od dziś już zacznę — myślałem — od tej chwili. Ja muszę się uczyć, by nie wolno było mną poniewierać byle komu, by nie stać się zwykłą małpą do posługi maszyny... Muszę, bom to sobie zaprzysięgał!

Otwieram książkę i wychwytuję pierwsze zdanie z brzega.

Nic nie rozumiem!...

Czytam po raz drugi — toż samo. Czytam trzeci, czwarty i piąty raz, a wątku precz pochwycić nie mogę.

Pamiętam to zdanie na pamięć, pamiętam je dziś jeszcze.

„Ure tak się wyraża o maszynie do drukowania perkalików: Nareszcie przemysłowcy postarali się wyłamać z pod nieznośnego prawa. W tym celu zwrócili się do nauki i znów zostali przywróceni do należytych praw swoich".

Tak, pamiętam znakomicie, pamiętam, z jakim uporem powtarzałem to zdanie:

„Ure tak się wyraża o maszynie do drukowania perkalików... Ure tak się wyraża o maszynie...

Nie rozumiem!... Boże wielki, Boże miłosierny, zlituj się nade mną!... Ja nie jestem jeszcze idyotą. „Ure tak się wyraża o maszynie do drukowania perkalików...

Podejrzewałem, iż w tem zdaniu kryją się

http://rcin.org.pl

abstrakcyjne spekulacye, część zawiłego rozumowania, którego rozplątać nie mogę. Słyszę słowa, lecz nie chwytam treści. A tę wydobyć musiałem, by sprawdzić swe władze umysłowe. Może nigdy nie zdobyłem się na tyle zapamiętałego uporu, jak przy powtarzaniu tego niewinnego zdania:

„Ure tak się wyraża... Ani słówka nie rozumiem.

Przeczytałem raz jeszcze to zdanie. Łzy zbiegły mi do oczu, spazm gardlany głos mi zatamował. Upadłem na łóżko i ukrywszy twarz w poduszce, darłem się, jak opętany:

„Ure tak się wyraża o perkalikach!...

---

http://rcin.org.pl

VIII

Obudziłem się około południa. Pierwszym moim czynem było przeczytanie wczorajszego ustępu. Przeczytawszy nie roześmiałem się, ani nawet ramionami nie wzruszyłem. Przejrzałem spokojnie, z takimże spokojem położyłem książkę na półkę i wyszedłem na ulicę.

Jeśli to prawda, że można czasami wcale nie myśleć, to ja wtedy nie myślałem. A chwile takie bywają bez wątpienia. Jest to znów nuda — wszakże nie to, co męczy filistrów w niedzielę, damy salonowe w dzień, lecz nuda, wobec której każda myśl o ziewanie przyprawia, każdego człowieka mdłym i wstrętnym czyni.

Coś podobnego i ja odczuwam.

Oto ulica moja zawsze i wiecznie jednakowa (mój świat nigdy się nie zmieni). Na rogu stoją, jak zwykle, trzy dorożki, numery: 325, 586 i 1232. Codzień je tu widuję. Znam twarze dorożkarzy i maść ich koni. Naprzeciw mnie idzie piekarz.

http://rcin.org.pl

Znam go dobrze, znam nawet jego historyę: ożenił się dwa lata temu i ma, rozumie się, dwoje dzieci; żona jego choruje na zęby. Zawsze na powitanie powtarza mi z jednakowem brzmieniem: „dzień dobry, kochanemu sąsiadowi“. Oto podchodzi do mnie i mówi słowo w słowo toż samo. Kilka kroków dalej bawi się gromada dzieci. Spotykam je tutaj codzień w południe i znam je po imieniu. Jeden Józiek, syn praczki, ma wykrzywione buty i łatę na prawym kolanie; drugi, Wojtek, ma spodnie przerobione z garnituru ojca (pamiętam, że ojciec jego nosił przed rokiem takie ubranie); dalej Anusia, córka szwaczki i nieznanego ojca. Podchodząc do nich, przypominam sobie to wszystko i wiem, że oto podbiegną i będą prosili o stare śruby.

— Panie, śruby — wołają i dziś piskliwym głosem.

Dalej pies wygrzewa się na słońcu: codzień w południe tu leży. Spostrzegłszy mnie, podchodzi, kręci ogonem i powraca na swe miejsce.

Zupełnie jak wczoraj. Bodaj że pies ten zachorowałby ze zdziwienia, gdyby mnie którego dnia tu nie spotkał.

Takiem jest i moje życie. Oto mój świat, oto wrażenia, których doznaję! Chodzę, jak po deptaku z fabryki do domu, z domu do fabryki, a pozostałego życia akurat tyle, ile po drodze okiem zachwycę. Tyle i treści w tem wszystkiem: pra-

http://rcin.org.pl

cuję na to, by mieć co jeść, a jem na to, by módz pracować. W tym kołowrotku kręcę się, jak wiewiórka w klatce zamknięta. I poza tem nic, coby jakimśkolwiek, bodaj najmarniejszym pokarmem dla ducha było.

„Kręcę dziury w żelazie, by mieć co jeść; jem, by módz je dalej kręcić". Gdybym przez pół godziny to zdanie powtarzał, już z monotonności mógłbym dostać bzika; a ja to w czynie powtarzałem przez dwa lata i jeszcze żyję: I tak żyć będę nadal.

Nie mogłem dłużej na ulicy wytrzymać i wróciłem do domu, by się położyć (jest to sposób, w jaki ostatnimi czasy zabijam wolne chwile). Niedługo jednak leżałem: wnet podrzuciło mnie coś na łóżku i postawiło na równe nogi. Nie mogę się zoryentować, co było powodem tego.

Chwytam za czapkę i z tego ruchu nie zdaję sobie sprawy. Dopiero spojrzenie na zegarek wyjaśnia mi rzecz całą: biła pierwsza godzina, a w tym czasie biegnę zwykle do fabryki. Konia do bębna przyuczą, dlaczegóżby człowieka nie mogli?

Dalsze rozmyślanie snułem pod drodze do fabryki: nogi mnie tan poniosły.

Sądząc z rybiego spokoju, jakim się obecnie cieszę, możnaby było wnosić, iż to co zaszło, nie pozostawiło po sobie najmniejszego śladu. Wszakże pod tą powłoką spokoju dzieje się ze mną coś

http://rcin.org.pl

niezwykłego. Nieraz wpadam w takie odrętwienie, że nie wiem, gdzie się znajduję, nie słyszę huku maszyn, ani nawoływań majstra (a jednak pracuję przytem). Gdy ocknę się, mam wrażenie, jakbym ze snu gorączkowego się obudził. Zdaje mi się, że układam wtedy jakieś plany, że coś knuję; nie mogę jednak przypomnieć potem co było, o czem właściwie myślałem.

Z maszyną rozmawiam bezustanku o Heli. Raz ona mnie drażni, naśladując jej głos, to znów pociesza mnie, innym razem pieści się ze mną zalotnie.

Jakże ja zaczynam nienawidzieć Heli, tą złą fałszywą nienawiścią, taką co to całować i bić gotowa, dręczyć jak psa, i pieścić jak dziecko.

Poszedłem wreszcie do niej, choć sam, dalibóg, nie wiedziałem, po co idę. Chciałem ją wprost zobaczyć, podrażnić się jej widokiem, uśmiechem czy zakłopotaniem, miłością, czy też opryskliwym tonem.

— A to pan?—zawołała ze źle udanem zdziwieniem.

— Ja... bo... tego... chciałem zobaczyć, co też słychać u pani?

Ta kobieta odbiera mi resztkę rozsądku i robi ze mnie niezdarne, ślamazarne bydlę.

— U mnie nic nowego — odpowiedziała niedbale. — A u pana?

— Wiecznie to samo.

http://rcin.org.pl

— Jakże Michaś?

— Zdrów, dziękuję.

Rozmowa urywa się co chwila. Po każdem pytaniu następuje odpowiedź i nic ponad to, aż póki nie zdobyłem się na odważne pytanie:

— Pani bardzo mi za złe bierze moje wystąpienie wówczas?

— Staram się o tem zapomnieć.

— A inni?

— Co inni myślą, nie wiem.

— Bo to widzi pani...

— Panie Kazimierzu, nie mówmy o tem.

— Jednak ten wygadany młokos...

— Bardzo inteligentny człowiek.

— Czy tak?

— Tak.

— Nie może być? Inteligentny, inteligentny!... Osioł inteligentny!...

— Panie?!

— Do widzenia, pani, panno Heleno... Do widzenia... Osioł inteligenty! Ha, ha!...

Zdumienie nie pozwala jej przyjść do słowa. Ja śmieję się bez końca, a jednak z szaloną ochotą biłbym ją teraz.

A, jakżebym ją stłukł!

Posyłam jej na pożegnanie całusa i śmiejąc się, odchodzę.

— Osioł inteligentny!... Moja ty pieszczoszko...

http://rcin.org.pl

Wyobrażam sobie, w jakiem zdumieniu ją pozostawiłem. Po drodze zatrzymałem się kilka razy i namyślałem się, czy nie wrócić do niej i nie dać folgi temu uczuciu, co we mnie kipi.

Potrzebuję odwetu, chociażby kosztem swego życia. Ona gardzi i odwraca się ode mnie, bo widzi, żem przy maszynie geniuszem się nie stał, że nie jestem takim, jakim mnie widzieć chciała, bo spadła ze mnie dekoracya człowieka i inteligencyi i stałem się chamem fabrycznym.

A więc dobrze. Pokażę ja ci, że jestem takim tylko chamem, że nie umiem ocenić twego pięknego serduszka i mądrej główki. O jakże żałuję, że nie jestem Andrzejem.

— Słuchaj! — pytam go nazajutrz — cobyś ty zrobił, gdyby kobieta porzuciła cię dla innego, który ładniej gadać potrafi i więcej umie od ciebie?

— Niby dla wyszczekanego paniczа?

— Aha.

— Plunąłbym i tyle.

— I ja tak zrobię.

— Z dziwkami nie trza robić wielkich hec. Nie chcesz, bierz cię licho! Inaczej się narowią. A wisz, Kazik, co? Dureń jesteś i tyle. Tobie się zdaje, że oni ci zawsze basować będą. Zobaczysz, że ci niedługo powiedzą: „Adiu-fruziu“. Tamci widzisz nic nie robią, więc mogą jej cały dzień smalić, a ty?... Wiesz, Kazik, co ja ci powiem? Pluń!...

http://rcin.org.pl

— Zrobię to, dziś jeszcze to zrobię.

— Powiedz im, żeby ich cholera... Dobrze? A jak przyjdzie potrzeba bicia, to już ja początek zrobię.

Tego wieczora pobiegłem do panny Heleny.

— Ośmielę się pana prosić, by te wizyty były możliwie rzadkie. Naraża mnie to wobec ludzi.

Tak mnie przywitała.

Nie odpowiedziałem jej ani słowa, zacisnąłem tylko zęby i siadłem na krzesełku. Patrzę na nią i śmieję się takim śmiechem, że ona aż blednie ze strachu.

— Pani się boi — zacząłem — by jej nie posądzono o stosunek z robotnikiem.

— Panie!... Tam są drzwi.

— Znajdę je potem sam.

— Proszę wyjść w tej chwili.

Słowa były groźne; ale wypowiedziane lękliwie, prawie jako prośba. A ta pokora sprawia mi przyjemność. Powstaję z krzesła i zapinam bluzę, chcąc ją przez chwilę utrzymać w obawie.

— A teraz, słuchaj panna.

Zdobyła się zaledwie na królewski gest ręką, wskazując mi drzwi.

— Nie tak wyniośle, moja panno. Zamykam drzwi, a panna możesz krzyczeć, ile się jej spodoba. Chociaż ja przyszedłem ci tylko prawdę powiedzieć. I płaczesz panna niepotrzebnie, bo mnie to nie rozczuli. Uczonym nie jestem, na de-

http://rcin.org.pl

likatności uczuć nie znam się i dalibóg, nie potrafię odróżnić, co ten płacz znaczy: „chodź tu“, czy też „idź precz“.

Rzuciła się ku mnie z gestem oburzenia. Ale ja schwyciłem ją za obie ręcę i ściskając je z całych sił, wołałem:

— Toć mógłbym w proch zgnieść ciebie!... I czego się wijesz? czego krzywisz usta? kiedy ci jeszcze nic nie powiedziałem... Słuchaj panna, kochałem ciebie.

— Puść mnie! Ja nie chcę słyszeć...

— Milcz!... Mógłbym być twoim kochankiem, gdybym ci potrafił wiecznie imponować. Ale nie żałuję, że się tak nie stało. O nie! I nie myśl, panna, że przyszedłem tu gorzkie żale śpiewać... Jeśli panna chcesz wiedzieć, to ja pluję na twoją miłość... Ja, robotnik, ja, cham, pluję na was wszystkich... I na pannę razem z jej miłością!

Wtedy dopiero puściłem ją. Uciekła na sofę i ukrywszy twarz w dłoniach, wybuchnęła cichym płaczem. Widziałem, jak drżała na całem ciele. Byłbym może nie zniósł tego widoku i pożałował swego okrucieństwa, gdyby nie to, że w tejże chwili wszedł Zanicz.

— Jesteś!—huknąłem, zbliżając się do niego.

Ten zbaraniał zupełnie i nie wie, czy ma uciekać, czy ratować pannę Helenę.

http://rcin.org.pl

— Panie Zanicz — westchnęła błagalnie Hela, zanosząc się od płaczu.

Zrozumiał wreszcie, iż cofać się tu nie można. Wsadził binokle na nos i próbuje mnie pokonać groźnem wejrzeniem.

— Zrzuć binokle — mówię — bo ci sam je strącę.

— Co?!

— Mam ci powtórzyć? — zasyczałem.

— Waryat — mruknął wzgardliwie.

Dzikie zwierzę budzi się we mnie. Łapię go za bary i mówię bez sensu, mieszaniną prośby i wściekłości.

— Widzisz... widzisz, niedobry człowieku. Sam mnie wyzywasz. Twoja podła gęba nie pozwala mi darować obrazy. Wszak ci obiecałem, że ci zęby wybiję... Pamiętasz?

Trzęsę nim, jak snopem i czując swoją przemoc fizyczną, znęcam się nad nim nielitościwie.

— Łotr! — krzyczy Zanicz.

— Taak?... Chodźno tu... Daj łeb. Widzisz, tu o komodę tłuc nim będę. Tak!... Widzisz bydlę!... Skamlej, skamlej!... Proś Helci o ratunek...

On szamocze się, jak piskorz w moich rękach, lecz ulegać musi. Chwyciłem go lewą ręką za kark, prawą położyłem mu na czaszce i tłukę nią jak młotem o kant komody.

Ona próbuje oderwać mnie od mojej ofiary.

http://rcin.org.pl

— Odejdź, sroko, bo i ciebie będę bił...

Gdy mi sił już prawie brakło, rzuciłem Zanicza jak stary grat w kąt pokoju i zwróciłem się do osłupiałej Heli, która jeno ręce przed siebie ze strachu wyciąga.

— Wiesz, kto to zrobił, kto pokaleczył tego inteligentnego człowieka? To ja, cham. Chcesz wiedzieć, dokąd pójdę teraz? Do szynku... Do widzenia, towarzyszko... Tfu...

---

http://rcin.org.pl

IX

Ledwo świt, a stałem już przy swej bormaszynie. Co tu się zdarzyło, tego powiedzieć nie potrafię, gdyż do dziś dnia zoryentować się w tem nie mogę.

Stałem widocznie w zwykłem odrętwieniu, w tym półśnie, w jakim machinalnie podnosiłem i opuszczałem rączkę maszyny. Zdaje mi się, że wołano na mnie, że mnie ktoś pchnął czy uderzył; usłyszałem głuchy trzask i straciłem przytomność. Obudziłem się u szwajcara, gdzie bandażowano mi głowę. Potem znalazłem się w kantorze wobec dyrektora, następnie wypłacono mi z kasy kilka rubli i powiedziano, że jestem wolny.

Leżałem w łóżku przez trzy dni; czwartego rozpocząłem włóczęgę po fabrykach. Podobne wędrówki odbywałem już nieraz. Odżyły mi one w pamięci, a wraz z niemi wszystkie zdarzenia ostatnich dwóch lat.

Poszukiwania pracy uwieńczone zostały je-

http://rcin.org.pl

dynym skutkiem, nauczyłem się mianowicie na pamięć następującego zdania:

— Tam przed bramą setki takich czeka.

Powtarzano mi to na różne sposoby. Raz spokojnie, to znów niecierpliwie, gdzieindziej ze współczuciem; miejscami wskazywano tylko palcem na świat szeroki.

Na mieście spotykam znajomych, dawnych kolegów i przyjaciół. Jedni udają, że ich coś na przeciwległej stronie ulicy mocno zainteresowało, drudzy spoglądają pobożnie w niebo, wpatrują się pilnie w wystawy sklepowe. Wszystko dlatego, bym ich nie zechciał czasem zaczepić w brudnej bluzie. Zbyt dobrze to widzę i zbyt dobrze rozumiem. Zdziwiło mnie też niepomiernie, gdy redaktor „Postępu" pierwszy mnie zaczepił i począł wypytywać, co u mnie słychać i czemu nie piszę. Zaciągnął mnie nawet do mieszkania. Rozmawialiśmy z początku o rzeczach potocznych. Redaktor nie mógł się wydziwić zmianie, jaka we mnie zaszła.

— Wtedy — mówił — zrobiłeś pan na mnie wrażenie zdrowego człowieka. Dziś widzę jakieś rozdrażnienie, czy też... Sam nie wiem jak to nazwać. Powinieneś się pan leczyć.

— Chwilowe rozdrażnienie. Nic więcej.

— Chwała Bogu, że chwilowe... Ale, ale, czytałeś pan ostatni numer?

— Nie czytuję obecnie gazet.

http://rcin.org.pl

— Zapewne, przy pańskiem zajęciu... A jest tam ciekawy artykuł bardzo obiecującego człowieka. Nazywa się Zanicz.

— Ten!?

— Czemu się pan dziwisz? To bardzo inteligentny człowiek.

— Ja go uważam za idyotę.

— Ależ panie! To człowiek z olbrzymią przyszłością.

— Ja go uważam za idyotę — powtórzyłem z uporem.

— Przyznam się panu, że to dosyć dziwne.

— Jednak on jest idyotą — powtórzyłem po raz trzeci, czerwieniąc się ze złości.

— Nie rozumiem, nie rozumiem. Zresztą dajmy temu pokój (widzę, żeś pan bardzo rozdrażniony). Sprowadziłem pana umyślnie, by zapytać, czemu pan nie pisze. Zapewne, pański arykulik, mówiąc między nami, był dosyć dyletancki; wszakże z czasem... Tam były zarodki, nad którymi warto było popracować. Wówczas mówiłeś pan o swoim zawodzie technicznym i to z takim przejęciem, że nie próbowałem namawiać pana do czego innego. Przed kilku dniami wpadła mi znów do ręki pańska bajeczka, no i korzystając ze spotkania...

Tu począł się rozwodzić długo i szeroko nad potrzebą wykształcenia. Mnie aż coś podrywa

http://rcin.org.pl

na krześle. To blednę, to czerwienieję naprzemian.

— Dużo dyletantyzmu — mówił redaktor — ale przytem wiele talentu. Pisane to było bardzo ładnie. Gdybyś pan nie obrał drogi technicznej, namawiałbym pana na publicystykę... Co panu jest, panie?

— Nic, nic... Niech pan sobie nie przeszkadza.

— Jakżem się przestraszył. Czy pan nie miewąsz czasem ataków sercowych? Powinieneś pan leczyć się koniecznie.. Otóż, jak powiadam: dużo temperamentu dziennikarskiego, a przytem, jak sądzę, niemałe zdolności... Panie, ja się boję... Co się z panem dzieje?

— Nic wielkiego. Proszę o... szklankę wody. Niech pan sobie nie przerywa.

— To już chyba kiedyindziej dokończę.

— Proszę — mówię błagalnie, ujmując go za rękę.

— No, krótko, węzłowato: Gdybyś się pan był kształcił, mógłby z pana wyjść publicysta pierwszej wody, który temby się różnił od dzisiejszych, że robiłby to nie tylko z potrzeby, lecz dzięki prawdziwemu powołaniu... Już znowu! Czy pana co boli? Uspokójże się pan.

Przy ostatnich jego słowach schwycił mnie dreszcz febryczny. Drga mi każdy muskuł twarzy,

http://rcin.org.pl

dolna szczęka dygocze tak silnie, że aż zębami dzwonię.

— Dzię... dziękuję panu — wyjąknąłem; podaję mu rękę na pożegnanie.

Ten patrzy na mnie i kiwa głową.

— Czemu?... — zacząłem i urwałem natychmiast.

— Chce pan co powiedzieć?

— Nic... Tak tylko... Do widzenia.

Byłem już we drzwiach, a odwracam się do niego raz jeszcze.

— Czemu... czemu wy...

Urwałem znowu.

— Czemuście ze mnie eunucha zrobili?... Czemu!?

Dostałem spazmu histerycznego.

Redaktor zląkł się o mnie na seryo i posłał po doktora; poczem odwiózł mnie sam do domu. Zabawił u mnie przez chwilę, a wychodząc obiecał, iż przyśle tu kogo z młodzieży. Jakoż niedługo czekałem; wkrótce zjawili się dwaj, z minami okazującemi przejęcie się swą misyą.

— Jakże się czujecie?—pytali już we drzwiach.

— Znakomicie. Jeśliście panowie przyszli wmawiać we mnie chorobę, to zbyteczne.

Cokolwiek ich to zmieszało. Po krótkim namyśle weszli jednak do pokoju.

— Jesteście obecnie bez zajęcia?

Odpowiadam im opryskliwie.

http://rcin.org.pl

— Szukam.

— Z jakimże skutkiem?

— Z żadnym.

Powtórzyłem owo zdanie, jakiem częstowano mnie w fabrykach.

— Otóż to — mruknął jeden. — Armia zapasowa.

— Coo?

— Armia zapasowa. To się tak nazywa.

Zadowolony widocznie, że zdarza mu się sposobność do mówki, puścił się na teoretyczne rozprawy. Wchodzi na to Andrzej i zrazu zaciekawiony, staje na środku pokoju, kładzie ręce w kieszenie i słucha z uwagą. Nudzi go to szybko i przerywa zapytaniem:

— Nie masz, Kazik, czego do żarcia? Jeść mi się chce.

Mówca urwał i spojrzał wzgardliwie na Andrzeja.

— Wiesz Andrzej? — mówię. — Ja jestem obecnie żołnierzem armii zapasowej.

— A no, i ja jestem także.

— Widzisz, że nie rozumiesz; to inna armia.

— Inna? A bierz ją licho.

Gość spogląda na nas obu i czuje widocznie, że lepiej byłoby milczeć. Chętka gadania przemogła wszakże. Jął coś dowodzić o ludzie roboczym. Ten młodzieniec jest mniej uczonym od Zanicza i wyraża się naiwniej. Z gmatwaniny

http://rcin.org.pl

frazesów, jakimi sypie naokoło, przebija to, czego się domyślałem podczas ostatniej dysputy: zupełna sprzeczność z tem, co dawniej wygłaszali.

— Więc tamto? — przerwałem mu.

— Ach, tamto...

— Poszło w kąt?

— Straciło racyę bytu u nas.

— I dostało dymisyę z pańskiej głowy?

— Tylko ciasne głowy stare hasła zatrzymują.

— Szerokie kują sobie nowe?

— Nie kują i nie tworzą nawet, tylko uszu nie zatykają przed niemi.

— Otóż to — pochwycił jego towarzysz.

— A stare hasła na szmelc? — pytam ich dalej. — Żyd kupił? Nie bójcie się i żyd ich nie kupi... Co zaś do nowych to: kupić nie kupić, potargować można. Otóż proszę mi wprzód odpowiedzieć, skąd wy do tego przychodzicie, wy, coście niedawno w inną dudkę dęli?

On rozstawił ręce i wycedził zwolna:

— Zmieniliśmy zdanie.

— Tak też pan mów! To właśnie chciałem od was usłyszeć. A wiecież, czemuście to zrobili?

Boście spostrzegli, że tamto pleśnieje, że na te grzybki nikt złapać się nie da. A wy musicie być przecież na przedzie, sztandar dzierżyć, hufce prowadzić... Ja wasze zużyte dziś hasła brałem na seryo i w czyn je chciałem wprowadzić, za to

http://rcin.org.pl

awansuję dzisiaj na szeregowca waszej armii... Ale prawda, to już nie wasza armia. Wy od godziny już innymi jesteście, a szeregowcowi, co w waszej wojnie rozum stracił, rzucacie tylko: „Zmieniliśmy zdanie...“ Ja życia swego zmienić już nie mogę! Rozumiecież wy to dobrze, wy, dowódcy wszelakich tam armii? Rozumiecie, co znaczy nie módz życia zmienić i cierpieć dlatego, że jenerał był wczoraj innego zdania!?... Życie to nie zdanie, nie sąd, to nie jest teoretyczna paplanina świerzbiących języków! Ono się zmieniać, poprawiać i przekreślać nie da.

Straciłem już panowanie nad sobą i podsunąwszy mu kułak pod oczy, krzyczę:

— Gdybyście mi nawet do prawdy dotarli, gdybyście mi wołali: patrzcie, oto prawda, na którą przysiądz możemy, oto niezbita niekłamana pewność, to i wtedy nawet skopię wasz ideał nogami, oplwam, zbezczeszczę, dlatego tylko, że z waszej wyszedł on kuźni!...

— Toż to konserwatyzm — pisnął drugi panicz.

— Ty ciasny łbie!... konserwatyści, liberali, radykaliści... Dokądże wy mleć to będziecie? Kierujcież wy wszyscy, jak się tam nazywacie swoją trzodą, a baczcie byście jej nie stracili. Czem jenerał bez wojska, tem będzie inteligent tam, gdzie głupców zabraknie.

http://rcin.org.pl

Andrzej widzi, z jakim zapałem mówię, jaka wściekłość mną miota, jak biegam po pokoju, wygrażając pięścią — widzi to wszystko i zdaje mu się, iż powinien przyjść mi z pomocą. Jakoż, gdy obrażony gość roztworzył usta, by coś powiedzieć, Andrzej kładzie mu rękę na ramieniu i mówi flegmatycznie:

— Milczeć, milczeć, bo na gębę wlazę.

Ta surowa interwencya podziałała znakomicie. Panicze powstali z miejsca i jak oparzeni wynieśli się z pokoju.

Andrzej nie darował im wszakże.

— Kazimierz, ja ich ze schodów skantuję. Tak, dla przestrogi... Hę?...

I, nie czekając odpowiedzi, wybiegł do sieni. Po chwili usłyszałem szamotanie się i dwaj inteligenci, jak dwa tłomoki, stoczyli się z hałasem na dół.

Upadam na łóżko i śmieję się z całego serca.

— Ja jestem żołnierzem armii zapasowej, ciebie Andrzej mianuję za waleczność porucznikiem.

— Michasia robię gefrajterem — woła Andrzej.

Śmiejemy się jak dzieci, a z nami śmieje się i Michaś.

— Chcecie chłopcy wiedzieć, co znaczy owa armia? Chodźcież, to wam wytłumaczę. Tyś się, Andrzej, na wsi chował?

http://rcin.org.pl

— A no...

— Znasz mroźne noce zimowe, noce, gdy mróz tak silny, że aż gwoździe z chałupy wychodzą, ręce tak grabieją, że ni palcem nie ruszysz, skóra ci nawet cierpnie na karku?...

— A no...

— Widziałeś może w taką noc stado wilków? Jak stoją czas jakiś, szyję wyciągną i wyją przeraźliwie, jak potem niespokojnie naokół biegają i jak ich ślepie migocą w ciemnościach niby błędne ogniki?

— Ojoj...

— Takie stado głodnych wilków to owa armia, a my jej żołnierze.

— A malec gefrajter — wtrąca rozbawiony Andrzej.

Pokładamy się wszyscy trzech od śmiechu.

— A wiesz, Michaś, czemu ludzie w takie noce z chałup nie wyłażą?

— Bobyśmy ich pożarli.

— Brawo, gefrajter!

I znów śmiech. Musi być w tem wszakże coś niezdrowego, gdyż naraz, bez widocznej przyczyny, urywamy. Michaś nawet zląkł się tego milczenia i spoważniał. Z piersi mojej dobywa się bezwiednie ciężkie westchnienie, jakby jęk stłumiony, co wprowadza Andrzeja w niezmierne zakłopotanie.

http://rcin.org.pl

Ofuknął się na Michasia, byle coś powiedzieć.

— Czego się gapisz na mnie, jak kozioł na wodę?

Usiadł potem markotny w kącie i nie odzywał się więcej.

---

http://rcin.org.pl

X

. . . . . .

. . . . . .

Dziś jestem werkmajstrem w fabryce pana Kwaśniewskiego. Protektor mój dotrzymał obietnicy, a że spełnił ją tylko częściowo, nie jego w tem pono wina.

— Na dyrektora masz pan za mało inicyatywy.

Oto co mi powiedział bez ogródek. Stosunek nasz zmienił się niesłychanie. Zamiast dawnej przyjaźni — sucha urzędowość, zamiast życzliwości — traktowanie z góry.

Na tyle rzeczy patrzyłem, tyle na sobie doświadczyłem, że wydaje mi się to bardzo naturalnem.

Ze znajomymi stosunków nie zrywam, gdyż teraz mam i ja swoją ambicyę. Zawszeć nie jestem ja zwykłym sobie werkmajstrem. Że traktują mnie tam z góry, śmieją się i wydrwiwają, o tem wiem aż nadto dobrze, a jednak chodzę do nich, choć

http://rcin.org.pl

wiem, że najchętniej wyrzuconoby mnie za drzwi. Wyrobiłem sobie pod tym względem pewien cynizm.

Niechaj się to wam nie podoba, niechaj to was złości, a ja stąd ani na krok nie ustąpię. Wyrzucić mnie nie możecie, bo... bo i ja szkoły skończyłem.

Taką miarkę miałem już dla siebie.

Cały mój stosunek z „inteligencyą“ ogranicza się na tem, że chodzę z nimi na spacer, jadam nieraz i służę za cel dla marnych dowcipów.

Dawniej (o, już bardzo dawno temu) umiałem odpowiadać na takie przytyki, potrafiłem płacić pięknem za nadobne. Dziś uśmiecham się głupkowato i cedzę wolno:

— A to bestya... panie tego.

Nazywają mnie wszędzie mistrzem.

Pannę Helenę spotykam na ulicy bardzo często. Ilekroć mnie zobaczy, odwraca się ze wstrętem. Mnie to, rozumie się, gniewa i mruczę sobie pod nosem:

— A to małpa... panie tego.

Andrzej wymyśla mi ciągle za to, że chodzę w cylindrze i w rękawiczkach, mówi, że wyglądam jak „piesek z ziurnalu“. Ja znowu uważam, że strój taki jest dla mnie, bądź co bądź, odpowiedniejszym od maciejówki robotniczej.

Dobry to chłop, ten mój Andrzej, tylko, że gderliwy aż do znudzenia. Nie cierpi naprzykład moich znajomych i mawia mi nieraz:

http://rcin.org.pl

— Ty, Kazik, myślisz, że ja taki łasy na nich, jak pies na sperkę. A ja tobie powiadam, że, gdyby do mnie przyszła która z tych zielonych małp, zarazbym ją ze schodów zwindował.

Aż wreszcie pokłóciliśmy się z nim na zawsze o ten cylinder.

Michaś kończy szkoły i ma zamiar studyować nauki społeczne. Temu chłopcu wydaje się, że na piramidę włazi, a jednak on w moje idzie ślady. Zauważyłem dawniej, że lubił strugać różne maszynki i zadaję sobie pytanie: czy los aby z nas nie zadrwił i nie przestawił naszych pionków na szachownicy życia.

Próbowałem z nim mówić, radziłem, by starał się lepiej poznać samego siebie i wtedy postanowiłem, by nie dał się porywać wiatrem, który na razie wieje.

Cóż, kiedy i on uważa mnie za starego idyotę.

Żyję ze wszystkimi, wciskam się tam, gdzie mnie nie chcą i nie potrzebują, a jednak czuję okropny brak ludzi. Jest mi nieraz ciężko, bardzo ciężko. Wiem, że nie jestem unikatem, i że takich, jak ja, są u nas całe legiony, takich, co to dla mądrych są za głupi, a dla głupich za mądrzy. Ci jednak najbardziej stronią od podobnych sobie.

Nieraz buntuję się przeciw samemu sobie i unikam tych, co mnie widzieć nie chcą. Samotność wszakże wyczerpuje szybko moje siły: po-

http://rcin.org.pl

trzebuję ludzi, chcę słyszeć głos ludzki, a poza nimi nie mam już nikogo.

Zwierzę zamknięte w klatce zdycha z tęsknoty.

I ja tak skończę.

Powiadają, że małpy na Ceylonie wyją, gdy zwierz się zbliża, jakby pod wpływem instynktu towarzyskiego.

I ja wyłbym nieraz.

W fabryce pracuję jak wół roboczy, jak nędzny, głupi wół. Dają mi jak najcięższe roboty, przy których nie trzeba „inicyatywy".

— Panie dyrektorze — bronię się nieraz — dopóty dzban wodę nosi...

— Wiem, wiem: Aż się ucho urwie. A wiesz pan, co ja z takim dzbanem robię?

— Niestety, aż nadto dobrze.

— A zatem radzę robić swoje. Słyszysz pan?

— Słyszę, słyszę...

— Jaak? Jak pan mówisz? Wróćno się pan.

— Słucham... proszę... pana.

KONIEC.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

W PUSZCZY.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Leżąc na półokrągłych belkach, przyprószonych zlekka sianem, ukradzionem szkapie na przednówku, zapatrzony w sylwetkę koguta, wydłużoną karykaturalnie w ciemności, wsłuchiwałem się w uderzania racic krowich w otwartej zagrodzie, w ustawiczne czochranie się krów o ścianę stodoły, sprawiające, że za każdym razem czułem się silnie kołysany na swem łożu i drżałem z obawy, by belki nie rozstąpiły się pode mną, strącając mnie gdzieś na dół, na kark świni, chrząkającej przez sen gniewnie i smętnie zarazem. Zresztą cicho było i ciemno, wprost przed sobą widziałem blady płomyczek,—domyślam się, że to gwiazda, i że w bocznej ścianie szczelina być musi. Do dnia było jeszcze daleko.

Zdrzemnąłem się, — gdy wtem nad moją głową załopotało coś, długa sylwetka skurczyła się, potem wyciągnęła się ku górze i rozległ się przeraźliwy wrzask. Pierwszy to raz kogut zapiał mi w ucho; długo musiałem się cucić, by zrozumieć,

http://rcin.org.pl

że to północ. Kogut skończył swój okrzyk, lecz długo jeszcze rzężało mu w gardle przykrym falsetem. Cisza, — po chwili znów łopotanie skrzydeł i nowy okrzyk, poczem znów rzężenie przeciągłe i pianie jeszcze głośniejsze.

Nakrzyczawszy się do syta, usadowił się wygodnie i usnął. Mogłem znowu podziwiać w ciemności jego wydłużoną sylwetkę, wsłuchiwać się w stąpanie krów, obijanie się ich o belki i w chrząkanie świni na dole.

Nie wiem, jak to się stało, żem się znalazł na ławie, przed chałupą.

Na dworze było chłodno i ciemno; gwiazdy świeciły małe i dalekie, bez migotliwego połysku; mur lasu, kołem otaczający polanę, czerniał jak otchłań; dla sennych oczu nie piętrzył się nawet ku górze, lecz jakby w dal się wyciągał, olbrzymią przepaścią, okalając dwie jedyne tu chałupy. Dalej widać było pofałdowany zębaty brzeg tej czarnej kotliny, wrzynającej się w tło cokolwiek jaśniejsze, po którem szły mętne smugi mgły czy też drogi mlecznej. Nie daleko chaty plama wielka, coś jakby cień ogromny, każąca się domyślać bryły bezkształtnej i dziwacznej:—tam za dnia dąb było widać. Na środku polany coś szarzeje, w dali nawet przyświeca, jak te smugi na niebie, i ginie w ciemnej otchłani:—to droga, wiodąca w głąb puszczy. Wokół świerszcze chórem grają.

Po prawej stronie wyszła z lasu grupa drzew,

http://rcin.org.pl

widać tylko dwa pnie i znów tylko czarną plamę. Wyszła ona z boru i posuwa się wyraźnie ku mnie, ilekroć opadną zmęczone powieki; gdy je roztworzę, usuwa się prędko, a gdy uporczywie tam się wpatruję, wydaje mi się, że te dwa pnie świecą jak próchno.

Czuję wilgoć przejmującą, czegoś się boję, pragnąłbym uwolnić się od ucisku jakiegoś, mimowoli wzdycham, głowa w tył mi opada, oczy kilka gwiazd drobnych na niebie pochwycą i tak się w nie zapatrzą, że w ich sąsiedztwie coraz to nowe odnajdują światełka. Chcę wrócić do chałupy, lecz wstać nie mogę: tu coś przykuwa i ruszyć się nie daje, zwłaszcza ta ciemnica w uszach mi szumi...

Gdym oczy otworzył, zmienił się obraz.

Nie widzę przepaści, lecz wyraźną, jeszcze równą ścianę boru z zębatym rąbkiem wierzchołków, odbijającym się na niebie, ni to szarem, ni sinem o tej porze. Niema w niem tej głębi, co wprzódy, ani tej wyrazistości gwiazd drobnych, jakby mgła biała rozpostarła się pod niem, przyćmiła gwiazdy i rozjaśniła cokolwiek horyzont. Wietrzyk słaby mógł ją przynieść, tak słaby, że niczem jeszcze poruszyć nie zdoła. Czuć go tylko w powietrzu.

I na ziemi, tuż ponad zagonami, rozjaśniać się poczęło. Noc schodziła z nich powoli, roztapiając się w powietrzu w szarość mglistą; równo-

http://rcin.org.pl

cześnie u dołu począł się wyłaniać kobierzec łagodnie kłębiących się oparów; nurzał się w nich pień dębu, zarysowującego się coraz wyraźniej i żerdzie, zatopionego do połowy płotu.

Jak zwarty szereg żołnierzy po skończonej mustrze, tak łamać się począł szereg drzew, tworzących dotychczas równą ścianę polany. Oto występuje świerk stożkowaty i wyciąga swe gałęzie, podobne do obwisłych ciemnych płacht; równocześnie kilka innych drzew z lasu wyjrzało: ówdzie buk, tu grabina, tam jesion. Nad niemi sterczą na pół nagie pnie sosen.

Z zachodu, kędy większy skrawek nieba widać, rozciągnęły się dwie chmury w dwie długie brózdy, z początku białe, potem tak nagle różowe, że mimowoli obejrzeć się trzeba było naokół. Kilka bladych gwiazd świeciło jeszcze na niebie.

Potem była długa chwila ciszy i spokoju.

Wtem coś odezwało się w lesie pośpiesznie, gadatliwie, trzpiotowato. Mała ptaszyna wystrzeliła do góry i, szamocąc rozpaczliwie skrzydłami, trzyma się w powietrzu i gwałt wielki czyni. Wtedy dopiero kogut się odezwał: raz, drugi, dziesiąty, poczem zaspane kury pogdakiwać zaczęły urywanemi głosy.

Zagadały wreszcie chórem kłótliwym, jakby jedna drugą namawiając do zeskoczenia z wysokiej grzędy; czuć w ich głosach wahanie, — która odważniejsza, zagdacze głośniej, skoczy i wrzesz-

http://rcin.org.pl

czy po drodze, przestraszona własną odwagą; za nią skacze i drze się druga: i tak wszystkie po kolei, z wielkim hałasem poczynają dzień Boży. Obudziło to świnie, mieszkające, w braku innego schronienia, w stodole. Nie czekając, aż im kto roztworzy, własnym przekopem wydostają się na świat. Wylazłszy z dziury, wciągną świeże powietrze ryjem, odchrząkną i maczając nosy w rosie, rozłażą się na wszystkie strony. Wstały świnie, pora i na psa. Pokazał się gdzieś z kąta, przeciągnął się, jak leniwy pastuch, wyprężając nogi, powlókł się na środek drogi, siadł tu i, tak siedząc, zdrzemnął się raz jeszcze.

Tymczasem z szarego tonu poranku wystąpiły barwy, poczerniały silniej podłużne chmury, ozłociły się wierzchołki sosen, zazieleniał mocno dąb, a słabiej jesion, posiniał świerk, pożółkła droga piaszczysta, zabielało kilka zagonów gryki, posrebrzył się owies, gęsto rosą nakrapiany, a kobierzec zeschłych liści i igliwia pod kępą drzew na prawo miedzianym zaiskrzył się połyskiem.

Ziemia była pulchna i wilgotna, wiatr łagodny dmuchał na polanę, przynosząc z lasu świeżość wielką i woń odżywczą poranku.

Wierzchołki sosen sterczały teraz ponad lasem jako złote świeczniki. Górą, muskając drzew korony, szła jasność żółtawa, przezrocza, rój ptactwa się kąpał w niej. Powietrze wypełniał świer-

http://rcin.org.pl

got niemilknący, jakby tysiąca drobnych dzwonków uderzanie.

Nakoniec zaskrzypiał żóraw studni, — pełne, ranne echo powtórzyło ten odgłos w lesie, jakby przeciągły kołat grzechotki, na znak, że i ludzie już wstali.

W kilka godzin później szedłem w towarzystwie leśnika, niby głębokim przekopem, w lesie po piaszczystej drodze, pooranej parami brózd kołowych.

Po bokach stały świerki ze zbitemi do kupy gałęźmi, jak obeliski, lub obwisłe, poczochrane i smutne, jak wierzby płaczące nad grobem; gdzieniegdzie bielały brzozy, sterczały wysmukłe buki, graby o potężnym pniu, widniał dąb wyniosły, lub proste, jak świece, sosny, ze skąpą, ku jednej stronie zgarniętą, koroną.

Stało to wszystko bezładnie, z sobą pomieszane, w gąszcze zbite i niezmiernie wysokie.

Dość spojrzeć na tych olbrzymów, by odgadnąć tę zażartą walkę o słońce: drzewa prześcigają się nawzajem we wzroście, jedno przez drugie stara się coraz wyżej ku niebu wystrzelić, by po nad inne swoją koronę rozwinąć. W gąszczy plączą się i czepiają gałęźmi, chcąc jakby podciągnąć

http://rcin.org.pl

siebie lub sąsiada przytrzymać. Byle wiatr w nie uderzył, a skrzypią i trzeszczą, ocierając się o siebie.

Niektóre drzewa mówią smutkiem wielkim: oto naprzykład nasza mazowiecka sosna, do litewskiej puszczy przeniesiona, a ocalała tylko dzięki temu, że nad brzegiem drogi wyrosła. Niższe jej gałęzie, w wężowych splotach kurczowo pokręcone, dziś nagie, martwe, konopiastemi brodami porostów obwisłe, świadczą o rozpaczliwych niegdyś wysiłkach. Dwa ramiona w swych wykrętach trafiły wreszcie na słońce, tu w wachlarz się rozrosły i żywią drzewo, na którem z jednej strony w szarych kiściach mchów śmierć już osiadła.

Dalej stoi jak kolumna kawał pnia, odartego z kory, o kilka kroków opodal runął grab przy drodze, grzyby go obsiadły, mech pokrył, paproć uczepiła się wyrwanych korzeni.

A droga wije w lesie, skręca to w prawo, to w lewo, miejscami się rozszerza i trawą porasta, to znów zwęża się gwałtownie i splotem zieleni omal że nie zamyka się u góry. Idziemy milcząc, kroki nasze szmery jakieś budzą z tyłu, jakby śladem naszym życie budziło się przy drodze.

Wędrowka ta nudzić wszakże niebawem zaczyna. Chwilami wydaje się, że to miejsce jużeśmy mijali; oto tenże pień, na który zwróciłem już dawniej uwagę, tenże buk olbrzymi, podobny jesion. Tymczasem idziemy wciąż dalej, droga

http://rcin.org.pl

wiedzie to w jedną, to w drugą stronę, przed oczyma przesuwają się ciągle te same drzewa, podobne pnie i wykroty. Przed każdym zakrętem spodziewam się ujrzeć łączkę, do której zdążamy; zamiast tego widzę ciągle szarzejący pas leśnej drogi, ujęty w zwarty szpaler wysmukłych świerków, buków i osiny.

Przypomniały mi się bajki z dzieciństwa: „Weszli do lasu i idą, idą, idą.“ — „Aż tu patrzą...“

Droga sklepieniem ciemnej zieleni zamyka się w kształt bramy, poza nią jaskrawo prześwieca słońce.

Gdyśmy wyszli w czeluści lasu, uśmiechnęło się ku nam jasne i przestronne pasmo łąki.

Środkiem sączyła swe skąpe wody mała rzeczka, rozlewając się gdzieniegdzie w szersze kałuże. Zieleń naokół i mnóstwo barwnych plam polnego kwiecia roztapiały się w słońcu, jakby zlewały z sobą, pokrywając się gazą pyłu czy też oparów. Drgał i mienił się w oczach ten kobierzec łąki, pełen świerku i skrzypu od tysiąca nurzających się w nim owadów.

Tu dopiero spostrzegliśmy, że dzień był upalny.

Minąwszy rzeczkę, pogrążyliśmy się znów w cieniu leśnej drogi, niebawem skręcamy na prawo i idziemy na przełaj lasu, tonąc po kolana w paprociach.

Las, na przekór moim oczekiwaniom, stawał coraz rzadszym i widniejszym, napotykamy na

http://rcin.org.pl

świeżo spiłowane pnie: tu siekiera trzebiła już las. Gdzieniegdzie stały w sążnie i kozły poskładane polana, ukryte tak w zaroślach, że ustawicznie łudziły oko.

Poprzez luki między drzewami, na małym wyrębie, ujrzałem dym niebieskawy, pełzający po ziemi, a potem nagłym zwrotem kłębiący się ku górze. Niebawem pokazało się go więcej między karczami. Dziwne wrażenie sprawia to tlejące zarzewie, pozostawione samemu sobie w gęstym borze, gdzie lada wietrzyk, jak sądziłem, snop iskier z tej czarnej masy rozkrzesać potrafi i rozniecić okropny pożar.

Gdzie biały popiół wygasłych ognisk ziemi nie pokrył, tam czerwieniły się soczyste, wielkie jak ziarna bobu, poziomki. Zwłaszcza pod świeżemi karczami mieniła się od nich zieleń, jakby kto garść korali na ziemi rozsypał.

Na małem wzniesieniu, niby na wysepce, stał wielki szlachetny dąb. Pień jego był z jednej strony osmalony aż ponad wysokość człowieka. A z tej czarnej powierzchni dobywał się gęsty, pełen żywicznego zapachu dym; kłębiąc się i czepiając kory, szedł on ku górze, tak, że przysłaniał mgłą niebieskawą drzewo całe. Tak smalił się za życia olbrzym puszczy, aż runie, przepalony u korzeni, przygniatając sobą kilka drzew sąsiednich. To całopalenie odbywa się rozpaczliwie wolno. I dziś, w tej oto chwili, stoi pewno jeszcze dum-

http://rcin.org.pl

ny, wielki, a bezradny, szeleści niebotyczną koroną swych liści i oczekuje spokojnie końca.

Leśniczy podjął zczerniały wiór, dmuchnął nań i zapalił sobie fajkę tem łuczywem.

Dąb dyabli wzięli, — rzekł flegmatycznie, tak to ogień rozkładali!

Zaczynam wreszcie rozumieć: główna rzecz to rozłożenie ogniska, bo póki to się węgli powoli, silny wiatr tylko iskrę rozdmuchać i rozniecić ogień może. Lecz jakże on tu trafi w te knieje—ów wiatr silny?

Natrafiliśmy na ślady dużych krowich racic, przodem głęboko woranych w ziemię; żubr przechodził tędy, ślady były świeże.

Prowadziły one do niegłębokiego piaszczystego wądołu, którego zrębów czepiały się korzenie niby węże brunatne. Na dnie ziemia była gładko ubita, odgraniczając się od nieporuszonego piasku niewyraźnemi liniami.

— O! — mruknął leśnik, wskazując na ten odcisk.

Ślady wiodły w srebrzący się zdaleka zagajnik osiny. Minąwszy go, trafiliśmy na moczary: nogi grzęzły po kolana w błocie, plątały się w wysokiej i twardej trawie. Dalej, na gęsto porozrzucanych wysepkach powyrastały buki. Skacząc z kępy na kępę i czepiając się gałęzi, przedostaliśmy się na twardszą ziemię: przelazłszy wreszcie przez gruby powalony pień sosny, weszliśmy

http://rcin.org.pl

w gęsty, ciemny bór. Krążymy po ostępie w rozmaitych kierunkach, wirujemy między drzewami, torujemy sobie drogę wśród gęstych zarośli, brniemy po pas w paprociach, grzęźniemy w błocie, przełazimy przez pnie, okrążamy zawały, skaczemy jak kozy przez rowy i wądoły, włazimy w coraz to większą gąszcz, w coraz to czarniejsze bagna, w coraz to dziksze knieje. Wszędzie widać ślady żubra. Zwłaszcza na błotach racice jego pozostawiały głębokie wyciski, w które woda powoli się sączyła. Pod wyrwanym korzeniem spostrzegłem znów odcisk jego cielska, tuż obok ziemię nogami skopaną, świadczącą, że temu starcowi nie łatwo było podnieść się z miejsca. Chwilami czuć nawet zapach krowi.

Żubra nie znajdujemy, lecz ta zaostrzona baczność wprowadza powoli w nastrój.

Widzę coraz to wyraźniej te powikłane sploty drzew, stosy powalonych pni z węzłem wyważonych korzeni, z ich suchemi gałęźmi, sterczącemi sztywno ku górze; odróżniam trawy zdaleka: te mi się srebrzą, tamte niebieskawo mienią, inne silniej lub słabiej zielenią, że te miękkie, tamte twarde, zdaleka odgaduję; wiem, że tu będzie trzęsawisko, tam grunt suchy z trawą prawie kruchą, wiem, gdzie przejść mogę, gdzie w błocie ugrzęznę, gdzie na obfitsze wykroty natrafię.

A jednak im lepiej w najbliższem otoczeniu się oryentuję, im lepiej widzę i poznaję to, co

http://rcin.org.pl

mnie otacza, tem — rzecz dziwna — niepewniej przed siebie spoglądam, tem bardziej w dal się wpatruję, tem częstsze szumy i szepty zdala słyszę, tem większe dziwy odgaduję o kilka kroków przed sobą.

Była chwila, kiedy słońce, przedarłszy się przez lukę w szczytowych gałęziach i musnąwszy długą strugą pień dębu, rozlało się ciepłą plamą po szeroko rozpostartych, w szczelny całun zwartych, paprociach.

Wiatr wionął, zaskrzypiał gałęźmi, rozkołysał korony drzew, — plama słońca drgnęła, ześlizgnęła się raptownie z dębu na ziemię, z ziemi weszła na sosnę, przepołowiła się i dwoma pniami do góry się drapie; wreszcie rozłupała się na cztery blaski, z tych blasków jeden w drobne plamki się rozsypał i między liście uciekł, a trzy pędzą przed siebie, gnane wiatrem szumiącym, przeskakują z drzewa na drzewo, z pnia na pień, to konar musną, to po ziemi przepełzną, to przez krzaki suną, — zgasną na chwilę, wnet znów się ukażą i, coraz to niespokojniejsze i ruchliwsze, bardziej drgające, w las uciekają... Znikły gdzieś w głębi, w kniejach niedostępnych i tajemniczych, pociągających ku sobie nieprzepartą siłą.

Byłbym poszedł w tamtą stronę, podarowawszy leśniczemu żubra, gdyby nie to, że echo doniosło w tej chwili do mnie wołanie:

— *Naszou!*

http://rcin.org.pl

O jakie trzydzieści kroków przed nami, na małym pagórku, leżał żubr, jak krowa, z podwiniętemi pod siebie przedniemi nogami, z zadartym łbem, i topił w nas spokojne, bystre spojrzenie. Co chwila uderzał się po bokach ogonem, broniąc się od roju otaczających go gzów.

Poprawił się i wyjął przednie nogi z pod cielska. Ustąpiliśmy o kilka kroków, a on, zamiast powstać, powalił się na bok i począł tarzać się na ziemi, jak koń.

Niby podobny do tego z gabinetu zoologicznego! Trzeba wszakże widzieć tę wielką brunatnorudą bryłę, przewracającą się z boku na bok, jak się wytęża, jak piersiami robi i sapie gwałtownie, jak ziemię nogami wzrywa, na grzbiecie się stawia i ciężko chlapie o ziemię, by zrozumieć, jakie okropne życie w tej bestyi siedzi.

Zmęczony leżał przez chwilę na boku, wreszcie powstał, łeb zadarł do góry i przedstawił się w całym majestacie.

Kark, osadzony na zadzie zwykłego byka, olbrzymi, wzdęty, na szyję wchodzący, obwisłymi kudły pokryty, nadawał mu wygląd złego, napuszonego,—strasznie złego zwierzęcia. Łbisko wielkie o szerokiem czole i o krótkich, na wewnątrz ku sobie zwróconych rogach, poruszało się ustawicznie, jakby w półsennem potakiwaniu. Przytem patrzał ciągle na nas jasnem, pewnem siebie spojrzeniem.

http://rcin.org.pl

Ruszył wolno, kiwając ciągle głową. Gdyśmy za nim do lasu podążyli, zatrzymał się wnet, wygiął się w połowie ciała, zwrócił kark wraz ze łbem ku nam i, patrząc przenikliwie, lizał jęzorem swe białe wargi. Od czasu do czasu puszczał ogon w wartki ruch.

Gdyśmy cofnęli się trochę, poszedł dalej chłodny, spokojny, pewny siebie. Jakaś gałąź uderzyła go w pysk, chwycił ją, jak mi się zdawało, między rogami i złamał gałąź jak drzazgę. Potem natrafił na małe wzniesienie, wstąpił na nie przedniemi nogami i, aby zebrać siły dla podźwignięcia się, stanął znowu, tym razem w pozycyi konia, popisującego się na arenie cyrkowej.

W tej chwili był wprost wspaniały!—Wreszcie skurczył się niełądnie i podjął swe cielsko na wzgórek.

Trzymając się stale pewnej odległości, postępowaliśmy za nim krok w krok; on to czuł widocznie, gdyż coraz gwałtowniej wymachiwał ogonem. Nagle zboczył, przyśpieszył kroku i za chwilę schował się w wądole. Tam się znów ku nam zwrócił i pokazał tylko swój łeb, opierając go o brzeg rowu. Świecące oczy i pasmo białych warg, sprawiających wrażenie wyszczerzonych zębów, czyniły go groźnym zdala.

— Chce się położyć,—mówił leśniczy.—Pora zostawić go w spokoju, bo może być źle.

http://rcin.org.pl

Jakoż w jamie zakotłowało się w tej chwili, bryły ziemi zaczęły wylatywać w powietrze...

Tu na wyrąb wyzierała puszcza czarną jak piekło paszczęką grzązkiego błota: oko gubiło się w korytarzach i przejściach z ciemnej zieleni, łudzących na dalekiej perspektywie tajemniczymi skrętami lub zamkniętych blado-zieloną ścianą świeżej roślinności.

A wiodły te przejścia i lochy w uroczyska dzikie, między wielkie senne drzewa, między mchem porosłe kłody, na bagna i moczary, w labirynt szarych kolumn, w głąb dziewiczej puszczy.

Dość zatrzymać się tu na chwilę i pozwolić, by echo szelest kroków rozniosło, a uderzy nas wnet niezmierna, grobowa cisza, taka, co w siebie wsłuchiwać się każe. Gdy od czasu do czasu górą lasu przejdzie przeciągły szum, to ucho od niego oderwać się nie może i słyszy go wtedy jeszcze, gdy fala wiatru już dawno minęła. Jest w tej ciszy jakieś naprężenie, wydaje się, że ona coś poprzedzać musi, jakby na koncercie po uderzeniu stypuły, gdy się w skupieniu oczekuje pierwszych tonów. Oczekiwanie daremne, wrażenie się przeciąga i nuży: tak nuży południowa cisza w puszczy.

http://rcin.org.pl

Las i tu podmywało czarne, o krwawym odcieniu, błoto; na grudach wystających czepiały się miotły dużych, w chwastach zwieszających się traw; między niemi tarzały się olbrzymie wykroty, wyciągające ku górze sploty swych potężnych, już z kory ołuskanych konarów, całe mchem i paprocią porosłe, wystającymi grzybami ubrane. Z osadą drzewa wyważona ziemia stoi u stóp każdego zawału, jak kurhan ciemny, na nim wiją się i plączą kurczowo węzły wydartych korzeni; tworzą altany, zwaliska, ruiny fantastyczne, sięgające wysoko, aż pod gałęzie dębów sąsiednich. Paprocie powłaziły na szczyt tego rumowiska, przeplatając je zielenią, brody porostów, czepiając się najcieńszych wyrostków, szarym kirem pokrywają tę bryłę, wysokie trawy o szerokim liściu usłały podnóże tej budowli i, zarósłszy wyrwę pod zwalonem drzewem, zagoiły ranę ziemi.

Jestem jak pośród rozwalin starego zamczyska, wrzystko ma tu piętno śmierci na sobie: i te grube szare pnie dębów, ślizką plechą pokryte, jak stare, zwietrzałe kolumny, i przełamane w środku w strzępy podarte, drzewa, mające wmiast korony wieniec połupanych drzazg i wiorów na sobie, i w bagnie na pół zapadłe pnie, tak gęstym całunem aksamitnego mchu pokryte, że są jako mogiły cmentarne, — i te wreszcie, pokotem na błotach leżące, brzozy, sosny, dęby, buki z korą o dziwnym połysku pajęczyny, lecz jakby jeszcze

http://rcin.org.pl

całe, nienaruszone, mchem nie pokryte, grzybami nie stoczone.

Stąpnąłem na pień taki, — i w tejże chwili noga zapadła mi się głęboko w pulchną, rudą, zmurszałą masę. Więc i tędy śmierć już dawno przeszła...

Gdy promień słońca z góry w uroczysko zleci, a wiatr szczytami drzew zakołysze, wówczas na pierwszy plan występuje bór żywy: czuć naokół bujną dziewiczą roślinność; gdy wszakże cień i cisza tu zapanuje, wtedy nastaje chwila współczucia dla poległych w tem ustawicznem borykaniu się ciżby drzew. Grzyb je toczy, wiatr żenie, bagno chłonie, gąsz dusi i pokarm odbiera; — każde ziarno, trawa, płonka, krzew i drzewo tem tylko żyć zaczyna, że drugie zniszczyło, i tem dłużej żyje, im dłużej inne pokonywać potrafi. Giną tedy nasiona, marnieje trawa, zatapia się krzew, walą się drzewa, a ponad tem wszystkiem góruje puszcza senna, ponura, nieprzejrzana.

Nieraz ta walka o piędź ziemi dziwnie się uplastycznia. Oto stoi cudaczna roślina: widać iglaste kiście świerku, drżące listki osiny, biały pień brzozy i sosny gałęzie o sterczących ostrych igłach. To cztery drzewa w jeden węzeł się splotły, poplątały gałęźmi, powrastały w siebie, jakby zębami wpijając się w ciało rywala, i tak się za bary konarami chwyciły, że jako zapaśnicy zażarci, ku ziemi się pochyliły: drzewo łuk tworzy,

http://rcin.org.pl

dotykając czołem błota; spodnie gałęzie, chcąc się ku górze przerzucić, poschły w tężcu rozwartych ramion, a na grzbiecie pnia, skręconego w linę, wystrzeliły do góry długie, cienkie gałęzie brzozy, sosny, świerku i osiny. Stoi ten cudak na zielonej kępie czarnego błota, w które trupy drzew wszelakich na wznak powaliły się.

Cisza w tem grobisku okropna... Gdy w poblizkiej trawie zabrzęczał bąk nizkim tonem, wydało mi się to pomrukiem złowieszczym dzikiej bestyi; gdy długa szyszka, oderwawszy się od wierzchołka świerku, leciała na dół, szeleszcząc w liściach i głośno stukając o gałęzie, byłem pewien, że drzewo wali się gdzieś w pobliżu. Lada szmer potęgował się niesłychanie, echem błądził po ostępie, budził czujność, naprowadzał lęk.

Cmentarne ogarnęło mię tchnienie. Nawałem cisnęły się bolesne wspomnienia, lecz jakieś mętne, nieuchwytne: coś zaciężyło na duszy i myśl usilnie pracowała nad tem, by temu nastrojowi dać rzeczowy pokarm.

A w tę otchłań ciszy wpadał od czasu do czasu stuk głuchy, pełen echa w sobie, jakby kto gwoździe w wieko trumny wbijał: to dzięcioł kuł miarowo w pień sosny.

Takem duszą w ciszy utonął, żem nie śmiał nawet poruszyć się, bojąc się, by trzask gałęzi pod memi nogami nie zakłócił tego spokoju; gdziem okiem rzucił, głębokie spojrzenie boru nakazywało

http://rcin.org.pl

mi ciszę. Nagle blask uderzył mnie zdala... To promień słońca ześlizguje się wolno po gałęziach i złotą mozajką na liściach, na pniach i na darninie oplata jedną bardzo białą brzozę na moczarach, zamykającą wązki szpaler szarych pni i ciemnej zieleni.

Tuż przed nią, gdzie miękka, soczysta zieleń pokryła bagno szczelnym kobiercem, całe pole blado-niebieskich niezapominajek, tak żywych na tle murawy i tak łagodnych na tle białej brzozy.

I pierzchły przykre myśli pod tem serdecznem tchnieniem. Długo tam patrzałem, nie mogąc nasycić się tym widokiem, i z przykrością niemałą widziałem potem, jak promienne blaski na liściach bladły, roztapiały się i nikły powoli.

Poczerniał mi las, jakby go chmura cieniem gęstym przykryła: głuchszym niż przedtem, ciemniejszym, gęstszym i bardziej ponurym uczyniła mi go tęsknota za tą pieszczotą słoneczną. — I dziś jeszcze widzę ją doskonale: tam w ponurej grozie otoczenia, wśród konarami rozpychających się dębów, gdzie tonące na bagnach olbrzymy daremnie wyciągają ku górze ramiona — stoi biała i uśmiechnięta, słońce czoło jej złoci, a u stóp jej kwiaty się ścielą.

Jeszczem się z ostatniego nie otrząsł wrażenia, gdy tuż koło mnie rozległo się głośne parsknięcie.

Pierwsze spojrzenie rzuciłem oczywiście w stro-

http://rcin.org.pl

nę, gdzie słońce przed chwilą budziło złudne życie. Lecz tam pusto było: brzoza szeleściała tylko smutnie blademi liśćmi.

Na prawo, wśród trawy na bagnie, spostrzegam, — jak mi się w pierwszej chwili wydało, — chudego konia, o niezmiernie długich nogach i silnie wystających bokach, tuż przy nim źrebię stało. Wystarczył ten szelest, jaki uczyniłem, podnosząc się z miejsca, by zwierzęta szarpnęły się na miejscu i zawróciły cwałem. Na jaśniejszem miejscu mignęły mi przed oczyma dwie żółto-brunatne plamy:—była to łosica z małem. Trzask gałęzi dolatający zdala wskazywał kierunek ich biegu. Ta ucieczka wszczęła popłoch w lesie, gdyż oto z prawej strony słyszę znów łamanie się gałęzi, tętent,—coś pędzi wprost na mnie i, zanim z gąszczy oczom moim się ukaże, w susach, jak to po głuchym łoskocie rozróżnić mogę, w dal się unosi.

Stanęło na miejscu, a potem znów się do mnie zbliża, z przodu mi zalatując. Nie mogę rozróżnić, czy to echo tętent zdwaja, czy też więcej sztuk biegnie, zwłaszcza, że za chwilę wszystko znów ucicha.

Posuwam się w tamtym kierunku, idąc przez pnie na moczarach, jak przez kładki na wodzie. Niebawem zaplątałem się wszakże w suchą koronę wykrotu, wysoko ponad czarną kałużą.

Teraz słyszę plusk kopyt w grząskiem bagnie w tempie tak szybkiem, że trudno przypuścić,

http://rcin.org.pl

aby jedno zwierzę przechodziło tamtędy. Oto i gałęzie poruszają się w kilku miejscach. Wreszcie trzask rozlega się głośno po lesie.

Jest!.. wyłazi z lasu jakaś ciemna masa, tuż obok druga, dalej trzecia...

Ile żubrów było, trudno mi powiedzieć, co rusz to nowy wychylał się z poza drzew; wielkie samce, mniejsze samice, małe, pękate i strasznie niezgrabne, cielaki. Wszystko to w bezładną rozrzucone grupę, spostrzegłszy mnie, zatrzymuje się na miejscu, łeb szeroki wyciąga i patrzy błyszczącemi oczami. Przeczuwając niebezpieczeństwo, ściągają do kupy i formuje się cały szereg ze zdziwienia unieruchomionych bestyi.

Mimo że wiem, jak płochliwe są te zwierzęta, póki w stadach chodzą, to jednak bynajmniej nie żałuję w tej chwili, żem się tak wysoko między gałęźmi zaplątał: te kilkadziesiąt szerokich rogatych łbów, wyzierających ku mnie z gąszczy ciemnej, tu wśród zaklętej pustki, ma w sobie coś z sennej grozy.

Można sobie tłumaczyć, że te bystre spojrzenia ich przestrach oznaczają, że to, co po raz wtóry za wyszczerzone zęby biorę, to białe, tłuste wargi, bezmyślnie naprzód wysunięte; — wrażenie pozostaje i potęguje się wtedy zwłaszcza, gdy jedno z tych cielsk brodatych poruszać się zacznie. Sylwetki ich z trudem rozróżniam

http://rcin.org.pl

między drzewami, co sprawia, że widzę je znacznie większemi, niźli są w rzeczywistości.

Jeden na lewem skrzydle najwięcej zdradzał niepokoju, ciągle łbem kiwał i kołysał się na swych nogach. Gdy jego sąsiad zadreptał na miejscu, rzucił się gwałtownie w tył i, podsadzając swe cielsko, przebiegł truchcikiem poza szeregiem. To spłoszyło resztę: jedne puściły się kołem w lesie, inne zbiły się w małe gromadki i cofać się poczęły powoli, podrywając się co chwila do biegu i wnet zwalniając kroku. Dwa w bagno się zapędziły, i zapadając się po brzuch, z trudem wielkim brnęły po niem.

Te widzę najlepiej: są one znacznie mniejsze od owego samotnika, maści nieco ciemniejszej, kark mają stosunkowo nie tak szeroki, lecz bardziej spiętrzony i obfitszymi kudły pokryty; a przedewszystkiem nie sprawiają ani trochę wrażenia ociężałych, niezdarnych zwierząt.

Popłoch chwilowy minął, wszystko znów się zatrzymało i, stojąc w rozsypce, spogląda znowu ku mnie. Żubry z bagna zawróciły, czując, że tędy niedaleko zajdą.

Ów wszakże, co pierwszy na alarm uderzył, nie może się uspokoić i znowuż niepokój wszczyna. Udało mu się bez widocznej przyczyny kilku za sobą w bok odciągnąć, co widząc, reszta biegnie w rozsypkę za niemi. Gromada, pobudzając się własnym biegiem, przechodzi w coraz to więk-

http://rcin.org.pl

szy galop,—na szczęście nie ucieka w bok, tylko półkolem w suche lasy, mam ich zatem ciągle przed oczyma.

Sadzą coraz prędzej, przypadając ciężko na przednie nogi i trzęsąc grzywami na karkach. Kilka na przodzie szarpnęło w bok: wszczęło się zamieszanie i popłoch, i — stado cwałem w las poniosło.

Ziemia dudniała, głuchy łoskot uderzył echem w uroczysko i tam długo jeszcze błądził.

Powoli wszystko ucichło, tylko szelest rozkołysanych gałęzi znaczył ślady ucieczki.

Ja wciąż jeszcze siedziałem między gałęźmi na wykrocie, błądziłem oczyma po tajemnych przesmykach na bagnie, ujętych w gęste oploty zieleni, i oczekiwań nowych cudów.

Zdawało mi się, że tam na dalekiej perspektywie uchylą się gałęzie i między liśćmi wyjrzy złośliwie uśmiechnięta twarz fauna, lub że na tym czarnym szlaku biała nimfa się ukaże z zielonym wiankiem na czole, że u góry szczeliną słońce się przedrze i ją całą złotem promienistem zaleje.

Zbudziło mnie z zadumy krótkie i żałosne naszczekiwanie kozła w poblizkiej kniei.

Za pasem brzozowego gaju ciągnął się las

http://rcin.org.pl

sosnowy, na suchem podścielisku igliwia i mnóstwa czarnych szyszek. Szło się jakby w labiryncie równo utoczonych pali, mających służyć za fundament jakiejś nadpowietrznej budowli.

Wszystkie pnie były jednakowej grubości, stały, jak się zdawało, ugrupowane w matematyczne figury; każde drzewo było środkiem, koło którego zarysowała się mozajka gwiazd i wieloboków. Monotonia ta nie nużyła na razie, przeciwnie, odpoczywało się tu po dzikim chaosie uroczyska, było też tu jaśniej i przewiewniej, oko na dalszą metę błądziło między drzewami, nie było tego ucisku na piersiach, co wprzódy, ani tego smutku, co się do duszy mimowoli wkradał. Słońce ożywiłoby wprawdzie tę jednostajność, wyłuskałoby barwy z tego szarosinego tonu, pozbawiłoby mnie jednak szczególnego widowiska, jakiego miałem być świadkiem niebawem.

Szedłem prędkim, miarowym krokiem, budząc równie regularne szelesty, jakby skrzypiące kołatanie starego zegara. Niebawem pochwyciłem się na tem, że nie idę swobodnie, że trzymam się sztywno i robię szczególne wysiłki dla zachowania taktu. Nie słyszę już szelestu swych stąpań, tylko jakby uderzenia bębna gdzieś przed sobą, po bokach ciągną dwa rzędy sosen, jak dwa szeregi żołnierzy.

Idziemy dalej,—bęben na przedzie utrzymuje nas w równym kroku, gdzie zboczyć wypada, za-

http://rcin.org.pl

głębić się trochę w prawo lub w lewo, wojsko moje wychyla się w pięknych krzywych, posłuszne nawet memu kaprysowi, w węża się kręci, a kiedy wprost przed siebie iść każę, — wyciąga się w dwie długie, proste linie.

Nie dość tego: gwardya capstrzyk świąteczny przede mną urządza: zatacza półkola, wygina się w esy, zakreśla krzywe fantazyjne, zawrotem głowy porywa mnie w wir tej mustry i oddaje główną komendę. Po tej defiladzie pragnąłbym wszakże co innego zobaczyć, wydostać się w inne okolice, — i w tejże chwili, jakby pod komendą „rysią marsz!“ przebiega przede mną pułk po pułku w długiej, nieskończonej wstędze. Po drodze natrafiamy na zasiłki i wtedy: „zdwajaj szeregi!“ szyki formują się w pary i biegną mi naprzeciw słabym truchcikiem. Zwalniając kroku, jeszcze niby biegną, potem już tylko idą, wreszcie wloką się leniwie i—stają...

Zmęczyłem się porządnie. Ten „lasek“ będzie dłuższy, niż się na razie spodziewałem; przebiedz go w kilka minut nie można. Gdzie spojrzę, wszędzie rozpaczliwie jednakowy labirynt pni sosnowych. Stoję w nieco luźniejszem kole, które im dalej, tem bardziej się zgęszcza. Gdyby choć gałąź sucha lub mrowisko pozwalało w kierunku się oryentować.

Tak mrówka czuć się musi na równem polu rżyska.

http://rcin.org.pl

Idę dalej, licząc, że ostatecznie skończyć się to kiedyś musi.

Ledwom ruszył, deflada drzew rozpoczyna się na nowo i mimo że jej w osobie głównodowodzącego chętniebym na spoczynek zakomenderował, muszę nadal przyglądać się tej rewii, która już mnie nuży, a niebawem drażnić zaczyna. Takie złudzenie, gdy się raz zmysłów chwyci, niebawem zamienia się w fikcyę.

Nie zwalniam oczywiście ani na chwilę kroku. Przede mną tym czasem, o jakie kilkadziesiąt kroków, stale rozstępowały się szeregi i, tworząc przyboczne szpalery, defilowały pyszałkowato, z zacięciem, jakby chcąc pozyskać moją pochwałę. Miejscami, gdzie równość lasu psuło przypadkowo inne ugrupowanie drzew, szeregi się łamały, wojsko się plątało i zdawało się, że lada chwila pójdzie w rozsypkę. O stają wszakże grupowało się znowu i, gdzie teren na to pozwalał, rozpoczynało ponownie capstrzyk: — nowe wygięcia, półkola, węże, kontrmarsze paradne.

Godziny mijały, a ja wciąż szedłem, myśląc tylko o tem, czy nie zwalniam czasem kroku. Chwilami zjawiały się przebłyski niepożądanej krytyki, które sprawiały mi wielką przykrość. Starałem się o nich czemprędzej zapomnieć.

Serce zabiło mi niespodzianie i tak gwałtownie, że stanąłem na miejscu, trwożliwie oglądając się naokół.

http://rcin.org.pl

Robię obrót i takimże równym krokiem odmierzam przestrzeń, którą dopiero co przeszedłem. To mi się wnet wydało bezmyślnem i zatrzymałem się, pełen niepewności.

Ten namysł zgubił mnie ostatecznie, czułem to po tej chwiejności i lęku, jaki mię coraz bardziej opanowywa.

Wracać? to zbyt długo; iść przed siebie? — to zbyt niepewne. Najlepiej będzie skręcić na prawo, tam, skąd mrowisko widać (pierwszy raz w tym lesie spostrzegłem mrowisko). Idę tędy na prawo, przyglądam się bezmyślnie mrowisku; potem chcę odszukać wzrokiem miejsce, z którego wyszedłem. Oczywiście daremnie.

Teraz dopiero przypominam sobie opowiadania leśniczego o tych pastuchach, co przez trzy dni do domu z bydłem nie wracali, zgubiwszy własne ślady w puszczy.

Ale błądzenie po dzikich kniejach i uroczyskach, drapanie się po przez kłody i zawały, brodzenie po bagnach, płoszenie zwierza na każdym kroku, podpatrywanie tego życia tajemniczego, ukrytego zdala od ludzi, — może być niemal rozkoszą. Tam oko nasyca się rozmaitością obrazów, ucho wielką ciszę podejrzewa o ukrywanie przed nim szmerów życia, otaczającego go kołem, a ukrytego w zaroślach, poza wykrotami, w dziuplach, na bagnach przepastnych. Tam ciekawość zmysły podrażnia, ścią-

http://rcin.org.pl

ga człowiekowi twarz w takiż sam wyraz czujności nieustannej, jaki ma w oczach ta zwierzyna, co od czasu do czasu spłoszona w poprzek drogi mu przebiegnie. Tam się czuwa bezustanku, tu drętwieje powoli. Tu nie trzy dni, ale dzień jeden, godzina jeszcze wystarczy dla zupełnego oszołomienia zmysłów. Ta bezbrzeżna jednostajność wrażeń kładzie się ciężarem na głowie, ssie jak polip, gnębi duszę, obezwładnia wolę, paraliżuje opór, — chwilami porywa w jakiś szybki wir, w którym gubią się wszystkie myśli. W uszach coś dzwoni natrętnie.

Najgorzej jednak stać na miejscu.

Oto i sosny znów z miejsca ruszyły, zbaczają pięknie na prawo, potem po raz drugi na prawo; bęben wali na przedzie, na alarm widocznie, bo tak prędko i bezładnie. Szeregi wiją się hen przede mną i znów na prawo biorą. Drugie mrowisko, bardzo do pierwszego podobne.

Szyszki biedz przeszkadzają, skrzypią obrzydliwie pod nogami, gniotą w podeszwy i sprawiają, że się poślizguję co krok. Raz nawet omal żem się nie przewrócił—na trzecie mrowisko.

Nie zatrzymałbym się tak prędko, gdyby nie to, że w tym szumie leśnym, co jak fala przypływu biegł za mną, grożąc, że mnie dogoni, coś pomieszało się w tej chwili. Wiatr naparł silniej i ugiął korony sosen; gałęzie zaskrzypiały, rzuciły garścią zeschłych igieł, gdzie niegdzie szyszka od-

http://rcin.org.pl

biła się o ziemię; wierzchołki drzew poczęły się kołysać niespokojnie i pomruk cichy przeszedł górą...

Umilkł, zostawiając po sobie zawód nieokreślony, obawę większą i okropnie silną chęć wydostania się stąd, odetchnięcia nareszcie pełną piersią gdzieś na przestworzu.

Gdym ruszył z miejsca, drzewa zamruczały powtórnie, skrzypiąc, kołysząc się i chyląc ku sobie wierzchołki. Towarzyszyły mi pomrukiem niecierpliwym i dziwiły się mojej wędrówce. Nadzieja, że las ten skończy się niebawem, opuszczała mnie powoli, tak nieznacznie wraz z szumem wiatru wdal się uniosła, żem nie spostrzegł, kiedy zgasła zupełnie. Przestrzeń rosła w mej imaginacyi, coraz większe opisywała koła.

Opanowała mnie potęga monotonii! — czułem, że jestem pośrodku morza. Dlatego też i fale są tu dłuższe, i szum ich bardziej przeciągły, i senność większa od nich idzie.

Ponownie natrafiłem na kopiec mrowiska, lecz nie miałem już teraz złudzeń: było ono zbyt do poprzedniego podobne!

Położyłem się na wznak pod pniem najbliższym i, zapatrzony w górę, utonąłem w chaosie ogromnym. Czuję ruchy wszystkimi zmysłami, nie wiem tylko, czy te skrawki bladego nieba tańczą przed memi oczyma, czy ta zieleń ciemna, czy te rdzawe wierzchołki sosen, czy te pnie si-

http://rcin.org.pl

ne, czy ta ziemia płowa, czy też ja cały. Zgubiłem siebie w przestrzeni i nie wiem, czy na dół patrzę, czy w górę spoglądam, jaki kącik w tym obszarze zajmuję, gdzie i czem jestem, czy to, co mi w tej chwili dokucza, moją jest dolegliwością, czy też bólem całego otoczenia, drobną cząstką smętku, który wchłonąłem w siebie z tego grobu monotonii.

I gdzieżem ja martwotę wprzódy upatrywał? Tam wśród dzikiego życia, wyrosłego na trupach bujnie, bogato, w wielorakich, potężnych kształtach, tam, gdzie każde drzewo rosnąć może, byleby miało jedyny warunek: siłę; gdzie nie potrzeba i nie wolno innych naśladować, bo tam każda piędź ziemi ma swe odrębne warunki, swoją drogę do światła i skazuje na odmienną walkę. Tu wszystkie drzewa równe, tu każde ziarno wtedy tylko dojrzeć może, jeśli w sosnę chce wyrosnąć, w proste, do innych jak kropla wody podobne drzewo. Ani ziemia, ani otoczenie innego nie ścierpi. Zdarza się może i tu, że pokrowiec igliwia przebije płonka buku, dębu lub grabiny;— niechaj usychając namyśla się, a może w sosnę przemienić się pragnie.

To dwa światy odrębne, dwa zwierciadła życia!

I stoi ten las sosnowy, wyrównany, prosty, pewien siebie, że tu żaden żywy twór nie zabłądzi. On, sam martwy, żyjących ruchem wielkim

http://rcin.org.pl

łudzić będzie, kołowatą krętaniną bezbrzeżnej ilości drzew w środek go wywiedzie i tu zamorzy. Piasek, obłudnie połyskującem igliwiem pokryty,— to sosen rodzima ziemia; jednostajność i monotonia, jakby okropny wytwór snu gorączkowego,— to ich żywioł wyłączny, w którym każde stworzenie, co czuje, drga i myśli, zmarnieć musi: morze jednostajności je zaleje i w głębi zatopi.

Szum płaczliwy lasu szepce mi na ucho jakieś tajemnicze słowa, byle o ton wyżej uderzył, pochwycę wszystkie. Skupiam się, natężam uwagę, cały w słuch się zamieniam, nie mogę jednak powziąć oddzielnych dźwięków.

A jednak!... Znowu cisza naokół. Po długich wyczekiwaniach, hen zdala, pozą mną wicher uderzył w korony drzew, po wierzchołkach sunie fala szeptu cichego coraz bliżej i bliżej i dogania mnie niebawem. Chwila natężonego silnie słuchu, jak struny, gotowej pod najlżejszym podmuchem wydać głośny dźwięk; — szmer niewyraźny przenosi się ponad moją głową i słyszę tylko, jak płynie po wierzchołkach sosen i coraz dalej, jak słabnie, rozlewa się i milknie zupełnie...

KONIEC.

http://rcin.org.pl

Ze zbiorów

INSTYTUT
BADAŃ
PAN

http://rcin.org.pl

TEGOŻ AUTORA:

FACHOWIEC, *powieść współczesna. Wydanie trzecie.*
W PUSZCZY, *krajobrazy.*
PROCHNO, *powieść. Wydanie drugie.*
OZIMINA, *powieść.*

*

Przekład FRYDERYKA NIETZSCHEGO
TAKO RZECZE ZARATUSTRA, *wydanie trzecie.*

*

ŹRODŁA I UJŚCIA NIETZSCHEANIZMU.

http://rcin.org.pl

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

PISMA ZEBRANE
CYPRYANA NORWIDA

przygotowane do druku i przypisami opatrzone przez

MIRIAMA (ZENONA PRZESMYCKIEGO).

Obejmować będą OŚM TOMÓW (przeszło 200 arkuszy druku), sto kilkadziesiąt odtworzeń z rysunków, akwarel, obrazów olejnych, sztychów i rzeźb poety, liczne podobizny pisma oraz szereg nieznanych jego wizerunków i autoportretów.

Cena za wszystkie ośm tomów przy wnoszeniu z góry: rubli trzydzieści (w edycyi wytwornej — rubli sześćdziesiąt).

Cena tomu pierwszego (A) w dwóch częściach, zawierającego

Pisma wierszem Cypryana Norwida

DZIAŁ PIERWSZY

obejmujący przeszło siedmdziesiąt arkuszy druku rubli 10, w oprawie płóciennej rubli 11 kop. 60, w pergaminowej lub skórzanej rubli 15.

Cena tomu C rubli 4 kop. 50.

*

Portret CYPRYANA NORWIDA

heliograwiura z portretu olejnego przez P. Szyndlera Rb. 2.—
na papierze chińskim . . . . . „ 4.—
„ „ japońskim . . . . . „ 6.—

*
* *

http://rcin.org.pl

POLSKA EDYCYA DZIEŁ FRYDERYKA NIETZSCHEGO W WYD. CAŁKOWITEM

[BEZ SKRÓCEŃ]

TAKO RZECZE ZARATUSTRA

Cztery części. Przełożył WACŁAW BERENT

wydanie ozdobne z portretem Nietzschego — akwafortą oryginalną F. Siedleckiego . . . . . 3.—
wydanie ozdobne w oprawie 3.50
„ wytworne w 25 numer. egzemplarzach . . 7.50
„ zwykłe tanie 1.60

POZA DOBREM I ZŁEM

przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne 2.—, w oprawie 2.50
„ wytworne w 10 numer. egzemplarzach . . 5.—

Z GENEALOGII MORALNOŚCI

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 2.—, w oprawie 2.50
„ wytworne w 10 numer. egzemplarzach . . 5.—

DYTYRAMBY DYONIZYJSKIE

przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne —.60, w oprawie 1.35
„ wytworne w 10 numer. egzemplarzach . . 1.10

ZMIERZCH BOŻYSZCZ

przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne 1.20, w oprawie 1.70
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . 2.75

WIEDZA RADOSNA

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 2.50, w oprawie . . . . . 3.—
„ wytworne w 10 numer. egzemplarzach . . 6.—

JUTRZENKA

przełożył STANISŁAW WYRZYKOWSKI

wydanie ozdobne 2.50, w oprawie . . . . . 3.—
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . 6.—

ANTYCHRYST

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.—, w oprawie 1.50
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . 2.50

http://rcin.org.pl

NARODZINY TRAGEDYI

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.60, w oprawie 2.10
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . 4.—

LUDZKIE, ARCYLUDZKIE

Część pierwsza. Przełożył KONRAD DRZEWIECKI

wydanie ozdobne 2.50, w oprawie . . . . . 3.—
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . 6.—

WĘDROWIEC I JEGO CIEŃ

LUDZKIE, ARCYLUDZKIE Część druga.

Przełożył KONRAD DRZEWIECKI

wydanie ozdobne 2.50, w oprawie 3.00
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . 5.—

WOLA MOCY

przełożyli K. DRZEWIECKI I STEFAN FRYCZ

wydanie ozdobne 3.—, w oprawie 3.50
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . 7.—

NIEWCZESNE ROZMYŚLANIA

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 2.—, w oprawie 2.50
„ wytworne w 15 numer. egzemplarzach . . 5.—

ECCE HOMO (Autobiografia)

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.50, w oprawie . . . . . 2.—
„ wytworne na czerpanym papierze. . . . 4.—

*

WACŁAW BERENT

ŹRÓDŁA I UJŚCIA NIETZSCHEANIZMU —.80

*

Portret FRYDERYKA NIETZSCHEGO

akwaforta oryginalna Franciszka Siedleckiego

na papierze grubym . . . . . 1.—
na papierze japońskim . . . . . 3.—

*

DZIEŁA H. POINCARÉ'GO:

NAUKA I HYPOTEZA przekład M. HORWITZA brosz. . . . 1.50
WARTOŚĆ NAUKI przekład D-ra LUDWIKA SILBERSTEINA . 1.50
NAUKA I METODA przekład M. HORWITZA brosz. . . . . 2.—

* * *

http://rcin.org.pl

POD ZNAKIEM POETÓW

SERYA PIERWSZA:

STANISŁAW KORAB-BRZOZOWSKI:

NIM SERCE UCICHŁO

broszur. —.80, w opr. płóciennej 1.30
w oprawie wytwornej 2.30

WINCENTY KORAB-BRZOZOWSKI:

DUSZA MÓWIĄCA

broszur. 1.—, w oprawie płóciennej 1.50
w oprawie wytwornej 2.50

LIRYKA FRANCUSKA (Serya pierwsza)

przekłady BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

broszur. 1.—, w oprawie płóciennej 1.50
w oprawie wytwornej 2.50

BRONISŁAWA OSTROWSKA:

CHUSTY OFIARNE

broszur. 1.20, w oprawie płóciennej 1.70
w oprawie wytwornej 2.70

ZYGMUNT KRASIŃSKI:

POEZYE WYBRANE

broszur. 1.—, w oprawie płóciennej 1.50
w oprawie wytwornej 2.50

JULJUSZ SŁOWACKI:

UTWORY LIRYCZNE

broszur. 1.—, w oprawie płóciennej 1.50
w oprawie wytwornej 2.50

http://rcin.org.pl

SERYA DRUGA:

JAN KASPROWICZ:

WYBÓR POEZYI

broszur. 1.—, w oprawie płóciennej 1.50
w oprawie wytwornej 2.50

LIRYKA FRANCUSKA (Serya druga)

przekłady BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

broszur. 1.—, w oprawie płóciennej 1.50
w oprawie wytwornej 2.50

A. SZCZĘSNY:

TO, CO SIĘ STAŁO

broszur. —.80, w oprawie płóciennej 1.30
w oprawie wytwornej 2.30

JÓZEF JEDLICZ:

NIEZNANEMU BOGU

broszur. 1.—, w oprawie płóciennej 1.50
w oprawie wytwornej 2.50

ZDZISŁAW DĘBICKI:

OGLĄDAM SIĘ ZA SIEBIE

broszur. —.80, w oprawie płóciennej 1.30
w oprawie wytwornej 2.30

BOLESŁAW LEŚMIAN:

SAD ROZSTAJNY *w druku.*

*

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI:

MISTYKA SŁOWACKIEGO 5.—

* * * *

http://rcin.org.pl

BRODOWSKI FELIKS

DRZEWA

broszur. 1.—, w oprawie 1.50

BURCKHARDT J.

KULTURA ODRODZENIA WE WŁOSZECH

tłómaczenie według VIII wydania, opracowanego przez L. Geigera, przez L. M. 2 tomy, w oprawie . 4.—

GARSKI STANISŁAW Dr.

SYSTEM FILOZOFII

tom I, broszur. 1.50

HANDELSMAN MARCELI

ŻYWOT CHŁOPA POLSKIEGO NA POCZĄTKU XIX STULECIA

broszur. . . . . —.60

KARPOWICZ STANISŁAW

IDEAŁY I METODA WYCHOWANIA SPÓŁCZESNEGO

broszur. . . . . —.60

MATUSZEWSKI IGNACY

WEYSSENHOFF I „LAURY" WYSPIAŃSKIEGO

broszur. . . . . —.25

MINKIEWICZ ROMUALD

O PEŁNI ŻYCIA I O KOMUNIE DUCHOWEJ

broszur. . . . . —.60

MY — LUDZIE I PRZYRODA

(DLA PRZYSZŁOŚCI, cz. I)

ułożyły SEMPOŁOWSKA I BERNSTEINOWA

broszur. —.40, w karton. . . . . —.60

http://rcin.org.pl

SEMPOŁOWSKA I UNSZLICHT-BERNSTEINOWA

PO PRACY

w karton. oprawie . . . . . —.25

RELIGIA W ŻYCIU LUDZKOŚCI

(DLA PRZYSZŁOŚCI cz. II)

ułożyły SEMPOŁOWSKA I BERNSTEINOWA
broszur. —.60, w karton. . . . . . —.80

RENAN ERNEST

ŻYWOT JEZUSA

w przekładzie ANDRZEJA NIEMOJEWSKIEGO
wydanie drugie przez tłumacza przejrzane,
wyd. tanie —.60, na lepszym papierze 1.20

SCHLAF JOHANNES

WIOSNA

przekład ST. PRZYBYSZEWSKIEGO
broszur. . . . . . 2.—

SMOLEŃSKI JERZY

KRAJOBRAZ POLSKI

broszur. . . . . . 2.—

VERLAINE PAWEŁ

WYBÓR POEZYI

w przekładzie BARBARY BEAUPRÉ
broszur. 1.—, w oprawie 1.50

* * *

http://rcin.org.pl

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

WYBÓR PISM ANATOLA FRANCE'A

W PRZEKŁADZIE JANA STENA

GOSPODA PO KRÓLOWĄ GĘSIĄ NÓŻKĄ . .	*1.75*
w oprawie	*2.25*
NOWELE	*1.30*
w oprawie	*1.80*
TAIS	*1.70*
w oprawie	*2.20*
W CIENIU WIĄZÓW	*1.40*
w oprawie	*1.90*
MANEKIN TRZCINOWY	*1.40*
w oprawie	*1.90*
PIERŚCIEŃ Z AMETYSTEM	*1.40*
w oprawie	*1.90*
WYSPA PINGWINÓW	*1.60*
w oprawie	*2.10*
BOGOWIE ŁAKNĄ KRWI	*1.80*
w oprawie	*2.30*

* * *

http://rcin.org.pl

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

EUGENIUSZ DEMOLDER:

SERCE UBOGICH

Opowiadanie dla młodzieży
broszur. Rb. —.90, karton. Rb. 1.20, w oprawie. . 1.50

OTTO ERNST:

HISTORYA MŁODEGO ŻYCIA

Powieść dla młodzieży
broszur. Rb. —.90, karton. Rb. 1.20, w oprawie. . 1.50

ANATOL FRANCE:

NA KWIATY

Książeczka dla dzieci z obrazkami BOUTET DE MONVELA, w oprawie . . . . . 1.—

GUSTAW AF GEIERSTAM:

MOI CHŁOPCY

Szwedzkie opowiadanie dla dzieci, wydanie drugie, w oprawie . . . . . —.80

MARYA KONOPNICKA:

JAK SIĘ DZIECI W BRONOWIE BAWIŁY

Ilustracye STANISŁAWA DĘBICKIEGO, w opr. 2.—

JANUSZ KORCZAK:

MOŚKI, JOŚKI I SRULE

Ilustracye S. LIPSZYCOWEJ
broszur. Rb. 1.—, karton. Rb. 1.20, w oprawie . . 1.50

JÓZKI, JAŚKI I FRANKI

Ilustracye A. OSTROWSKIEGO
broszur. Rb. 1.—, karton. Rb. 1.20, w oprawie . . 1.50

SELMA LAGERLÖF:

CUDOWNA PODRÓŻ

Przekład J. MORTKOWICZOWEJ.
Ilustracye B. LILJEFORSA.
Część I w opr. Rb. 1.60, część II w opr. Rb. . . 1.60
część III w oprawie 1.60

http://rcin.org.pl

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

F. LAZARUSÓWNA:

MOJA GROMADKA

Ilustracye M. GAWEŁKIEWICZ-CHYBIŃSKIEJ w oprawie . . . . . 1.—

JACK LONDON:

PRYGODA PSA W KLONDYKE

Z wstępem W. SIEROSZEWSKIEGO i 4 ilustrac., w oprawie . . . . . —.90

H. ORSZA:

NA ZIEMI POLSKIEJ PRZED WIELU LATY 1.20

BR. OSTROWSKA.

KSIĄŻECZKA HALUSI

Wierszyki dla dzieci z obrazkami ST. FILIPKIEWICZA, w oprawie 1.80

PRZYGODA W LESIE

Opowiadania dla małych dzieci, zebrała i przełożyła JANINA MORTKOWICZOWA, ilustrował KAROL FRYCZ, w oprawie . . . . . 1.—

RADOSNY DZIEŃ

Szwedzkie obrazki dla małych dzieci . . . . . —.90

AGOT GJEMS SELMER:

NAD DALEKIM CICHYM FJORDEM

Powieść dla młodzieży. Wydanie drugie, uzupełnione. Ilustracye C. LARSSONA 1.20

DZIECIŃSTWO MATECZKI

Opowiadania dla młodzieży broszur. Rb. —.90, karton. Rb. 1.20, w oprawie. . 1.50

SEMPOŁOWSKA I UNSZLICHT BERNSTEINOWA:

DLA PPZYSZŁOŚCI

Książka dla młodzieży, w ozdobnej oprawie. . . 1.50

SZTUKA DLA DZIECI

Teka, zawierająca sześć barwnych obrazków ST. FILIPKIEWICZA do upiększania pokojów dziecin. 1.—

http://rcin.org.pl

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

OSTATNIE WYDAWNICTWA:

w druku:

MICHAŁ SIEDLECKI
JAWA, PRZYRODA I SZTUKA

DZIEJE SZTUKI:

WINCENTY TROJANOWSKI
MALARSTWO KLASYCZNE

ELIGIUSZ NIEWIADOMSKI
SZTUKA GOTYCKA
SZTUKA ROMAŃSKA

LEONARDO DA VINCI
DZIEŁA
przekład LEOPOLDA STAFFA

EDGAR ALLAN POE
WYBÓR PISM
przekład GÓRSKIEGO I WYRZYKOWSKIEGO

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY:

ERNEST CANDÈZE
PRZYGODY ŚWIERSZCZA
przekład Dr. WANDY HABERKANTÓWNY

LEON CHOROMAŃSKI
BAJKI

BOLESŁAW LEŚMIAN
OPOWIEŚCI Z TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY

A. SZCZĘSNY
KOLOROWE OKIENKO

W. THACKERAY
PIERŚCIEŃ I RÓŻA
przekład ZOFII ROGOSZÓWNY.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
145